

НБ ЛНУ ім. Івана Франка

Гор 0757

wan Franko

НБ ЛНУ ім. Івана Франка

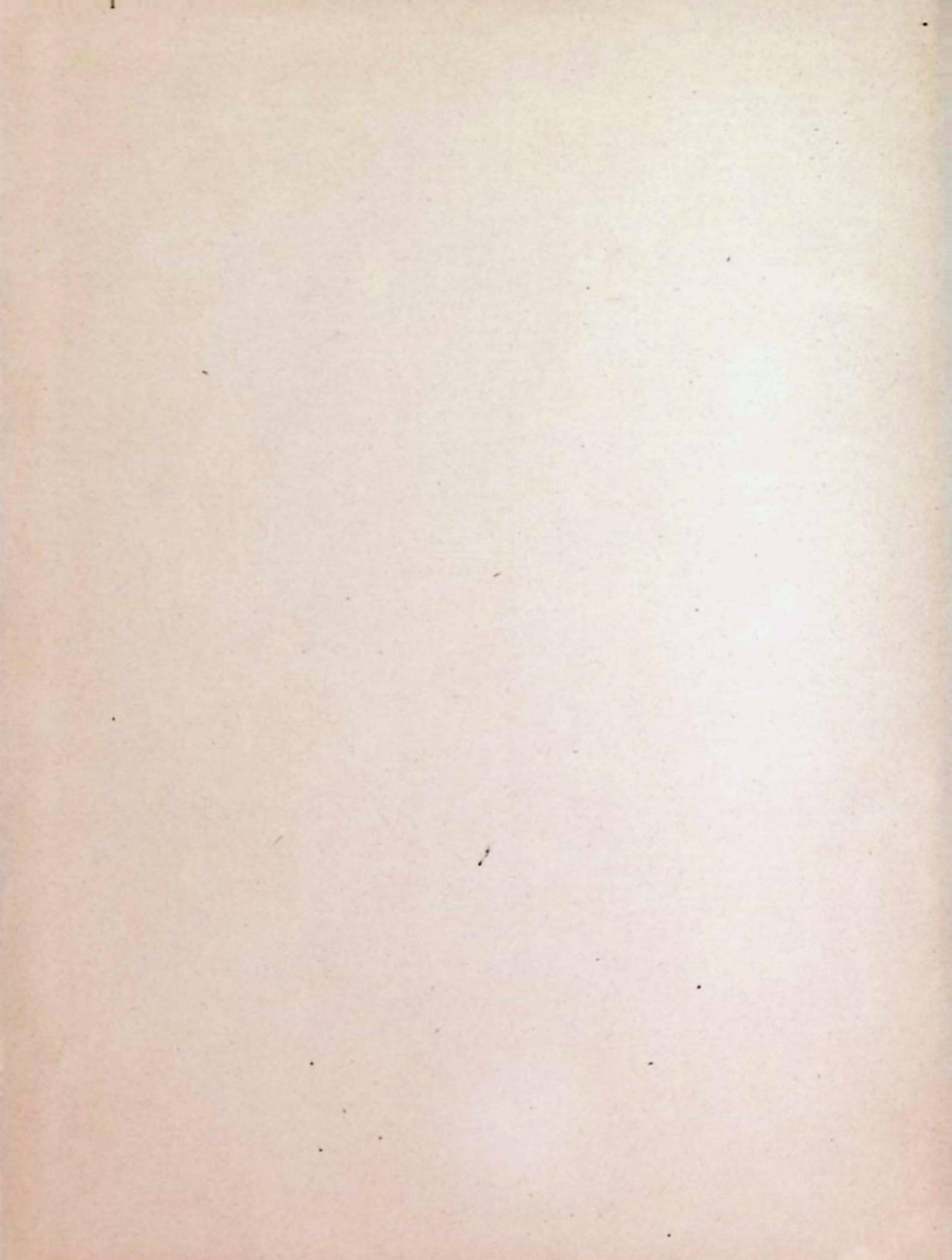
БІБЛІОТЕКА  
Інституту  
Франкознавства



ZACHAR  
BERKUT

122087

2253.







IWAN FRANKO

# ZACHAR BERKUT

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

PRZEŁOŻYŁ

Prof. ST. RUDNIAŃSKI

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO MNIEJSZOŚCI NARODOWYCH USRR  
KIJÓW — 1940 — LWÓW



## PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA

*Powieść historyczna nie jest historią. Historykowi chodzi przede wszystkim o wyśledzenie prawdy, o stwierdzenie faktów, natomiast powieściopisarz korzysta jedynie z faktów dla swych osobnych celów artystycznych, dla wcielenia pewnej idei w określone, żywe, typowe osobistości. Oświetlenie, charakterystyka, motywacja tudzież ugrupowanie faktów jest u historyka zupełnie odmienne niż u powieściopisarza: gdzie historyk operuje argumentami i wnioskami logicznymi, tam powieściopisarz musi operować żywymi ludźmi, osobistościami.*

*Praca historyczna ma wartość wówczas, gdy fakty przedstawione są w niej dokładnie i w związku przyczynowym; powieść historyczna posiada walor wtedy, gdy jej myśl zasadnicza zdoła zainteresować ludzi współczesnych, żywych, to znaczy, gdy sama jest żywa i współczesna.*

*Odmalowanie dawnego życia społecznego naszej Rusi jest bezsprzecznie takim żywym przedmiotem, zbliżonym do zainteresowań współczesnych. Jak dalece udało mi się odtworzyć ducha owych czasów, o tym niechaj sądzi krytyka. Pozwalałem sobie w szczegółach uzupełniać poetycką wyobraźnię suchy szkielet historii. Główna osnowa zapożyczona jest częściowo z dziejów (napad Mongołów i ich naczelnik Peta), częściowo zaś wzięta z podań ludowych (o zatopieniu oddziału mongolskiego itd.). Osoby działające są zmyślane, miejscowość opisana możliwie dokładnie.*

Lwów, dnia 1 grudnia 1882.

Iwan Franko.

## PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA

Wypuszczając w świat drugie wydanie „Zachara Berkuta“ w dwadzieścia lat po wyjściu w świat pierwszego, poprzestaję na wygladzeniu języka, zgodnie z postępem, jaki uczyniła nasza mowa literacka w ciągu ostatnich lat dwudziestu.

Kryworiwnia, 1 sierpnia 1902.

I. F.

## I.

Smutno i nieprzytulnie teraz w naszej Tucholszczyźnie. Choć Stryj i Opór jak zawsze oblewają jej zielone pobraża, pola jej jak zawsze pokrywają się z wiosną kwieciami, a w jej lazurowym, czystym powietrzu jak zawsze szybuje i kołuje orzeł-berkut jak i przed wiekami.

Jakże jednak zmieniło się wszystko inne! I lasy, i wsie, i ludzie! Dawniej gęste, nieprzebyte lasy zakrywały całą prawie przestrzeń, prócz wysokich połonin, schodziły w dolinę aż nad same rzeki, teraz, niby śnieg na słońcu, stopniały, zrzędyły, zmałyły, poznikały, gdzieś niedzie zostawiając po sobie leśne wyręby. Gdzie indziej znów ostały się z nich tylko pnie osmalone, a spomiędzy nich nieśmiało wyrasta czasem nędzny świerk lub jeszcze nędzniejszy jałowiec. Dawniej było tu cicho, nie słyszałeś nijakiego głosu, prócz owczarskiej trombity na dalekiej połoninie lub ryku dzikiego tura czy jelenia w leśnych ostępach — teraz na połoninie nawołują się wolarze, a w jarach i kniejach stukają rębacze, tracze i gonciarze, podgryzając i podcinając bezustannie, niby niezmordowany czerw, piękno tucholskich gór, stuletnie jodły i smreki, albo spuszczaając je, pocięte na olbrzymie kłocce, potokami w dolinę do nowych tartaków parowych, albo też rznąc je na miejscu na deski i gonty.

Ale najwięcej zmienili się ludzie. Mogło by się zdawać po powierzchownym przypatrzeniu się, że podniosła się „kultura“ ich przysiółków, więcej chat po wsiach, lecz za to większe ubóstwo i większa nędza po chatach. Lud znędzniał, przybity, ponury, nieśmiały i niedostępny wobec obcych. Każdy dba tylko o siebie, nie rozumiejąc tego, że w ten sposób rozdrabniają się tylko siły jed-

nostek, osłabia się gromada. Nie tak to kiedyś było! Choć mniej było ludzi, lecz za to — jaki lud! Jakie życie kipiało w tych górach, wśród tych nieprzebytych lasów, u stóp potężnego Zełemenia. Zła dola znęcała się nad tym ludem przez długie wieki. Ciężkie ciosy podkopały jego dobrobyt, nędza złamała jego swobodny, zdrowy charakter i teraz tylko niejasne, dawne wspomnienia przypominają prawnukom szczęśliwsze życie przodków. I kiedy czasem stara babcia siedząc na zapiecku i przędąc grubą wełnę rozpowiadać pocznie drobnym wnukom o dawnych, dawnych czasach, o napadzie mongołów - psiogłowców, o tucholskim watażce Berkucie — słuchają dzieci lękliwie, a w ich siwych oczętach błyszczą łzy. A kiedy się skończy ta dziwna opowieść, wówczas i starzy szepcą cicho — „ach, jakaż to piękna bajka!“.

— Tak, tak, — powtarza habunia kiwając głową — dla nas to bajka, a kiedyś była to prawda.

— A nie wiedzieć, czy wrócą się kiedy takie czasy — napomyka niejeden ze starszych.

— Mówią starzy ludzie, że kiedyś jeszcze wrócą się, ale będzie to dopiero przed końcem świata.

Smutno i nieprzytulnie teraz w naszej Tucholszczyźnie. Bajką wydaje się powieść o dawnych czasach i o dawnych ludziach. Wierzyć nie chcą ludzie dzisiejsi, którzy wyrosli w nędzy i ucisku, w tysiącletnich kajdanach i niewoli. Niech tam sobie nie wierzą! Myśl poety ulata w te dawne czasy, ożywia dawnych ludzi, a u kogo serce czyste i szczere ludzkie uczucie, ten zobaczy w nich swoich braci, żywych ludzi, w życiu ich, choć tak niepodobnym do naszego, dojrzy niejedno, co może być pożądane i dla naszych, „kulturalnych“ czasów.

---

Było to w 1241 roku. W tucholskich górach poczynała się wiosna.

Pewnego cudownego dnia dźwięczały lesiste pagórki Zełemenia głosami myśliwskich rogów i okrzykami lic-

nych strzelców. To nowy tucholski bojar, Tuhar Wilk, sprawiał wielkie łowy na grubego zwierza. Świętował narodziny swego nowego życia, bo kniaź Danyło darował mu niedawno rozległe połoniny w Tucholszczyźnie i jedno całe wzgórze Zełemenia. Zjawił się on niedawno dopiero w tych górach, zbudował sobie piękne dworzyszcze i teraz oto urządza pierwszą ucztę, zapoznaje się z okolicznymi bojarami. Po uczcie ruszyli na łowy w tucholskie bory.

Łowy na grubego zwierza — to nie zabawka, to walka ciężka, nieraz krwawa, nieraz na śmierć i życie. Tury, niedźwiedzie, dziki — to niebezpieczni przeciwnicy; rzadko komu uda się powalić takiego zwierza strzałami z łuków. Nie łatwo sobie z nim poradzić nawet oszczepem, który rzucało się na ofiarę z pewnej odległości. Toteż ostatnią i rozstrzygającą zbroją była ciężka kopia, którą trzeba było ugodzić przeciwnika z bliska, własnoręcznie, z całą siłą i za jednym zamachem. Jeden chybiony cios — i życiu myśliwego groziło wielkie niebezpieczeństwo, jeśli nie udało mu się w ostatniej chwili schować do bezpiecznej kryjówki i dobyć miecza lub ciężkiego topora na swoją obronę.

Nie dziw tedy, że Tuhar Wilk wyprawiał się ze swoimi gośćmi na łowy jak na wojnę, z zapasem strzał i rohatyn, ze sługami i z zapasami żywności, a nawet z doświadczonym znachorem, który umiał zamawiać rany. Nie dziw też, że Tuhar i jego goście byli w pełnej rycerskiej zbroi, prócz pancerza, bo ten krępowałby ich w biegu przez skały i przez gąszcze leśne.

A dziwne tylko, że i Tuharowa córka, Mirosława, odważyła się, nie opuszczając ojca, razem z gośćmi wyruszyć na łowy. Tucholanie widząc ją, jak jechała między gośćmi na łowy dumnie i śmiało, niby wysmukła topola wśród przysadzistych dębów, z upodobaniem wodzili za nią oczyma, pogadując: — ot, dziewczyna! Nie żał by było, gdyby taka była mężczyzną. I pewnie piękniejszy by był z niej mężczyzna niż jej ojciec!

A była to na pewno niemała pochwała, bo Tuhar Wilk był mężczyzną jak dąb. Pleczysty, krępy, z grubo ciosanymi rysami twarzy i gęstym czarnym włosom, podobny był do jednego z okrutnych tucholskich niedźwiedzi, które jechał zabijać. Ale bo i córka jego, Mirosława, była dziewczyną, jaką nie łatwo było znaleźć. Nie mówiąc już o jej urodzie i piękności oraz o jej dobrym sercu — pod tym względem dorównać by jej mogło wiele rówieśniczek, choć niewiele mogłoby ją przewyższyć. Nie miała jednak sobie równej w przyrodzonej swobodzie swego postępowania, w niezwykłej sile mięśni, w śmiałości i energii, właściwej tylko mężczyznom, co wyrosli w nieustannej walce z przeciwnościami. Z pierwszego wejrzenia widać było, że Mirosława wyrosła na swobodzie, że wychowano ją na mężczyznę, że w tym cudnie rozwiniętym dziewczęcym ciele, żyje silny duch obdarzony wielkimi zdolnościami. Była u ojca jedynaczką, a do tego jeszcze od razu po urodzeniu straciła matkę. Niania jej, stara chłopka, zaprawiała ją od maleńkości do wszelkich ręcznych robót, a gdy podrosła, wówczas ojciec, aby pocieszyć się w swej samotności, brał ją z sobą wszędzie i aby zadowolić jej ognistą naturę, uczył ją władać bronią rycerską, znosić wszelkie niewygody i śmiało patrzeć niebezpieczeństwu w oczy. A im większe trudności miała do pokonania, tym chętniej brała się do pracy, tym wydatniej przejawiała się siła jej ciała i jej energicznego charakteru. Ale mimo tego wszystkiego Mirosława nigdy nie przestawała być kobietą subtelną i dobrą, z gorącym uczuciem i skromnym, wstydliwym licem — a wszystko to łączyło się w niej z taką dziwną czarującą harmonią, że kto raz tylko ją widział, kto słyszał jej mowę, ten nie mógł zapomnieć do końca życia jej twarzy, jej ruchów, jej głosu i przypominały mu się one żywo i wyraźnie w najpiękniejszych chwilach jego życia, tak jak wiosna przypomina nawet zgrzybiałemu starcowi jego młodzieńczą miłość.

Łowy trwały już trzeci dzień. Wiele jeleni-rogaczy i czarnogłowych turów legło od strzał i ratyszcz bojar-  
skich. Nad szumiącym górskim potokiem, na zielonej  
śródleśnej polanie stały szałas myśliwych, gorzały raz  
po raz wielkie ogniska, gdzie na hakach wisiały kotły,  
obracały się rożny, gdzie gotowało się i piekło dla gości  
mięso ubitej dziczyzny. Dzisiejszy, ostatni dzień łowów  
miał być poświęcony najgłówniejszej, a zarazem najbar-  
dziej niebezpiecznej sprawie — łowom na niedźwiedzie.

Na stromym pagórku oddzielonym od innych strasz-  
nymi przepaściami, porośłym gęsto ogromnymi bukami  
i świerkami, pokrytym łomami i zwaliskami drzew, znaj-  
dowało się od dawna główne legowisko niedźwiedzi. Tu-  
taj — jak twierdził tucholski przewodnik, młody góral Mak-  
sym Berkut — gnieździła się królowa niedźwiedzi. Stąd  
dzikie zwierzęta siały postrach na całą okolicę i na wszyst-  
kie połoniny. I choć nieraz udało się śmiałym owczarzom  
zabić jednego lub drugiego strzałami lub toporami, albo  
zwabić pod barć, gdzie łamała mu kark ciężka, spadająca  
na dół kłoda, to jednak liczba ich była zbyt wielka, aby  
miała być z tego jakakolwiek ulga dla okolicy. Toteż nie-  
dziw, że kiedy nowoprzybyły bojar, Tuhar Wilk, obwie-  
ścił Tucholanom, że chciałby urządzić wielkie łowy na nie-  
dźwiedzia i prosił ich o przewodnika, nie tylko dali mu  
pierwszego zucha na całej tucholskiej wyżynie, Maksyma  
Berkuta, syna starosty tucholskiej gromady Zachara,  
ale przygotowali również z własnej woli cały oddział na-  
ganiaczy z łukami i ratyszczami, ku pomocy zebranych  
bojarom. Cała ta gromada miała okrążyć niedźwiedzie  
legowisko i oczyścić je od razu od złośliwych zwierząt.

Od samego świtu panował w obozie łowieckim go-  
rączkowy ruch i trwożne wyczekiwanie. Bojarskie sługi  
od północy zwijały się przygotowując dla gości strawę na  
cały dzień, napełniając podróżne bukłaki szumiącym mio-  
dem i jabłecznikiem.

Tucholscy naganiacze gotowali się ostrząc noże i ta-  
saki, wkładając na stopy mocne, żubrowe ciżmy i składa-

jąc w niewielkie podróżne sakwy pieczone mięso, placki, ser i wszystko, co tylko mogło się przydać w całodziennym, trudnym przeprawie. Maksym Berkut, który dopiero teraz, w obliczu najważniejszego i najcięższego zadania, poczuł się samym sobą, prawdziwym naczelnikiem tej niewielkiej armii, wydawał rozkazy z pełną powagą dowódcy, zarządzając wszystkim, co należało do wyprawy, nie zapominając o niczym, z niczym się nie śpiesząc, ale też z niczym się nie opóźniając.

Spełniał wszystko we właściwym czasie i miejscu, bez mieszanki i nieładu; był wszędzie, gdzie trzeba, wszędzie umiał zaprowadzić ład i porządek. Czy to między swoimi towarzyszami, tucholanami, czy to między bojarami i ich sługami — wszędzie był jednakowo spokojny w ruchach i słowach, jak równy wśród równych. Towarzysze zachowywali się tak samo jak on wobec nich — swobodnie, bez przymusu, śmiali się i żartowali z nim, a mimo to wypełniali jego rozkazy dokładnie i szybko, i tak wesoło i ochoczo, jakby i sami, bez rozkazu, byli zrobili w tej chwili to samo. Bojarska służba, choć nie tak równego usposobienia, daleko mniej swobodna w zachowaniu się i o wiele pochopniejsza do szyderczego wyśmiewania się z jednych, do niskiego kłaniania się innym, poważała jednak Maksyma Berkuta za jego prostotę i roztropność i choć nie bez przycinków i żartów, robiła przeciw to, co kazał. A i sami bojarowie, po większej części ludzie hardzi, bitni, co niechętnie widzieli „smerda“ w swoim gronie, i to jeszcze smerda, który uważał ich jakby za równych sobie, i oni teraz nie okazywali wyraźnie swojej niechęci i wypełniali zarządzenia młodego przewodnika, mogąc się przekonać na każdym kroku, że zarządzenia te były rozumne, zapobiegliwe.

Słońce jeszcze nie weszło, gdy towarzystwo łowieckie wyruszyło z obozu. Nad górami wisiała głęboka cisza. Zmierzch nocny drzemał pod ciemnozielonymi koronami świerków, na gęstych pierzastych liściach paproci wisiały krople rosy; pełzające zielone łodygi wiły się pod nogami,

plątały się między korzeniami olbrzymich, zwalonych pni, tworzyły nieprzebyte gąszcze z wiciami giętkiej, kolącej jeżyny i ze splotami dzikiego, pnącego się chmielu. Z przepaścistych, czarnych gardzieli wąwozów podnosiła się tumanami mgła — znak, że na dnie tych wąwozów płyną niewielkie, leśne potoki. Powietrze w lesie przesycone było tą mgłą i zapachami żywicy. Zapierało oddech i zdawało się, jakby trzeba było szerszych piersi, by można nim było oddychać.

Milcząc przedzierała się drużyna łowiecka przez nieprzebyte bagna, przez wąwozy i zwaliska bez żadnej ścieżki, bez żadnych przewodnich znaków w mrocznej gęstwinie lasu. Na przodzie szedł Maksym Berkut, za nim zaś Tuhar Wilk i inni bojarowie. Obok Tuhara szła jego córka, Mirosława. Pochód zamykali tucholscy naganiacze. Wszyscy idąc oglądali się dokoła i pilnie nadśluchiwali.

W lesie zaczynało się już budzićienne życie. Barwnopióra sojka skrzeczała na wierzchołkach świerków, zielony dzięcioł, przyczepiwszy się do pnia tuż nad głowami przechodzących, dłubał korę swoim żelaznym dzióbem. W dalekich gęstwinach leśnych słyhać było ryk turów i wycie wilków. Niedźwiedzie o tej porze najadłszy się drzemały pod zwaliskami na mszystej pościeli. Stado dzików chrząkało gdzieś w wąwozie, chłodząc się w zimnym mule.

Z godzinę może szli myśliwi tą trudną, niewydeptaną drogą. Wszyscy ciężko oddychali, nie mogąc tchu złapać, wszyscy ocierali z twarzy kroplisty pot. Maksym coraz to częściej spozierał za siebie. Zrazu przeciwny był temu, aby i kobieta szła z mężczyznami na tę niebezpieczną wyprawę, lecz Mirosława uparła się. Pierwszy raz była na tak wielkich łowach i miałaby dla bóg wie jakich trudności nie brać udziału w najpiękniejszej ich części! Żadne Maksymowe wywody o trudnościach drogi, o niebezpieczeństwach na stanowisku, o sile i wściekłości zwierza, nie mogły jej przekonać. „Tym lepiej, tym lepiej“, mówiła ona z takim śmiałym wyrazem twarzy, z takim słodkim

uśmiechem, że Maksym, niby oczarowany, nie mógł już nic więcej powiedzieć.

I ojciec, choć z początku również radził Mirosławie, aby pozostała w obozie, ulec musiał w końcu jej prośbom. Z podziwem patrzył teraz Maksym, jak ta nadzwyczajna dziewczyna na równi z najsilniejszymi mężczyznami pokonywała wszelakie trudności uciążliwej drogi, jak iekko przeskakiwała zgniłe pnie i olbrzymie wyrwy, jak pewnym krokiem przechodziła stromymi wąwozami ponad urwiskami i górami, jak prześlizgiwała się między zwaliskami z taką pewnością, tak niestrudzenie, że Maksymowi zdawało się, że unosi się ona chyba na jakichś cudownych skrzydłach. Patrzył na to wszystko i nie mógł się napatrzeć.

— Dziwna dziewczyna! — myślał raz po raz — nigdy jeszcze takiej nie widziałem!

W końcu przybyli na miejsce. Niedźwiedzie legowisko stanowił wysoki pagórek, niedostępny z południowej strony, pokryty olbrzymimi bukami i świerkami, zavalony zwaliskami skał i pni drzewnych. Od północy, zachodu, i wschodu zamykały wyjście i wejście wysokie skaliste ściany, niby odrąbane ogromną siekierą od ciała olbrzyma - Zełemenia i odsunięte od niego na kilkanaście sążni. Spodem, popod tą ścianą szumiał i pieniał się wąską szczeliną górski potok. Takie położenie ułatwiało pracę naszym myśliwym. Powinni oni byli tylko obsadzić niezbyt szeroki upłaz od południowego boku i postępować tym upłazem coraz to bardziej w górę, a zwierz nie mając innego wyjścia dostać się musiał w ich ręce i pod ich rątcza.

Znalazłszy się na tym ważnym, choć bardzo niebezpiecznym upłazie, kazał Maksym Berkut towarzystwu rozłożyć się na chwilę i spocząć, aby nabrać sił potrzebnych do wykonania trudnego zadania. Słońce wschodziło, lecz korony świerków i sąsiednie pagórki zasłaniały jego widok. Po krótkim odpoczynku zaczął Maksym rozstawiać myśliwych w dwa rzędy, tak aby obsadzić cały upłaz. Tam, gdzie

upłaz był jeszcze wąski, miał każdy myśliwy stać o 5 kroków jeden od drugiego; dalej jednak, w górze, gdzie upłaz rozszerzał się tworząc całą niebezpieczną płaszczyznę — tam wypadło myśliwym rozstąpić się szerzej.

Jedno tylko wprawiało go w kłopot — co począć z Mirosławą, która chciała koniecznie stać na oddzielnym stanowisku, a nie przy boku swego ojca.

— A cóż, czym ja gorsza od tych tam twoich naganiaczy — mówiła do Maksyma rumieniąc się jak róża. — Ich, to możesz stawiać na stanowisku, a mnie nie chcesz... Nie, do tego nie dojdzie. Byłby to wstyd i dla ojca również, gdyby nas dwoje stało na jednym stanowisku. Prawda, ojczulku ?

Tuhar Wilk nie mógł się sprzeciwić. Maksym począł mówić o niebezpieczeństwie, o siłę i okrucieństwie rozżartego zwierza, lecz ona go uciszyła słowami:

— A cóż to, czy nie mam siły ? A cóż to, czy nie władam łukiem, ratyszczem i toporem ? Ano! Niechajże któryś z twoich naganiaczy spróbuje się ze mną — zobaczymy, kto mocniejszy.

Maksym umilkł w końcu i musiał uczynić tak jak chciała. Czy mógł sprzeciwić się tej dziwnej, czarującej dziewczynie ? Chciał jej przynajmniej wyznaczyć najmniej niebezpieczne stanowisko, lecz na nieszczęście nie można było tego zrobić, bo wszystkie stanowiska były tutaj równie niebezpieczne. Rozstawiwszy całe towarzystwo dał Maksym takie rozporządzenie:

— Pomodlimy się teraz jak kto umie, potem zaś zadmijmy w rogi. Będzie to pierwszy znak, który spłoszy zwierza. Potem pójdziemy w górę upłazem i zatrzymamy się dopiero w tym miejscu, gdzie zaczyna się rozszerzać. Tam zostaną moi towarzysze, aby pilnować wyjścia, by ani jeden zwierz nam nie uszedł, wy zaś, bojarowie, pójdziecie dalej, aż do samego matecznika.

W dobrą chwilę potem zabrzmiały lasy i połoniny chrapliwym rykiem żubrowych rogów. Niby olbrzymia fala potoczył się głos po lasach i kniejach, rozbijając się, głuch-

nać, to znów potężniejąc. Przebudziły się lasy, zaskrzeczała kania nad wierzchołkami świerków, spłoszony orzeł wysoko wymachując skrzydłami podniósł się w powietrze, zachrząścił zwierz między zwaliskami szukając bezpiecznej kryjówki. Naraz ucichł ryk rogów i myśliwi poczęli iść upłazem do góry. Serca wszystkich zabiły żywiej w oczekiwaniu niewiadomych niebezpieczeństw, boju i zwycięstwa. Ostrożnie przedzierali się szeregami: na przedzie szereg bojarski, za nim służba. Maksym szedł na czele pilnie nad słuchując i śledząc zwierzynę. Król zapadłsk, niedźwiedź, nie pokazywał się jeszcze.

Doszli wreszcie do samej najwęższej gardzieli, poza którą upłaz rozszerzał się tworząc wielką, pełną kryjówek płaszczyznę. Myśliwi zatrzymali się tutaj znowu na rozkaz Maksyma i znów zabrzmiały z większą jeszcze siłą żubrowe rogi niosąc trwogę w niedźwiedzie legowiska. Nagle niedaleko, za olbrzymią kupą grubych, przegniłych pni, zatrzeszczała gałąź.

— Bacność! — krzyknął Maksym — zwierz się zbliża!

Ledwo wypowiedział te słowa, gdy wtem w wielkiej szczelinie między dwoma przewróconymi pniami mignęła włochata głowa i dwoje czarnych oczu na pół ciekawie, na pół trwożnie spojrzęło na Tuhara Wilka, który stał na swoim stanowisku właśnie o jakie dziesięć kroków przed szczeliną. Tuhar, stary wojak i stary myśliwy, nie znał, co to trwoga, toteż nie mówiąc ani słowa, nie odzywając się do nikogo, wyjął z sajdaka ciężką, żelazną strzałę, założył na łuk i zmierzył do zwierza.

— Mierz w oko, bojarze! — szepnął z tyłu Maksym.

Chwila trwożnego milczenia — świsnęła strzala — i zaryczał zwierz rzuciwszy się w tył z wściekłością. I choć znikł przez to z oczu myśliwym skrywszy się za kupę zwalisk, nie ścichł jednak jego ryk i nie ścichło wściekłe szamotanie się.

— Dalej za nim! — krzyknął Tuhar Wilk i rzucił się do szczeliny, w której znikł niedźwiedź. Jednocześnie dwaj

bojarowie wdrapali się już na szczyt zwaliska, podnieśli swoje ratyszczki i starali się nadać im odpowiedni rozmach, aby dobić zwierza.

Tuhar Wilk stojąc w szczelinie wypuścił za nim drugą strzałę. Zwierz zaryczał jeszcze potężniej i rzucił się do ucieczki, lecz oczy jego spłynęły krwią — nie mógł znaleźć wyjścia i obijał się o drzewa. Ratyszczki jednego z bojarów utknęło mu pod żebrami, lecz nie zadało jeszcze śmiertelnej rany. Dziki ryk rannego niedźwiedzia rozlegał się coraz potężniej. W rozpaczy podniósł się na zadnie łapy, ocierał sobie krew z oczu, rwał i rzucał gałęzie przed siebie, lecz nadaremnie; jedno jego oko przeszyte było strzałą, drugie zaś raz po raz spływało krwią.

Miotając się na oślep dokoła zbliżył się zwierz znowu do Tuhara Wilka. Ten odrzucił łuk przyczaiwszy się za zwalonym korzeniem, chwycił oburącz swój ciężki topór i kiedy niedźwiedź dobierał się po omacku do znajomej sobie jamy, ciał go z całej siły w głowę, tak, aż czaszka rozpruła się na dwoje niby rozbita dynia. Trysnął na bojara krwawy mózg i cicho, bez ryku, powalił się zwierz na ziemię. Zahuczały radośnie trąby bojarów na znak pierwszego zwycięstwa. Zwierza wyciągnięto spomiędzy zwalisk i obdarto ze skóry. Bojarowie ruszyli dalej w gęstwinę. Słońce weszło już i migotało teraz między konarami niby ukośne i złote smugi. Myśliwi szli teraz o wiele weselej, przechwalając się swoją odwagą i siłą.

— Choć ja tylko wilk, niewielki zwierz, dam jednak jeszcze radę tucholskiemu niedźwiedziowi! — żartował śmiejąc się Tuhar Wilk.

Maksym Berkut słuchał tych przechwałek i sam niewiedział, czemu zrobiło mu się żal tucholskiego niedźwiedzia.

— Cóż, — odrzekł — głupi zwierz ten niedźwiedź, w samotności się trzyma. A gdyby tak zebrały się one razem, to kto wie, czy dałoby im radę nawet stado wilków.

Tuhar spojrział nań gniewnie, lecz nic nie odpowiedział. Myśliwi ostrożnie postępowali dalej, wdrapując się

na zwaliska, przeskakując z jednego pnia na drugi, zapadając się nieraz po pas w próchno i kupy gałęzi. Pośród tych zwalisk majestatycznej przyrody widniały tu i ówdzie niedźwiedzie ścieżki, poprzecierane od dawien dawna, wąskie, ale dobrze wydeptane, gęsto zasiane zbielałymi kośćmi baranów, jeleni i wszelkiej innej zwierzyny. Maksym trzymał się teraz z tyłu za bojarami, obchodził raz po raz wszystkie stanowiska, badał ślady, aby zmiarkować, czy są świeże, czy też nie, pomagał, dodawał otuchy zmęczonym — i tylko na nim jednym nie było znać śladów żadnego zmęczenia. Z podziwem spozierała na niego Mirosława, gdy koło niej przechodził, i choć widziała już wielu śmiałych i silnych młodzieńców, lecz takiego jak Maksym, który łączył w sobie wszystkie zalety silnego robotnika, rycerza i wodza, nie widziała dotychczas.

Naraz zatrzeszczała gałąź i z gniewnym rykiem wypadł na myśliwych olbrzymi niedźwiedź. Biegł zrazu na czterech łapach, lecz ujrawszy wrogów przed sobą, podniósł się na tylne łapy, w przednie zaś chwycił złamany przez burzę konar bukowy, wymachując nim dokoła i raz po raz wydając urywany, jakby wyzywający ryk.

Na stanowisku naprzeciw zwierza stało dwóch podgórskich bojarów, z tych, co to najgłośniej przechwalali się i chcieli przed wszystkimi okazać się najlepszymi myśliwymi. Ujrawszy strasznego wroga tuż przed sobą, zbledli nagle i zadygotali ze strachu.

Nie uchodziło przecież skryć się lub uciekać — trzeba było stawić czoło bez względu na to, co się stanie. Dwie strzały wyleciały równocześnie z dwóch łuków, lecz jedna chybiła świsnąwszy tylko niedźwiedziowi nad uszami, druga zaś trafiła zwierza w bok, nie raniąc go ciężko, a tylko rozdrażniając go jeszcze bardziej. Olbrzymim krokiem rzucił się niedźwiedź i cisnął na jednego z myśliwych swój oręż, bukowy konar, który ze straszną siłą runął na drzewo. Nie zatrzymując się ani na chwilkę i nie dając wrogom czasu do namysłu, rzucił się niedźwiedź na jednego z nich, który stał właśnie na jego wydeptanej ścieżce.

Błysnęło ratyszczę w drżącej ręce bojara — zamierzył się na niedźwiedzia.

— Nie rzucaj! — krzyknął trwożnie Maksym nadbiegając i wiodąc z sobą w pomoc zagrożonemu bojarowi Tuhara Wilka i jednego jeszcze z bojarów — nie rzucaj ratyszczem, lecz nastaw tarczę i broń się!

Ale bojar nie słuchał i rzucił ratyszczę na zwierza.

Rozmach był niewielki, ręka bojara drżała — niedźwiedź znajdował się już w odległości jakichś pięciu kroków, nie dziw tedy, że ratyszczę słabo zraniło zwierza w przednią łopatkę. Niedźwiedź chwycił za drzewce, złamał je i ze strasznym wyciem rzucił się na swego wroga. Ten trzymał jeszcze w rękach prosty, obosieczny miecz, który nazywał się niedźwiedźnikiem, i gotował się wepchnąć jego ostrze w pierś niedźwiedzia. Ostrze ześliznęło się po kości i utknęło w łopatce, a zwierz chwycił bojara w swe straszne, żelazne objęcia. Krzyknęła przeraźliwie nieszczęśliwa ofiara; zachręściły kości pod niedźwiedzimi zębami. Cały ten straszny i grozą przejmujący wypadek stał się tak nagle, tak niespodziewanie, że nim Maksym nadbiec mógł z pomocą, bojar leżał już na ziemi rżąc w przedśmiertnych drgawkach, nad nim zaś stał krwawy niedźwiedź wyszczerzywszy straszliwe zęby i ryjąc na cały las z bólu od otrzymanych ran.

Dreszcz przeszedł wszystkich na ten widok; bojarowie stali jak wryci. Tylko Maksym założył spokojnie strzałę na swój rogowy łuk, podszedł o dwa kroki bliżej do niedźwiedzia i wycelowawszy jedną chwilę wypuścił strzałę prosto w serce. Jak nożem ścięty urwał się ryk zwierza i niedźwiedź runął martwy na ziemię.

Nie grały rogi, nie dźwięczały wesołe okrzyki po tym nowym zwycięstwie. Bojarowie rzuciwszy swoje stanowiska zbiegli się na miejsce nieszczęścia. Choć zahartowani w wojnach, przywykli widzieć śmierć koło siebie, to jednak na widok krwawego i rozszarpanego trupa wyrwało się z ich piersi ciężkie westchnienie.

Mirosława chwyciła się za serce i zakryła oczy. Tucholscy naganiacze położyli trupa na splecione z gałęzi maryl, a za nim pociągnęli i niedźwiedzia. Wśród myśliwych zaległo ponure milczenie. Wielka kałuża krwi błyszczała w słońcu i przypominała wszystkim, że stał tu jeszcze przed chwilą żywy człowiek, ojciec dzieci, wesoły, ochoczy i pełny nadziei, a teraz została z niego tylko bezkształtna bryła krwawego mięsa. Większość bojarów straciła ochotę do łowów. Niech diabli wezmą przeklęte niedźwiedzie! — mówili niektórzy — po cóż my mamy dla nich narażać życie?

Ale Tuhar Wilk, a szczególnie Mirosława i Maksym, nalegali usilnie, aby dokończyć rozpoczęte dzieło. Bojarowie przystali wreszcie na to, lecz nie bardzo jakoś chciało im się powracać na swoje stanowiska.

— Pozwólcie i mnie, bojarowie, rzec słowo — ozwał się do nich Maksym. — Moi towarzysze, tucholanie, zamknęli wyście i nie wypuszczą stąd ani jednego zwierzęcia. Dlatego też nie trzeba nam rozchodzić się daleko jedni od drugich. Najlepiej będzie, myślę, podzielić się na dwie roty i iść brzegiem przepaści po obu jej stronach. W ten sposób będziemy mogli najlepiej zagnać zwierza do środka, tam zaś razem z tucholskimi naganiaczami obstąpimy go zwartą ławą i wystrzelamy niedźwiedzie co do jednego.

— A pewnie, a pewnie, że tak lepiej! — krzyknęli niektórzy z bojarów nie widząc drwiącego uśmiechu, który przemknął po ustach Maksyma.

Towarzystwo podzieliło się. Jedną rotę prowadził Tuhar Wilk, a drugą Maksym. Mirosława przyłączyła się z własnej chęci do drugiej roty, choć sama nie mogła sobie wytłumaczyć, czemu tak postąpiła. Być może, że szukała niebezpieczeństwa, bo Maksym mówił wyraźnie, że droga drugiej roty jest o wiele niebezpieczniejsza. Znow zagrały rogi i obie roty rozeszły się. Myśliwi szli bądź to parami, bądź pojedynczo, to schodząc, to rozchodząc się, by znaleźć drogę. Iść gromadą nie można było w żaden

sposób. Zbliżali się do samego szczytu. Sam szczyt był nagi, lecz niżej trochę wznosiły się całe zwały kamieni, zwalisk i wywrotów. Tędy też przejść było najtrudniej i najniebezpieczniej.

W jednym miejscu, niby wysoka baszta, sterczała kupa zwalisk, złomy, kamienie i nawiane od dawien dawna liście zagradały, zda się, wszelki przystęp do naturalnej twierdzy. Maksym podpełznął nad sam brzeg głębokiej przepaści czepiając się, gdzie tylko było można, skalnych olbrzymów, by znaleźć tędy przejście. Bojarowie, nie nawykli do takich nieprzystępnych i karkołomnych dróg, poszli wzdłuż wału, mając nadzieję znaleźć dalej jakieś przejście i obejść je. Mirosława zatrzymała się, jak gdyby coś trzymało ją w pobliżu Maksyma: jej bystre oczy wpatrywały się uważnie w spiętrzoną przed nią ścianę skalnego urwiska, szukając choćby najtrudniejszego przejścia. Ale niedługo tak patrzyła, lecz śmiało zaczęła się wdzierać na olbrzymie bryły i kamienne zwały, które tarasowały przejście.

Stała na szczycie i dumnie spojrzała dokoła.

Bojarowie odeszli już dosyć daleko, Maksyma nie było widać, przed nią zaś rozpościerała się bezładna mieszanina skał i łomów, przez którą, zda się, przejście było niemożliwe. Ale nie! O, tam, niedaleko, leży olbrzymi świerk jak kładka przerzucona ponad tym piekłem — tędy można bezpiecznie przejść do szczytu. Niewiele myśląc wstąpiła Mirosława na tę kładkę. Wchodząc na nią obejrzała się raz jeszcze i dumna ze swego odkrycia przyłożyła piękny toczony róg do swych koralowych ust i zatrąbiła na cały las. Dźwięk potoczył się nad połoninami rozbijając się w wąwozach i przepaściach na coraz to więcej części, aż póki nie zamarł gdzieś w dalekich, niedostępnych głębiach. Na głos rogu Mirosławy ozwał się z daleka róg jej ojca, a potem i rogi innych bojarów. Chwilę jeszcze wahała się Mirosława stojąc wysoko na zwalonym pniu. Świerk był bardzo stary i na wskroś spróchniały, a na dole, w nieprzejrzanej gąszczu gałęzi, zdawało jej

się, że słyszy lekki chrzęst i pomruk. Przysłuchiwała się lepiej — nic nie słysząc. Wstąpiła tedy śmiało na swoją kładkę. Ledwo jednak uszła z pięć kroków, gdy nagle zatrzeszczał przegniły świerk, złamał się pod jej nogami i śmiała dziewczyna razem z przegniłym świerkiem runęła w dół, na gałęzie i zwaliska. Spadła na nogi nie wypuszczając broni. W rękach mocno ścisnęła kowane srebrem ratyszczce. Przez plecy przewieszony miała silny łuk i sajdak ze strzałami, a za pięknym skórzanym pasem, który jak ulany obejmował jej smukły dziewczęcy stan, zatknięty był topór i szeroki myśliwski nóż z kościaną rękojeścią. Zwaliwszy się niespodzianie w przepaść, nie poczuła jednak ani na chwilę strachu i poczęła rozglądać się jeno dokoła, szukając wyjścia. Początkowo niczego nie była w stanie wyraźnie dostrzec, ale rychło oczy jej przywykły do półmroku i zobaczyła taki obraz, który i najśmielszego przejąłby śmiertelną trwogą.

Nie dalej jak o pięć kroków przed nią leżała ogromna niedźwiedzica koło swoich małych i gniewnymi, zielonkawymi oczami patrzyła na niespodziewanego gościa. Mirosława zadrżała. Czy wdać się w walkę z tym strasznym zwierzem, czy szukać wyjścia i sprowadzić pomoc? Ale nie łatwo było znaleźć wyjście: dokoła piętrzyły się zwały gałęzi i obrywy skał, i choć można by było przejść przez nie z dużym wysiłkiem, to poszukiwania takie byłyby nadzwyczaj niebezpieczne na oczach zwierza. Nie namyślając się długo, zdecydowała się Mirosława nie zaczepiać zwierzęcia i tylko bronić się w razie napaści, a tymczasem zatrąbić sygnał na trwogę i zawołać o pomoc. Skoro tylko jednak zatrąbiła, niedźwiedzica zerwała się z legowiska i wyjąc rzuciła się na nią. Nie miała już czasu Mirosława brać się do łuku — zwierz był nadto blisko. Obiema rękami chwyciła ratyszczce i oparłszy się plecami o kamienną bryłę nastawiła ostrze przeciw niedźwiedzicy. Zwierz obaczywszy błyszczące żelazo zatrzymał się. Obaj wrogowie stali tak przez dłuższą chwilę, nie spuszczać się z oka, nie ruszając się ani na chwilę ze swego stanowiska.

Mirosława nie śmiała napaść pierwsza na niedźwiedzicę — niedźwiedzica zaś śledziła oczyma, jakby tu natrzeć na wroga. Nagle chwyciła w przednie łapy duży kamień i podnosząc się na tylne nogi rzucić nim chciała na Mirosławę. Ale w tej samej chwili, gdy niedźwiedzica uniosła się na zadnie łapy, Mirosława jednym potężnym ruchem wepchnęła jej ratyszczę między łopatki. Niedźwiedzica ryknęła straszliwie i przewróciwszy się na wznak oblała się krwią. Rana nie była jednak śmiertelna i niedźwiedzica szybko podniosła się znów na nogi. Krew ciekła z niej, ale nie zważając na ból rzuciła się znów na Mirosławę. Niebezpieczeństwo było straszne. Rozżarty zwierz sadził prosto przed siebie błyskając już teraz swymi straszliwymi zębami. Mirosławie pozostał jeden tylko ratunek — wdrapać się na głaz, o który oparta była plecami. Chwila — jeden ruch — i oto stała na głazie. Poczuli się trochę lepiej, położenie jej nie było teraz takie niebezpieczne, gdyż w razie napadu można było uderzyć zwierza z góry. Ledwo jednak Mirosława zdołała spostrzec, co robi niedźwiedzica, gdy zwierz stał już blisko niej na kamieniu, rycząc groźnie i rozdziawiając zakrwawioną paszczę. Zimny pot wystąpił na czoło Mirosławy: wiedziała, że nadeszła teraz decydująca chwila, że na tej wąskiej, kamiennej płycie rozegrać się musi walka na śmierć i życie, i że zwycięzcą pozostanie ten, kto utrzyma się na stanowisku i zepchnie z niego przeciwnika. Niedźwiedzica była już blisko. Mirosława próbowała odgrodzić się od niej ratyszczem, lecz niedźwiedzica chwyciła za drzewce zębami i szarpnęła je tak silnie, że omal nie zepchnęła Mirosławy z kamienia. Ratyszczę wysliznęło jej się z rąk i zwierz rzucił nim daleko w gałęzie.

— Teraz przyjdzie mi zginąć — przemknęło przez myśl Mirosławie, lecz odwaga jej nie opuszczała. Chwyciła oburącz topór i stanęła mocno do ostatecznej obrony. Zwierz był coraz to bliżej — Mirosława czuła już na swojej twarzy jego gorący oddech, włochata łapa uzbrojona ostrymi pazurami godziła w jej piersi — jeszcze chwila

i krwawa, poszarpana, runęłaby z kamienia, bo toporzysko było za krótkie wobec tego olbrzymiego zwierza.

— Ratunku! — krzyknęła Mirosława w śmiertelnej trwodze i w tej samej chwili błysnęło nad jej głową rątszcze i pchnięta w gardło niedźwiedzica jak kłoda zwała się z kamienia. W szczelinie między kamiennymi zwaliskami ponad głową Mirosławy ukazała się radosna, pałająca ogniami twarz Maksyma Berkuta. Wdzięczne spojrzenie uratowanej dziewczyny przejęło Maksyma na wskroś. Ale nie padło między nimi ani jedno słowo. Nie było na to czasu. Niedźwiedzica żyła jeszcze i z rykiem zerwała się z miejsca. Jednym skokiem znalazła się koło swoich małych, które, nie rozumiejąc całej tej strasznej walki, bawiły się i przewracały w legowisku. Obwąchawszy je niedźwiedzica rzuciła się znów na Mirosławę. Ale Mirosława była już na to przygotowana i podniósłszy oburącz topór, jednym cięciem rozrąbała głowę niedźwiedzicy. Runął okrwawiony zwierz i rzuciwszy się jeszcze kilka razy, skonał.

Tymczasem i Maksym przedarłszy się przez nawalone gałęzie stanął obok Mirosławy. W oczach dziewczyny zabłysły dwie perłowe łzy i nie mówiąc słowa uściśnęła gorąco rękę swego wybawiciela. Maksym zmieszał się, zarumienił, opuścił oczy i zacinając się rzekł:

— Słyszałem twój sygnał trwogi,... ale nie wiedziałem, gdzieś ty... Dobrze i tak, że się tu dostałem!

Mirosława stała jeszcze na miejscu trzymając rękę pięknego chłopca w swojej ręce i patrząc na jego dobrą, otwartą, szczerą twarz opaloną przez słońce i oblaną zdrowym rumieńcem. W tej chwili nie czuła ona nic więcej, prócz wdzięczności za uratowanie jej od niechybnej śmierci. Ale kiedy Maksym ośmieliwszy się trochę ścisnął jej delikatną, a tak silną rękę, wówczas Mirosława poczuła, jak coś słodko ścisnęło ją za serce, jak twarz jej zapalała wstydliwym rumieńcem — spuściła oczy, a słowa podziękii, które powinna była powiedzieć, zamarły na wargach i rozlały się po twarzy dziwnym czarem serdecznego

uczucia. Maksym oprzytomniał pierwszy. W sercu jego śmiałym i czystym jak szczerze złoto zrodziła się szczęśliwa myśl, która przemieniła się już teraz w niezłomne postanowienie. Wróciło mu to całą śmiałość i pewność postępowania. Przyłożywszy róg do ust zatrąbił radośnie na znak zwycięstwa. Zaraz też za ścianą ozwały się rogi Tuhara i innych bojarów. Mirosława, zwinna jak wiewiórka, wydrapała się szybko na ten wał, z którego przedtem spadła, i opowiedziała całemu towarzystwu o swej przygodzie i pomocy, którą otrzymała od Maksyma. Z trudem wydrapał się tutaj Tuhar Wilk, za nim zaś i inni bojario- wie. Tuhar długo trzymał córkę w objęciach, a ujrawszy krew na jej odzieży, aż zadrżał.

— I ty, ty, moja córko, byłaś w takim niebezpieczeństwie!

I raz po raz ścisnął córkę, jak gdyby bojąc się ją utracić. Potem zszedł w dół do Maksyma, który krzątał się koło niedźwiedzicy i małych niedźwiadków. Młode, które nie widziały jeszcze w człowieku swego wroga, mruzczały rozkosznie w legowisku i bawiły się jak małe pieski. Pozwalały się głaskać rękami i zupełnie nie bały się ludzi. Maksym wziął je na ręce i położył przed Mirosławą i Tuharem.

— Oto wasza zdobycz! — rzekł. — Chętnie pewnie przyjmiecie do swego domu takich gości.

Zgromadzeni bojarowie spojerali radośnie na małe niedźwiadki, to znów ze strachem na zabita niedźwiedzicę. Oglądali rany i podziwiali siłę i śmiałość Mirosławy, która potrafiła wdać się w walkę z takim strasznym zwierzęciem.

— O, nie, — rzekła śmiejąc się Mirosława — bez pomocy tego oto dzielnego młodzieńca byłabym teraz leżała poszarpana i zakrwawiona tak jak ta niedźwiedzica. Jemu też ode mnie należy się gorące podziękowanie.

Tuhar Wilk jakoś niechętnie słuchał tych słów córki. Choć bardzo ją kochał i choć cieszył się jej wybawieniem z wielkiego niebezpieczeństwa, ale mimo to wszystko wolałby jednak, aby córkę jego wyratował bojarski syn,

a nie ten prosty tucholski chłop, nie ten „smerd“, chociaż nawet ten smerd mógł się Tuharowi podobać. A przecież jemu, dumnemu bojarowi, co wyrósł i dosłużył się wielkich zaszczytów na książęcym dworze, trudno było wobec wszystkich dziękować chłopu za uratowanie córki. Ale cóż było robić! Obowiązek wdzięczności był u naszych rycerskich przodków zakorzeniony tak głęboko, że i Tuhar Wilk nie mógł się spod niego wyłamać. Wziął Maksyma za rękę i wyprowadził go przed bojarów.

— Młodzieńcze — rzekł — córka moja, jedyne moje dziecko, mówi, żeś uratował jej życie od wielkiego niebezpieczeństwa. Nie mam powodu, aby nie wierzyć jej słowu. Przyjmijże za swój dzielny uczynek podziękę ojca, którego cała miłość i cała nadzieja spoczywa w tym tylko jednym dziecku. Nie wiem, czym możemy tobie odplacić się za ten uczynek, ale bądź pewien, że kiedy to tylko będzie w mojej mocy, wówczas bojar Tuhar Wilk nie zapomni tego, co tobie zawdzięcza.

Maksym stał podczas tej mowy jak na gorących węglach. Nie przywykł do takich publicznych pochwał i zupełnie nie spodziewał się i nie pragnął niczego podobnego. Zmieszał się przy bojarskich pochwałach i nie wiedział, czy odpowiedzieć cokolwiek, czy też nie, a w końcu rzekł krótko:

— Nie ma za co dziękować, bojarze! Uczyniłem to, co każdy uczyniłby na moim miejscu. Za cóż tutaj dziękować? Niechaj córka twoja chowa się w zdrowiu, lecz nie zasłużyłem na żadną wdzięczność.

Powiedziawszy to poszedł, aby zwołać swoich tucholskich towarzyszy. Przy ich pomocy obdarto szybko niedźwiedzicę ze skóry, a małe niedźwiadki przeniesiono na punkt zborny, skąd całe towarzystwo po zakończeniu polowania miało się udać do obozu.

Słońce dochodziło już do południa i sypało gorące, złociste promienie na tucholskie góry; rozgrzana żywica zapachniała silniej w lasach; gdzieniegdzie tylko, wymachując rozpostartymi skrzydłami, szybował dumnie ja-

strząb na lazurowym niebie, wysoko ponad połoninami. Cisza panowała w przyrodzie. Tylko z jednego pagórka Zełemenia dźwięczały głosy łowieckich trąb i krzyki myśliwskiego towarzystwa. Łowy skończyły się, choć nie całkiem szczęśliwie. Tucholscy pacholkiwie nieśli między myśliwymi na drążkach trzy niedźwiedzie skóry i w worku dwa niedźwiadki, a na marach z gałęzi niosły bojarskie sługi za całym towarzystwem okrwawionego, zeszywniałego już trupa nieszczęśliwego bojara, który zginął od niedźwiedzich łap.

Pod przewodnictwem Maksyma szybko doszło towarzystwo do myśliwskiego obozu. Łowy były skończone. Dzisiaj jeszcze chciało całe towarzystwo wracać do domów, i to zaraz po obiedzie. Droga była wprawdzie bliska, lecz Maksym obiecał wyprowadzić myśliwych prostszą leśną ścieżką do Tuchli, a stamtąd do dworu Tuhara Wilka. Tucholscy naganiacze rozeszli się zaraz po spożyciu obiadu do domów. Maksym pozostał z bojarami, póki słudzy nie zwinęli obozu i nie posprzątaali wszystkich kuchennych i myśliwskich przyborów; wtedy i bojarskie towarzystwo ruszyło w powrotną drogę do domu.

## II.

Starodawna wieś Tuchla była dużym osiedlem górskim z dwoma czy trzema sporymi przysiółkami, razem koło półtora tysiąca dusz. Wieś i przysiółki znajdowały się nie tam, gdzie rozpościera się dzisiejsza Tuchla, lecz daleko wyżej, pośród gór, w rozległej podłużnej dolinie, porosłej dziś lasem i zwanej Zapadłą doliną. W owych dawnych czasach, o których tutaj opowiadamy, Zapadła dolina nie była zarośnięta lasem, lecz, przeciwnie, uprawna i żywiła swych mieszkańców obfitym chlebem. Rozciągnięta na przeszło pół mili wzdłuż, a niemal na ćwierć mili wszerz, równa i mulista, obwiedziona ze wszystkich stron stromymi skalistymi ścianami, wysokości miejscami do trzech lub nawet czterech sążni, stanowiła owa dolina olbrzymi kocioł, z którego wylano wodę. I zapewne tak było na-

prawdę. Duży potok górski spadał od wschodu do tej doliny wodospadem o wysokości półtora sążnia, torując sobie drogę między ciasnymi, twardymi skałami i okręciwszy się węzłem po dolinie wypływał na zachód do ciasnej bramy, rozbijając się pomiędzy gładkimi kamieniami ścian i hucząc jeszcze kilku wodospadami, aż o ćwierć mili niżej wpadał do Oporu. Wysokie, strome brzegi tucholskiej kotliny pokryte były ciemnym lasem świerkowym, co nadawało samej dolinie pozór jeszcze większego zagłębienia i jakowejś pustelniczej ciszy oraz wyodrębnienia od całego świata. .

Była to naprawdę olbrzymia kryjówka górska, do której dostać się było można od każdej strony tylko z wielkim trudem, tak jednak wyglądały niemal wszystkie wsie górskie w tych czasach nieustannych wojen, waśni i napadów, i tylko dzięki tej swojej nieprzystępności zdołały one dłużej od wsi Podola zachować swe wolne staroruskie gromadzkie życie, które gdzie indziej coraz bardziej podkopywali dumni bojarowie, wzbogaceni na wojnach.

Ludność Tuchli utrzymywała się głównie z hodowli bydła. Tylko ta dolina, gdzie znajdowała się wieś, jak również i kilka pomniejszych dolin rzecznych, nie pokrytych jeszcze lasem, nadawała się do uprawy roli i wydawała co roku obfite plony owsa, jęczmienia i prosa. Na połoninach zaś, stanowiących tak samo jak i wszystkie lasy dokoła własność gromady tucholskiej, pasły się wielkie stada owiec, które były głównym skarbem tucholan: dostarczały im one odzieży i strawy, omasty i mięsa.

W lasach okalających wieś pasły się krowy i woły; ale sama górzysta, skalista i niedostępna miejscowość nie pozwalała na utrzymywanie wielkiej ilości rogatego bydła. Drugim głównym źródłem dostatku tuchoian były lasy. Nie mówiąc już o drzewie, które mieli oni bezpłatnie zarówno na opał jak na wszelkie zabudowania, dostarczały im lasy zwierzyny, owoców leśnych i miodu. Wprawdzie ciężkie było życie wśród lasów i nieprzystępnych dzikich gór, wprawdzie było ono ustawiczną wojną z przyrodą:

z wodami, śniegami, dzikim zwierzem i dziką nieprzystępną okolicą, ale właśnie ta wałka urabiała siłę, odwagę i przemyślność ludności, stanowiła podstawę i sprężynę jej potężnego, swobodnego ładu gromadzkiego.

Słońce ubiegło już szmat drogi z południa, gdy z wysokiego szczytu schodziło w dolinę tucholską znane nam towarzystwo myśliwych pod przewodem Maksyma Berkuta. Przodem szedł Tuhar Wilk z córką i Maksymem; reszta towarzystwa kroczyła za nimi niewielkimi gromadkami, gwarząc o skończonych łowach oraz o przygodach myśliwskich. Przed oczyma myśliwych odsłoniła się dolina tucholska, oblana palącymi promieniami słońca, niby wielkie zielone jezioro z małymi czarnymi wysepkami. Wokoło niej, jak mur olbrzymiej wysokości, szarzały kamienne ściany, po których pięły się tu i ówdzie splątane pędy zielonej jeżyny oraz krzaki leszczyny. Przy wejściu do doliny szumiał wodospad rozbijając się srebrzystą pianą o kamienie; wzdłuż wodospadu wykuty był w skale wąski wąwóz, który prowadził w górę i dalej ponad brzegiem potoku, przez szczyty i połoniny aż do krainy węgierskiej; była to znana ówczesnym góralom „Brama Tucholska“, najdogodniejsza i najbezpieczniejsza po Dukielskiej: dzieśięć okolicznych gromad ze strony halickiej i węgierskiej pracowało prawie dwa lata nad jej udostępnieniem. Tucholanie włożyli największy wysiłek w ten wyczyn, toteż pysznili się nim jak swoim.

— Spójrz, bojarze, — rzekł Maksym zatrzymując się nad wodospadem przy wejściu do stromego wąwozu wykutego w kamieniu — oto praca gromady tucholskiej! Hen, daleko stąd, poprzez Beskidy ciągnie się ta droga, pierwsza taka droga w górach. Ojciec mój sam wytyczał ją na przestrzeni pięciu mil; każdy mostek, każdy zakręt, każdy wąwóz na tym szlaku zrobiono za jego wskazówką.

Bojar z niechęcią spojrział wzwyż, gdzie na dalekiej przestrzeni ponad potokiem wiła się między skałami przebita droga górską. Potem rzucił okiem w dół, wzdłuż wąwozu i pokręcił głową.

— Czy ojciec twój ma znaczną władzę nad gromadą? — zapytał.

— Władzę, bojarze? — odrzekł zdziwiony Maksym. — Nie, władzy nad gromadą nie ma u nas nikt: władzę ma sama gromada, bojarze, i nikt prócz niej. Ale ojciec mój jest człowiekiem doświadczoneym i chętnie służy gromadzie. Tak jak on przemawiać na radzie gromadzkiej nie potrafi nikt inny w całej okolicy. Gromada słucha ojcowej rady, ale rodzic mój nie ma i nie pożąda żadnej władzy.

Oczy Maksyma gorzały ogniem dumy i podziwu, gdy mówił o swym ojcu. Tuhar Wilk słysząc jego słowa schylił głowę w zadumie; natomiast Mirosława patrzyła na Maksyma nie spuszczając zeń oczu. Czuła ona słuchając słów Maksyma, że ojciec jego staje się jej tak bliskim, jakby całe swe życie spędziła pod jego ojcowską opieką.

Ale Tuhar Wilk coraz bardziej posepniał, zmarszczył czoło i skierował swój wzrok na Maksyma z wyrazem długo hamowanego gniewu.

— A więc to twój ojciec buntuje tucholan przeciwko mnie i przeciwko kniaziowi? — zapytał naraz cierpkim, ostrym głosem. Słowa jego uraziły Mirosławę niby bolesne dotknięcie; zbladła i spoglądała na przemian na ojca i na Maksyma. Ale Maksym, nie zmieszany zgoła tymi słowami, spokojnie odrzekł:

— Buntuje gromadę, bojarze? Nie, to, co ci powiedziano, jest nieprawdą. Cała gromada rozgniewana jest na ciebie za to, żeś przywłaszczył sobie gromadzki las i połoninę nie spytawszy nawet gromady, czy zechce na to się zgodzić.

— A więc tak, mam jeszcze się pytać waszej gromady! Książ darował mi ten las i tę połoninę i nie potrzebuję nikogo więcej prosić o pozwolenie.

— To samo właśnie prawi gromadzie mój ojciec, bojarze. Rodzic mój uspokaja gromadę i radzi poczekać aż do gromadzkiego sądu, na którym rozpatrzy się tę sprawę.

— Gromadzkiego sądu! — zawołał Tuhar Wilk. — I ja miałbym stawać przed tym sądem?

— Myślę, że będzie to pożądane i dla ciebie samego. Będiesz mógł dowieść wszystkim swego prawa, uspokoić gromadę.

Tuhar Wilk odwrócił się. Szli dalej wąwozem, który skręcał nagle w samym środku, aby uczynić drogę mniej pochyłą i niebezpieczną. Maksym idąc z tyłu nie spuszczał oczu z Mirosławy. Ale jego oblicze nie jaśniało już takim niezmaconym szczęściem jak niedawno. Im ciemniejsza chmura gniewu i niezadowolenia osiadała na czole jej ojca, tym wyraźniej odczuwał Maksym, że między nim a Mirosławą rozwiera się głęboka otchłań. A jako syn gór, nieświadomy wielkiego świata i dalekich bojarowych zamysłów, nie domyślał się nawet, jak głęboką i szeroką była naprawdę ta przepaść.

Zeszli już w dolinę. Potok utworzył pod wodospadem rozległy, spokojny stawek, czysty jak łąka. U brzegów jego wznosiły się wysokie czapki perłowej szumiącej piany; dno najeżone było wielkimi i małymi odłamami skał; bystre jak strzały pstrągi pobłyskiwały między kamieniami swymi perłowo - żółtymi, czerwono centkowanymi bokami; w głębi zatoki, na samym dole szumiała kamienna ściana wodospadu jak żywa srebrna kolumna, mieniąca się na słońcu wszystkimi barwami tęczy.

— Jakie precudowne miejsce! — zawołała z podziwem Mirosława wpatrując się w wodospad i w narzucane dziko skały, obwiedzione z góry ciemnozielonym całunem świerkowego lasu.

— Oto nasza Tucholszczyzna, nasz raj! — rzekł Maksym obrzucając okiem dolinę i góry, i wodospad z taką dumą, z jaką nie każdy król ogląda swe państwo.

— Tylko wy zatrujecie mi życie w tym rajku — odrzekł z gniewem Tuhar Wilk.

Nikt nie odezwał się na te słowa; wszyscy troje szli dalej w milczeniu. Oto zbliżali się już do wsi, która rozrzucona była gęstymi gromadami porządnych, krytych dranic chat, gęsto obsadzonych jarzębiną, wierzbami i rozłożystymi gruszami. Lud pracował w polu; tylko poważni,

siwobrodzi starcy krzatali się koło chat ciosając coś lub plotąc sieci na zwierzynę i na ryby, wreszcie gwarząc o gromadzkich sprawach. Maksym kłaniał się im i witał ich głośno i przyjaźnie; potem i Mirosława zaczęła witać starzych tucholan, którzy stali na drodze; jeno Tuhar Wilk szedł ponury i milczący i nawet spojrzeć nie chciał na tych smerdów, co śmieli sprzeciwiać się woli jego księcia. Aż oto pośród wsi spotkało ich dziwne towarzystwo. Trzej starcy odziani świątecznie nieśli drogą na wysokim, pięknie wytoczonym, ozdobnie srebrem okutym drągu, łańcuch, również okuty srebrem, zrobiony w całości z jednej sztuki drzewa w kształcie pierścienia nierozzerwalnego i zamkniętego wewnątrz. Nad tym łańcuchem powiewała czerwona, karmazynowa, srebrem wyszywana chorągiew. Trzej starcy szli wolno. Przed każdym dworzyszczem zatrzymywali się i wywoływali obywatela głośno po imieniu, gdy zaś zjawiał się wywołany lub ktokolwiek z mieszkańców dworzyszczu, starcy mówili.

— Jutro na radę gromadzką — i szli dalej.

— Cóż to za dziwne widowisko? — zapytał Tuhar Wilk, gdy starcy zaczęli zbliżać się do nich.

— Nie widziałeś jeszcze podobnego? — zapytał go zdziwiony Maksym.

— Nie widziałem. U nas w okolicy Halicza nie ma takiego zwyczaju.

— Na radę gromadzką zwołują — rzekł Maksym.

— Myślałem, że to popi z chorągwią — zadrwił sobie Tuhar. — U nas, gdy zwołują na radę, czynią to po cichu, podając gromadzką chorągiew z chaty do chaty.

— U nas gromadzką chorągiew obnoszą po wsi ci oto obwoływacze; powinnością ich jest wezwanie na radę gromadzką każdego gospodarza po imieniu. Wezwą i ciebie, bojarze.

— Niech tam sobie wzywają, a ja nie przyjdę. Nic mnie nie obchodzi wasza rada gromadzka. Jestem tutaj z woli kniazia i mogę sam zbierać radę, gdy uznam to za potrzebne.

— Ty... sam.... zbierać radę? — zapytał zdziwiony Maksym — bez naszych obwoływaczy? bez naszej chorągwi?

— Mam własnych heroldów i własną chorągiew.

— Ależ na twoją radę nie przyjdzie nikt z naszych gospodarzy. A jak osądzi nasza rada, tak też się i stanie w naszej gromadzie.

— Zobaczymy — odrzekł gniewnie i twardo Tuhar Wilk.

W tejże chwili zbliżyli się nasi piechurzy do obwoływaczy. Na widok bojara obwoływacze postawili chorągiew, jeden zaś z nich odezwał się w te słowa:

— Bojarze Tuharze Wilku!

— Otom jest — odrzekł ponuro bojar.

— Jutro na radę gromadzką.

— Po co?

Ale obwoływacze nic na to nie odpowiedzieli i poszli dalej.

— Nie ich to sprawa, bojarze, tłumaczyć po co — wyjaśnił Maksym usiłując na wszelki sposób załagodzić niechęć bojara do tucholskiej rady gromadzkiej. Po dłuższym milczeniu, gdy uszli już szmat drogi przez wieś, Maksym odezwał się znowu:

— Bojarze, pozwól mnie, młodemu, niedoświadczonemu, rzec tobie słowo.

— Mów! — odrzekł bojar.

— Przyjdź jutro na radę!

— I poddać się waszemu chłopskiemu sądowi?

— Cóż, bojarze, tucholska gromada sądzi sprawiedliwie, a przecież nie wstyd poddać się sprawiedliwemu sądowi?

— Tatku, — wmieszała się do rozmowy Mirosława — zrób tak jak mówi Maksym! Toż dobrze mówi! Ocalił on moje życie, nie chciałby i tobie źle radzić; zna on dobrze tutejsze zwyczaje.

Tuhar Wilk uśmiechnął się mimo woli, słysząc to iście

kobiece rozumowanie, ale czoło jego rychło znowu się zmarszczyło.

— Uszy mi już popuchły od twego gadania o tym, Maksymie! — rzekł. — No, uratował ci życie, jestem mu za to wdzięczny, a jeśli chcesz, podaruję mu parę wołów. Tutaj jednak wchodzi w grę inne sprawy, do jakich nie przystoi się mieszać ni tobie, ni Maksymowi.

— Nie, bojarze, — odrzekł na to Maksym — nie zechcesz chyba mnie poniżyć zapłatą za mój niewielki uczynek. Ani ja, ani mój ojciec nie przyjmujemy żadnej zapłaty. A że proszę cię, abys poszedł jutro na radę, czynię to jeno przez szczerą przychylność. Rad bym, bojarze, widzieć zgodę między tucholską gromadą a tobą.

— No, niechaj tak będzie, — odrzekł wreszcie Tuhar Wilk — przyjdę jutro na tę tam waszą radę, ale nie po to, by się jej poddać, jeno by obaczyć, jaka to będzie rada.

— Przyjdź, bojarze, przyjdź, — zawołał z radością Maksym — zobaczysz sam, że tucholska gromada potrafi być sprawiedliwa.

Obietnica Tuhara Wilka ulżyła sercu Maksyma. Stał się wesoły, rozmowny, pokazywał Mirosławie na prawo i na lewo wszystko dokoła, co jaśniało powabem i budziło zaciekawienie; a było tego wiele. Znajdowali się w samym środku wsi, w pośrodku doliny tucholskiej. Strome skaliste brzegi kotliny lśniły z daleka po obu stronach, niby równe, wysokie marmurowe ściany. Potok płynął pośród wsi, tuż obok drogi, szumiał i pienił się rozbijając się o kamienie nagromadzone na jego dnie, owiewając świeżym chłodem całą dolinę. Po obu stronach potoku o dość wysokich brzegach, wyrzeźbionych w mule dawnego jeziora, wybudowane były tamy z rzeczno-kamienia i grubych świerkowych pali oraz kłód, aby ochronić wieś przed powodzią. Wszędzie w poprzek potoku przerzucone były wygodne kładki z poręczami, tuż za tamami ciągnęły się skopane grządki z fasolą i grochem wijącym się w górę po tyczkach z burakami i kapustą oraz zagony pszenicy, które rozciągały się czystymi, jasnozielonymi smugami

daleko poza chaty. Chaty były porządnie ogrodzone i czysto utrzymane; ściany z gładkich bali, nie wymazanych gliną, lecz kilka razy do roku mytych i szorowanych rzeczonymi muszlami i tylko w wąskich pasmach, gdzie jeden bal stykał się z drugim, wylepione gliną i pobielone palonym wapnem, wyglądały prześlicznie pośród zielonych wierzb i grusz. Przy wejściu do każdego dworzyszczka stały dwie lipy, między którymi przymocowane były wrota pięknie plecione w rozmaite wzory. Niemal nad każdymi wrotami wisiał na żerdzi jakiś przybity drapieżny ptak: bądź to sowa, bądź sroka, bądź wrona, bądź jastrząb, bądź orzeł z szeroko rozpostartymi skrzydłami i zwisającą na dół głową: były to godła duchów — opiekunów domu. Za chatami stały stajnie oraz inne zabudowania gospodarskie, wszystkie kryte dranicą i zrobione z potężnych ciosanych bali; jedynie nieliczne brogi sporządzone były ze słomy, wystawiając gdzieniegdzie swe złociste, ostrokrągłe czuby między czterema wysokimi słupami.

— Oto dworzyszczce mojego ojca — rzekł Maksym wskazując jedną zagrodę, nie odróżniającą się niczym od innych. Przed domem nie było nikogo, ale drzwi od sieni były otwarte, w południowej zaś ścianie wyrąbane były dwa niewielkie kwadratowe otwory, które latem pozostawały zupełnie otwarte lub zakładane były cienkimi i na wpół przezroczystymi płytkami gipsowymi, a na zimę ponadto zabijano je okiennicami z desek. Były to ówczesne okna.

Mirosława spojrzała ciekawie na to gniazdo Berkutów, nad którego wrotami wisiał istotnie zabity niedawno olbrzymi berkut, grożący jakby i po śmierci swymi potężnymi, żelaznymi pazurami oraz swym czarnym, kabłąkowato zakrzywionym dziobem. Zacisznie, spokojnie i jasno było w tym obejściu; potok, z przerzuconą nad nim szeroką kładką, oddzielał je od gościńca i szemrał z cicha, pluszcząc kryształową falą o kamienną tamę. Tuhar Wilk spojrzał tam również.

— Aha, to tutaj siedzi ów tucholski władca. No, rad będę go poznać. Zobaczymy, co to za ptak!

Maksym chciał pożegnać się z bojarem i z jego córką i wrócić do domu, ale coś go ciągnęło, aby szedł z nimi dalej. Mirosława jak gdyby to zrozumiała.

— Czy wracasz już do domu? — spytała odwracając się, aby ukryć swe zmieszanie.

— Chciałem już wrócić, ale niech i tak będzie — przeprowadzę was jeszcze przez wąwóz do waszego dworu.

Mirosława ucieszyła się nie wiedząc sama czemu. I poszli znów w dół wsią, gawędząc, oglądając się na wszystkie strony, zachwyceni sobą wzajem, swym głosem i obecnością, zapomniawszy o wszystkim dokoła: o ojcu, o gromadzie. I chociaż w ciągu rozmowy ani słowem nie wspominali o sobie, o własnych uczuciach i nadziejach, to jednak nawet w najobojętniejszej rozmowie drgało ciepło młodych serc ogrzanych pierwszą miłością, przejawiała się owa tajemnicza potęga ciągnąca do siebie te dwie młode, zdrowe i piękne istoty, czyste i niezepsute, nie zastanawiające się nawet w swej niewinności nad przeszkodami, jakie napotkać musiała ich młodzieńcza miłość.

I Tuhar Wilk, który szedł przodem w ciężkiej, posępnej zadumie i rozważał, jakby to jutro stanąć godnie i w pełni blasku przed owymi smerdami oraz pokazać im swą powagę i wyższość — i on nawet nie spostrzegł niczego pomiędzy młodymi ludźmi; gniewało go tylko jedno, że ów młody parobek jest taki śmiały i obchodzi się z nim i z jego córką jak z równymi sobie. Ale do czasu hamował swój gniew.

Minęli już wieś i zbliżali się do tego miejsca, gdzie zamykała się kotlina tucholska przepuszczając potok do doliny jedynie przez wąską skalistą bramę. Słońce schyliło się już hen za południe i stało nad wierzchołkiem lasu kąpiąc swe ukośne promienie w spienionych falach potoku. Od skał, zacieśniających wypływ potoku z doliny tucholskiej, zaległy już długie cienie; w samym wąwozie było mroczno, chłodno i ślisko. Na dole rozбивała się woda po-

toku o zwały olbrzymich kamieni, a wysoko w górze szumiały ogromne świerki i buki. Ponad samym potokiem wiły się z obu stron wykute w skałach wygodne ścieżki, również robota tucholan. Jakiś dreszcz przeszył Mirosławę, gdy wchodziła do tej niezwykłej „kamiennej bramy”: czy to wskutek panującego tutaj chłodu, czy wilgoci — nie wiadomo czemu — wzięła ojca za rękę i przycisnęła się doń.

— Cóż za straszne miejsce! — rzekła zatrzymując się w samym wąwozie i spoglądając w górę dokoła siebie. Miejsce wyglądało naprawdę niezwykle i dziko. Przejście było wąskie, może na trzy sążnie szerokie, i tak gładko wyrzeźbione w łupkowej skale rwącą górską wodą, iż nieświadomy rzeczy mógłby przysiąc, że jest to dzieło rąk ludzkich. A przed samym przejściem wznosił się pionowo olbrzymi kamienny słup u spodu całkiem podmyty wodą i wskutek tego cieńszy, od wierzchu zaś jakby głowiasty, porosły poprocią i karłowatymi brzoškami. Był to znany szeroko Stróż, który, zdawało się, pilnował wejścia do doliny tucholskiej i gotów był upaść na każdego, kto by z nieprzyjaznym zamiarem wtargnął do tego cichego, szczęśliwego zakątka. Sam Tuhar Wilk poczuł jakiś chłód za karkiem spojrzawszy na owego straszliwego Stróża.

— Tfu, co za groźna skała! — powiedział — tak zawisła nad samym przejściem, że zda się, już - już upadnie!

— To święty kamień, bojarze, — rzekł poważnie Maksym — co wiosnę składa mu się wianki z czerwonego kwiecia; to nasz tucholski Stróż.

— Ech, wszystko u was wasze, wszystko u was święte, wszystko u was tucholskie, aż zbrzydło słuchać! — zawołał Tuhar Wilk. — Jak gdyby to nie było już nic na świecie poza waszą Tucholszczyzną.

— Dla nas naprawdę nie masz świata — odrzekł Maksym. — Miłujemy nasz zakątek ponad wszystko; gdyby każdy inny kochał tak swój zakątek, to pewnie wszyscy ludzie żyliby na świecie spokojnie i szczęśliwie.

Maksym w niewinnej swej szczerości nie rozumiał nawet, jak dotkliwie ukłuł serce bojara tymi słowami. Nie spostrzegł on również, jakim złym wzrokiem spojrział nań Tuhar Wilk. Zwracając się do Mirosławy mówił Maksym dalej spokojnym, ciepłym głosem:

— Opowiem wam teraz, com słyszał od ojca o tym kamieniu, o naszym Strózu. Działo się to dawno, bardzo dawno, wówczas gdy jeszcze olbrzymy zamieszkiwały nasze góry. Tutaj właśnie, gdzie znajduje się dziś nasza Tuchla, rozlewało się wielkie jezioro: ta oto kotlina była jeszcze całkiem zamknięta i wierzchem tylko płynęła woda. Jezioro owo było zakłęte; nie było tam żadnego żywego stworzenia, ni rybki, ni robaka, a zwierz, co napił się wody z zakłętego jeziora, musiał zginąć, a ptaszyna, co chciała przelecieć nad nim, musiała wpaść do wody i utonąć. Jezioro znajdowało się pod opieką bogini śmierci, Morany. Ale stało się kiedyś, że król olbrzymów pokłócił się z Moraną i, chcąc zrobić jej na przekór, uderzył swym czardziejskim młotem o skałę i rozwalił ścianę, tak iż wszystka woda z zakłętego jeziora wypłynęła i straciła swą dziwną moc. Cała okolica nagle ożyła; dno jeziora stało się żyzną doliną i zazieleniło się bujnymi trawami i kwieciem; w potoku rozmnożyły się ryby, między kamieniami wszelkie płazy, w lasach zwierzyna, w powietrzu ptactwo. Za to rozgniewała się Morana, jako że nie lubi ona żadnego żywego stworzenia, i zakłęła króla olbrzymów w tym oto kamieniu. Ale samej dolinie nie zdołała nic uczynić, bo nie mogła zawrócić uśmiercającej wody, co wypłynęła z jeziora: gdyby zawróciła wszystką wodę aż do ostatniej kropelki i zatkała owo przebite w skałę przejście, byłaby znów królową naszych gór. A tak, chociaż nie żyje już król olbrzymów, to jednak i Morana nie posiada już tutaj żadnej władzy. Ale król całkiem nie zginął. Trwa on w tym kamieniu i pilnuje tej doliny. Powiadają, że kiedyś Morana zbierze raz jeszcze swą moc, aby zawojować naszą Tucholszczyznę, lecz ten oto zakłęty Stróż spadnie wtedy na moc Morany i zmiążdży ją swym ciężarem.

Z dziwnym uczuciem słuchała Mirosława tej opowieści: poruszyła ona głęboko jej serce — tak chętnie byłaby stała do walki z mocą Morany pod władzą onego dobrotliwego i życiodajnego króla olbrzymów. Krew zagrała żywiej w jej młodym sercu. Jak mocno, jak gorąco kochała ona w tej chwili Maksyma.

A Tuhar Wilk, mimo że słuchał Maksymowej opowieści, to, zda się, niezbyt w nią wierzył, jeno raz jeszcze się obejrzał, obrzucił wzrokiem kamiennego tucholskiego Stróża i uśmiechnął się pogardliwie, jak gdyby sobie pomyślał: „Ot, głupie smerdy, w jakim głupstwie pokładają swą dumę i nadzieję!“.

Nasi piechurzy minęli już wąski przeciek tucholskiego potoku i wyszli na jasny świat. Przed ich oczyma niespodziewanie rozpostarła się długa, otoczona stromymi górami dolina Oporu, która hen daleko zbiegała się z doliną stryjską. Słońce chyliło się już ku zachodowi i migotało gorącym szkarłatem w szerokich falach Oporu. Tucholski potok szalonymi skokami i z wściekłym hukiem toczył się na dół, by skąpać się w Oporze. Woda potoku odbijała jaskrawo czerwień zachodu, wyglądała jak krew tryskająca z olbrzymiej rany. Dokoła szumiały pociemniałe już lasy.

Piechurzy nasi stanęli na chwilę, napawając się owym nieśmiertelnym i żywym pięknem natury. Maksym tłumił w sobie pewną myśl, która utkwiała mocno w jego głowie i gwałtem prosiła się na wolność. Nabrał wreszcie odwagi i zbliżył się do Tuhara Wilka, drżący i zarumieniony.

— Ojczy - bojarze — rzekł niezwykle miękko i nieśmiało głosem.

— Czego ci trzeba ?

— Pozwól mi zostać twym najszczerzym sługą...

— Sługą ? Cóż, nietrudna to sprawa, przyjdź z ojcem i wynajmij się, skoro koniecznie pragniesz służyć.

— Nie, bojarze, tyś mnie inaczej zrozumiał... Pozwól mi zostać twoim synem!

— Synem ? Ależ ty masz własnego ojca i to, jak

słyszę, daleko lepszego, sprawiedliwszego i mędrszego ode mnie, skoro będzie mnie jutro sądził!

Bojar gorzko i jadowicie się uśmiechnął.

— Chciałem rzec, — poprawił się Maksym — chciałem rzec jeszcze inaczej. Bojarze, daj mi swą córkę, którą miłuję mocniej niż własne życie, niż duszę własną!

Grom z jasnego nieba nie przeraziłby Tuhara Wilka potężniej od tych gorących, a zarazem tak prostych słów młodego parobka. Odstąpił dwa kroki wstecz i mierzył biednego Maksyma od stóp do głowy przesywającym spojrzeniem, w którym gniew łączył się z pogardą. Twarz jego aż posiniała ze złości, zęby się zacisnęły, usta drżały.

— Smerdzie! — wykrzyknął naraz, aż okoliczne góry rozbrzmiały tym przeklętym okrzykiem — jakież to słowa śmiesz mi mówić? Powtórz raz jeszcze, boć nie może być, abym to słyszał naprawdę, chyba się przesłyszałem.

Groźny krzyk bojara zbudził w Maksymie jego zwykłą śmiałość i stanowczość. Wyprostował się przed bojarem niby młody, wspaniały dąbczak i rzekł łagodnym, lecz pewnym głosem.

— Nie powiedziałem ci, bojarze, nic złego, nic takiego, co by wstyd przynosiło tobie lub twojej córce. Prosiłem o rękę twej córki, którą miłuję, jak nie będzie jej miłować nikt na świecie. Czyż między twoim bojarskim a moim chłopskim rodem istnieje tak wielka przepaść, że miłość nie mogłaby jej wyrównać? I czymżeś tak znacznie wyższy ode mnie?

— Milcz, smerdzie! — przerwał mu wściekłym krzykiem Tuhar Wilk. — Ręka moja ściska kurczowo rękojeść miecza, aby zatkać nim twą głupią gardziel. Jedno tylko ratuje cię przed moją zemstą — to właśnie, żeś ocalił dzisiaj moją córkę. Inaczej, padłbyś w tej chwili trupem za takie słowa. I ty, szaleńcze, mogłeś pomyśleć, mogłeś się odważyć podnieść swe oczy na nią, na moją córkę?... Dlatego jeno, że ja i ona mówimy z tobą po ludzku, a nie kopiemy ciebie jak psa! I tyś myślał, że ra-

tując ją od niedźwiedzi pazurów zdobyłeś ją sobie jak branke? O nie! Gdyby miało dojść do tego, to wolałaby ona zginąć w krwawych uściskach dzikiego zwierza, niżli tobie się dostać.

— Nie, bojarze, nie mów tak! Wolałbym ją zginąć w niedźwiedzi łapach, niżlibym dopuścił do uszkodzenia choćby jednego jej włoska.

Mirosława odwróciła się na te słowa, by ukryć przed ojcem i Maksymem długo wstrzymywane łzy, które tryśnęły teraz z jej oczu. Ale Tuhar Wilk nie zważał na to i mówił dalej.

— I ty, podły chamski rodzie, śmiesz równać siebie ze mną? Ze mną, który całe życie spędził między kniaziami, zaszczycony został pochwałą kniazia i nagrodą za rycerskie czyny! Córka moja może wybierać sobie oblubieńca między najpierwszymi i najznamienitszymi młodzieńcami kraju, a ja miałbym ją oddać tobie, smerdzie, do twego tucholskiego gniazda, gdzie zwiędłaby, wyschła i przepadła w nędzy? Nie, nie, idź precz, biedny chłopcze, tyś niespełna rozumu, tyś rzekł swe słowa w przystępie szaleństwa!

Maksym widział teraz, że płonne są jego nadzieje, że bojar zbyt wysoko sięga, zbyt dumnie nań spogląda. Choć było mu niewymownie ciężko, nie mógł nic na to poradzić.

— Bojarze, bojarze, — rzekł smutnym, ciepłym głosem — nadto wysoko uniosłeś się na skrzydłach dumy, ale strzeż się! Los wznosi zazwyczaj na najwyższe szczyty tych, których zamyśla zepchnąć w najgłębsze otchłanie. Nie gardź ubogimi, nie wąż sobie lekce maluczkich, nie pomiataj, bojarze, ludźmi pracy, bo kto wie jeszcze, z której komu krynicy wypadnie napić się wody!

— Ty śmiesz jeszcze pouczać mnie, gadzie? — krzyknął rozwścieczony Tuhar Wilk i oczy jego zabłysły szalonym gniewem. — Precz mi z oczu, bo inaczej, przysięgam na boga, że nie będę na nic zważał, jeno przebiję cię tym oto nożem, tak jak przebiłem dziś rano niedźwiedzia!

— Nie gniewaj się, bojarze, za słowa biednego chłopca — odrzekł z niewzruszonym spokojem Maksym. — Żegnaj! Żegnaj i ty, moja gwiazdo, coś błysnęła mi tak cudnie na jeden dzionek, a teraz musisz zagasnąć dla mnie na wieki! Żegnaj i bądź szczęśliwa!

— Nie, dość już milczenia — rzekła nagle Mirosława odwracając się z wyrazem stanowczości — nie zgasnę dla ciebie, młodzieńcze, będę twoją.

Tuhar Wilk patrzył w osłupieniu na swą córkę i nie wiedział już, co czynić.

— Co mówisz, córko! — zawołał.

— To, co słyszysz, ojczulku. Wydaj mię za Maksyma! Pójdę za niego.

— Nierozumna dziewczyno, to być nie może!

— Spróbuj, a zobaczysz, że tak.

— Bredzisz w gorączce, córko, przelęknąłeś się dzikiego zwierza, tyś chora!

— Nie, ojcze, jam zdrowa i powiem ci raz jeszcze, i przysięgam na ono jasne słońce, że ten młodzieniec musi być moim! Słońce, bądź świadkiem!

Wzięła Maksyma za rękę i przyłgnęła gorącymi wargami do jego warg. Tuhar Wilk nie mógł oprzytomnieć, nie mógł się zdobyć choćby na jeden ruch, na jedno słowo.

— A teraz, młodzieńcze, idź do domu i nie bój się niczego. Mirosława przysięgła, że będzie twoją, i Mirosława potrafi dotrzymać przysięgi. A my, ojczulku, śpieszmy się do domu! Tam oto w dolinie nasz dwór, a właśnie nadchodzą nasi goście.

I rzekłszy te słowa dziwna dziewczyna wzięła za rękę nieprzytomnego ze zdumienia ojca i poszła z nim ku dolinie. A Maksym długo jeszcze stał w miejscu oczarowany, szczęśliwy. Wreszcie oprzytomniał i upadłszy twarzą na ziemię pomodlił się do zachodzącego słońca, tak jak modlili się jego dziadowie i pradziadowie, jak modlił się tajemnie i jego ojciec. Potem wstał i cichym krokiem poszedł do domu.

### III.

Za wsią Tuchlą, tuż koło wodospadu, stała pośród pola olbrzymia lipa. Nikt nie pamiętał, kiedy ją zasadzono i kiedy się rozrosła taka wielka i rozłożysta. Tuchla była niezbyt starym osiedlem i drzewa, które rosły w dolinie Tucholskiej, były o wiele młodsze od tej lipy; nie dziw tedy, że lud tucholski uważał ją za najdawniejszego świadka przeszłości i otaczał czcią wielką.

Tucholanie wierzyli, że ta właśnie lipa jest darem ich odwiecznego dobroczyńcy, króla olbrzymów, który zasadził ją własnoręcznie w dolinie Tucholskiej na znak swego zwycięstwa nad Moraną. Spod korzeni lipy było źródło czystej wody i cicho szemrząc po drobnych kamieniach spływało dalej do potoku. Było to miejsce tucholskich narad gromadzkich, siedlisko wiejskiego wiecu, który w dawnych czasach stanowił całkowitą i wyłączną władzę w ruskich gromadach.

Dokoła lipy znajdował się szeroki, równy plac. Od świtu już stały na nim rzędy gładkich kamieni przeznaczonych na stolce, gdzie zasiadała starszyzna gromadzka, ojcowie rodzin. Kamiennych stolców było tyleż, co i starców. Poza rzędami stolców znajdowało się wolne miejsce. Pod lipą, nad samym źródłem stał czworoboczny kamień z prześwidrowaną w środku dziurą; tutaj podczas rady wstawiano gromadzką chorągiew. Obok zrobione było drugie podwyższenie dla mowcy, który zabierał głos w jakiejś sprawie; opuszczał on swoje miejsce i wchodził na owo podwyższenie, aby cały lud mógł go słyszeć.

Nazajutrz po bojarskich łowach moc tucholskiego ludu zeszła się na wiecowym placu. Dolina rozbrzmiewała gwarem. Starszyzna gromady szła ze wsi z powagą, jeden po drugim, i zasiadała na swych miejscach. Gwarnie zbierała się młodzież i stawała poza nimi szerokim półkolem. Schodziły się nawet kobiety, choć nie tak licznie. Ale z rady gromadzkiej nie był wyłączony żaden dorosły obywatel, ani mężczyzna, ani kobieta. I choć decydujący głos mieli

jedynie starcy-ojcowie, to przecież podczas obrad wolno było zarówno młodzieży jak kobietom poddawać swoje zdanie pod rozwagę starszyny.

Słońce wzniosło się już wysoko na niebie, gdy ze wsi ostatni nadeszli obwoływacze niosąc przed sobą tucholską chorągiew gromadzką. Ukazanie się ich wywołało powszechny szmer w gromadzie, a gdy się zbliżyli, wszystko ucichło. Obwoływacze, po złożeniu trzykrotnego pokłonu gromadzie, podeszli pod lipę i pozdejmowali z głów czapki. Cała gromada uczyniła to samo.

— Czcigodna gromado, — odezwali się obwoływacze — czy jest waszą wolą odbyć dziś radę ?

— Tak, tak! — zawołała gromada.

— To niechże bóg dopomoże! — rzekli oni i, wzniosłszy wysoko w górę chorągiew gromadzką, wetknęli ją w otwór wyświdrowany w kamieniu. Był to znak rozpoczęcia obrad.

Następnie powstał ze swego miejsca najstarszy ze zgromadzenia, Zachar Berkut, i powolnym, ale mocnym krokiem wstąpił pod lipę, dotknawszy jej zaś ręką zbliżył się do wypływającego z jej korzeni źródła i uklękawszy zwilżył sobie wodą źródlaną oczy i usta. Był to zwykły starodawny obrzęd oznaczający oczyszczenie ust i przejaśnienie oka potrzebne w tak ważnej sprawie, jaką była rada ludowa. Następnie usiadł on na podwyższeniu, zwrócony twarzą do ludu, a więc do wschodniej strony nieba.

Zachar Berkut był to siwy jak gołąb, przeszło 90-letni starzec, najstarszy wiekiem spośród całej tucholskiej gromady. Miał ośmiu synów, z których trzech zasiadali już razem z nim pomiędzy starcami, najmłodszy zaś, Maksym, odbijał się od całej młodzieży wiejskiej jak zdrowy dąb czak wśród jaworzyny. Zachar Berkut, starzec wysokiego wzrostu, poważnej postawy, surowego oblicza, o bogatym doświadczeniu życiowym i znajomości ludzi oraz wydarzeń, był prawdziwym wizerunkiem owych dawnych patriarchów, ojców i przewodników całego ludu, o których prawią nam tysiącletnie pieśni i podania. Mimo podeszłego wieku, Zachar Berkut był jeszcze silny i czerstwy. Prawda, nie pra-

cował już w polu, nie pędził owiec na połoninę ani nie łowił zwierza w leśnych ostępach, a przecież nie zaprzestał pracy. Sad, pasieka i leczenie chorób — oto była jego robota. Skoro tylko wiosna zawita w tucholskie góry, Zachar Berkut krząta się już w swym sadzie, kopie, czyści, szczepi i przesadza. Podziwiali gospodarze jego znajomość sadownictwa; tym bardziej zdumiewali się, iż nie ukrywał swej wiedzy, lecz ochoczo pouczał każdego, pokazywał i zachęcał. Pasieka jego znajdowała się w lesie i każdego pogodnego dnia Zachar Berkut chodził do niej, choć droga była uciążliwa i dość daleka. A już za największego dobroczyńcę poczytywali tucholanie Zachara Berkuta z powodu jego leków. Kiedy, bywało, nadejdzie pora między Zielonymi Świątkami a świętem Kupały, Zachar Berkut ze swym najmłodszym synem, Maksymem, idzie na kilka tygodni w góry po zioła i lekarstwa. Prawda, czyste i proste zwyczaje ówczesnego ludu, świeże tucholskie powietrze, przestronne i zdrowe chaty oraz nieustanna i zgoła nie nadmierna praca — wszystko to razem chroniło ludzi od częstych i zaraźliwych chorób. Za to częściej zdarzały się kalectwa, rany, którym z pewnością żaden znachor nie umiał tak szybko i tak skutecznie zaradzić jak Zachar Berkut.

Ale nie w tym upatrywał Zachar Berkut główną wartość swego starczego życia. „Życie ma wartość jeno dopóty, — mawiał on często — dopóki człowiek może dopomagać innym. Gdy staje się dla innych ciężarem, a nie przynosi im nijakiej korzyści, wówczas nie jest on już człowiekiem, lecz zawadą, wówczas nie wart on już życia. Broń mię boże, abym miał kiedyś stać się ciężarem dla innych i spożywać łaskawy, choć i nie wiem jak zasłużony chleb!“ Słowa te były przewodnią złotą nicią w życiu Zachara Berkuta. Wszystko, co czynił, co mówił, co myślał — czynił, mówił i myślał mając na względzie dobro i korzyść innych, a przede wszystkim gromady. Gromada była jego światem, stanowiła cel jego życia. Widząc, że niedźwiedzie i dziki kaleczą często bydło i ludzi w górach, Zachar będąc

jeszcze młodym parobkiem postanowił nauczyć się leczenia ran i opuściwszy ojcowski dom wybrał się w daleką, nieznaną drogę do pewnego sławnego wróżbity, który, jak wieść niosła, umiał „zamawiać“ postrzały i krew. Ale zamawianie owego lekarza okazało się nieskuteczne. Zachar Berkut przyrzekł po przyjściu do znachora zapłacić mu dziesięć kun za to, żeby tamten nauczył go swego zamawiania. Wróżbita przystał na ten warunek, ale Zacharowi nie dość było nauczyć się na ślepo; chciał przedtem przekonać się, czy leczenie jest skuteczne. Wyjął swój nóż i zadał nim sobie głęboką ranę w ścięgno.

— Masz, zamawiaj! — rzekł on do zdziwionego lekarza.

Zamawianie nie udało się.

— Et, — rzekł lekarz — nie powiodło się dlatego, żeś ty samowolnie zadał sobie ranę. Takiej rany zamówić nie podobna.

— No, to kiepskie widać tve zamawianie i na nic mi się nie zda. Potrzeba mi takiego zamawiania, które nie pytał by o to, czy rana zadana jest samowolnie, czy nie, lecz zagoiłoby każdą.

I Zachar Berkut, tak jak stał, opuścił wróżbitę i poszedł dalej, rozpytując o lepszych lekarzy. Długo błąkał się po górach i dolinach, aż wreszcie po roku tułaczki zaszedł do mnichów z Pustelni<sup>1</sup>. Znajdował się wśród nich pewien stuletni starzec, który przez czas długi przebywał na górze Atos u Greków i czytał tam wiele starożytnych ksiąg greckich. Ów zakonnik umiał cudownie leczyć rany i podejmował się nauczyć swej sztuki każdego, ktokolwiek przeżyje z nim rok w dobrej zgodzie i wyda mu się człowie-

---

<sup>1</sup> Wspominając o mnichach z Pustelni nie mam na myśli owej historycznej Pustelni Maniawskiej, założonej przez Joba Kniahynycykiego na początku XVII w., lecz korzystam z podania ludowego o pierwszych apostołach Podgórze Karpackiego, mnichach z pieczar kijowskich, o których wędrowce i osiedleniu w górach kołomyjskich opowiada częściowo z wyobraźni, częściowo zaś na podstawie rzeczywistej tradycji ludowej Antoni Mohylnyćkyj, w swym poemacie „Pustelnia Maniawska“. (Przyp. autora.)

kiem o szczerym sercu i czystej duszy. Wielu już uczniów przychodziło do starego, wiecznie zamyślonego i wiecznie zasmuconego zakonnika, ani jednego wszakże nie upodobał sobie, ani jeden nie przeżył z nim umówionego roku i nie wyniósł jego tajemnic lekarskich. O tym to lekarzu usłyszał Zachar Berkut i odważył się na próbę. Przyszedłszy do klasztoru - Pustelni prosił o zaprowadzenie go do starca Akyntija i opowiedział mu otwarcie o celu swego przybycia. Siwobrody, ponury starzec Akyntij przyjął go bez sprzeciwu — i Zachar przebył z nim nie rok, lecz całe trzy lata. Wrócił z Pustelni jako inny człowiek, miłość jego do gromady stała się jeszcze gorętsza i mocniejsza, słowa jego płynęły kryształową, czystą falą, były spokojne, rozumne i twarde jak stal, a w walce z wszelką nieprawdą ostre jak brzytwa. Podczas swej czteroletniej wędrówki Zachar Berkut poznał świat, był i w Haliczu i w Kijowie, widział książąt oraz ich czyny, poznał wojaków i kupców, a jego prosty, jasny rozum składał wszystko widziane i zasłyszane, ziarnko po ziarnku, do skarbnicy pamięci jako materiał dla myśli. Wrócił z wędrówki nie tylko jako lekarz, lecz jako obywatel. Widząc na nizinach, jak książęta oraz ich bojarowie usiłują osłabić i zerwać gromadzki wolny ład po wsiach, aby następnie rozłączonych i poróżnionych ludzi tym łatwiej obrócić w niewolników i sługi, przekonał się Zachar Berkut, że dla jego braci włościan, nie masz innego ratunku i innej nadziei, jak tylko dobre urządzenie i rozumne prowadzenie oraz rozwijanie gromadzkiego ładu, gromadzkiej wspólnoty i przyjaźni. Z drugiej znów strony, nasłuchiwał się on wiele od starca Akyntija i innych ludzi o gromadzkich urządzeniach na Rusi Północnej, w Nowogrodzie, Pskowie, o dobrobycie i kwitnącym życiu tamtejszych mieszkańców i wszystko to zapalało w jego gorącej duszy pragnienie oddania całego swego życia dla poprawy i umocnienia dobrego gromadzkiego ładu w rodzinnej Tucholszczyźnie.

Siedemdziesiąt lat minęło od tego czasu. Jak starodawny dąb-olbrzym stał Zachar Berkut wśród młodego po-

kolenia i mógł teraz zobaczyć owoce swej długoletniej działalności. I nie był na pewno w stanie oglądać ich bez radości. Jakby jednym duchem ożywiona, trwała tucholska gromada wspólnie w pracy i dobrobycie, w radości i niedoli.

Gromada była zarazem własnym sędzią i stróżem ładu we wszystkich dziedzinach. Gromadzkie pola, gromadzkie lasy nie wymagały dozorczy — sama gromada zawsze i wszędzie ochraniała czujnie własne dobro. W gromadzie nie było ubogich, ziemia dostarczała pożywienia dla wszystkich, a gromadzkie śpichlerze i stodoły stały zawsze otworem dla potrzebujących.

Kniaziewie oraz ich bojarowie spoglądali zazdrosnym okiem na to życie, w którym nie było dla nich miejsca, gdzie ich nie potrzebowano. Raz do roku zajeżdżał do Tucholszczyzny kniaziewy poborca podatkowy i gromada usiłowała czym prędzej pozbyć się niemiłego urzędowego gościa: za dzień - dwa wyjeżdżał on, obładowany wszelakim dobrem, albowiem podatki składali tucholanie przeważnie w naturze. Ale poborca podatków kniazia nie był w Tucholszczyźnie takim samowładnym panem jak w innych wsiach. Tucholanie dobrze uważali, co należy się poborcy, a co kniaziewi, i nie pozwalali mu na jakiegokolwiek wobec nich nadużycia.

Ale nie tylko w samej Tucholszczyźnie widoczny i zawienny był wpływ Zachara Berkuta; znali go ludzie w promieniu kilkunastu mil dokoła, po stronie ruskiej i węgierskiej. Na domiar znali go nie tylko jako cudownego lekarza, co leczy rany i wszelkie bóleści, lecz niemniej jako wspaniałego mowcę i doradcę, który „skoro przemówi, to jakby chwycił za serce“, a gdy doradzi czy to jednemu człowiekowi, czy nawet całej gromadzie, wówczas choćby nabrał cały majdan starców, nie wymyślą zapewne razem lepszej rady.

Zachar Berkut doszedł od dawna do niezłomnego przekonania, że tak jak człowiek sam jeden wśród gromady słaby jest i bezradny, podobnie i gromada jest słaba w swym osamotnieniu i że tylko wspólne porozumienie

i wspólne działanie wielu sąsiednich gromad może nadać im siłę i może w każdej gromadzie z osobna wzmocnić wolny ład gromadzki. Toteż pracując w miarę sił dla swej Tucholszczyzny nie zapominał Zachar również nigdy o sąsiednich gromadach. Za czasów swej młodości chodził on często po gromadach, bywał na ich radach gromadzkich, starał się dobrze poznać ich potrzeby oraz samych ludzi, a wszędzie jego rady i namowy zmierzały do jednego: do umocnienia przyjaznych, towarzyskich i braterskich związków między ludźmi z gromad i między sąsiednimi gromadami.

A związki te były wtedy jeszcze dość żywe i potężne. Zgraja kniaziów i bojarów nie zdołała jeszcze porozrywać ich do reszty — nie dziw tedy, że pod przewodem człowieka tak kochanego przez wszystkich, tak doświadczonego i oddanego sprawie gromadzkiej, jakim był Zachar Berkut, związki te szybko się odnowiły i wzmocniły.

Zwłaszcza łączność z ruskimi gromadami po stronie węgierskiej była sprawą wielkiej wagi dla Tucholszczyzny, ba, nawet dla całej wyżyny stryjskiej, obfitującej w wełnę i kożuchy, lecz za to dość ubogo zaopatrzonej w zboże, którego mieli pod dostatkiem ludzie zza gór. Toteż jednym z głównych starań Zachara było przeprowadzenie z rodzinnej Tucholszczyzny prostej i bezpieczniejszej drogi na stronę węgierską. Długie lata nosił się z tym zamiarem, przechodził wzdłuż i wszerz połoniny tucholskie miarkując, któredyby można było przeprowadzić drogę najlepiej, najbezpieczniej i najmniejszym kosztem, a jednocześnie starał się zwolna i nieustannie nakłonić do tego przedsięwzięcia góralskie gromady po jednej i po drugiej stronie Beskidu.

Przy każdej sposobności, na każdej radzie gromadzkiej nie omieszkwał on wykazywać korzyści i potrzeby takiej drogi, aż wreszcie osiągnął swój cel. Przeszło dzieśięć gromad z bliższej i dalszej okolicy przysłało do Tuchli swoich posłów na radę gromadzką, gdzie miano omawiać zbudowanie nowej drogi. Był to radosny dzień dla Zachara.

Nie dość, że chętnie podjął się własnoręcznie wytyczać, którądy ma iść droga, lecz również przez cały czas jej budowy zobowiązał się do pilnowania roboty, ponadto wyprawił do pracy czterech swoich synów, piąty zaś, kowal, miał wraz ze swą ruchomą kuźnią ciągle przebywać w miejscu pracy celem naprawy potrzebnych narzędzi.

Każda gromada wysyłała po kilkunastu robotników z zapasem własnego chleba i własnej strawy — i pod przewodem niezmordowanego Zachara Berkuta droga zbudowana była w ciągu roku. Korzyści jej stały się od razu oczywiste dla wszystkich. Stosunki z bogatymi jeszcze wówczas węgiersko-ruskimi gromadami ożywiły całą wyżynę: zaczęła się żywa i korzystna dla obu stron wymiana wytworów pracy: szły stąd kozuchy, ser owczy i całe trzody na ubój, stamtąd zaś pszenica, żyto i płótna. Ale droga tucholska dogodna była nie tylko dla takiego handlu wymiennego: była ona również przewodnikiem wszelkich wieści o życiu gromad po jednej i po drugiej stronie Beskidu, była żywą nicią, wiążącą pospólnie dzieci jednego narodu, rozbite między dwoma państwami.

Prawda, tucholska droga nie stanowiła pierwszej takiej nici. Dawniejsza i ongiś daleko sławniejsza była droga dukielska. Ale halicko-ruskim kniaziom nie podobała się ona z wielu przyczyn, nie tyle może dlatego, że podtrzymywała żywą więź między gromadami po tej i tamtej stronie Beskidu i wzmacniała przez to u jednych i u drugich wolny ład gromadzki, ile raczej z tego powodu, że madziarscy królowie i magnaci często wpadali tamtędy z wojskami na Ruś Czerwoną. Oto czemu haliccy i przemyscy kniaziowie usiłowali, jeśli nie całkiem zamknąć, to bodaj ufortyfikować tę bramę wejściową w obrębie swoich granic, wiadomo zaś, że takie fortyfikacje, zbudowane przez państwo w celach państwowych, musiały wyjść na szkodę gromadom i samorządowi gromadzkiemu. Kniaziowie porozmieszczali wzdłuż drogi dukielskiej swoich bojarów, ponadawali im z gromadzkich ziem rozległe grunta i posiadłości oraz nałożyli na nich obowiązek pilnowania

bramy dukielskiej, w razie zaś napadu zbrojnego mieli oni wstrzymać nieprzyjaciela za pomocą drużyn wojskowych, zebranych z okolicznych gromad, a również i za pomocą zasieków, to znaczy drewnianych i kamiennych zapór zawałających drogę w ciasnych miejscach i czyniących je przy jakiej-takiej obronie całkowicie niedostępnymi dla nieprzyjacielskich wojsk.

Ma się rozumieć, że owe obowiązki całym swym ciężarem spadały na włościan, na gromady. Traciły one nie tylko część swych odwiecznych gruntów, na których sadowili się bojarowie, lecz musiały ponadto stawiać warty, dawać bojarom drużynników i sługi, robić zasieki, ba, w razie potrzeby wojennej poddani byli zupełnie bojarskim rozkazom i bojarskiemu sądowi.

Oczywista, że bojar obdarzony tak rozległymi prawami stawał się potęgą na wsi i zupełnie zrozumiałe, że zabiegał o powiększenie i umocnienie swej potęgi.

Chcąc się wzbogacić zakładali bojarowie na szlaku swe własne zasieki-rogatki i pobierali z nich nawet w spokojnych czasach opłatę od każdego przejeżdżającego, co musiało powstrzymać ożywiony ruch na drodze dukielskiej i osłabić mocne związki między gromadami. A jednocześnie z osłabieniem owych związków postępować musiał również upadek wiecowego wolnego ładu w samychże gromadach. Władza bojarska nie mogła i nie chciała znosić obok siebie innej gromadzkiej władzy; między bojarami a gromadą musiało dojść do długiej i ciężkiej walki, która w końcu wypadła na niekorzyść gromad. Prawda, w tym czasie, w którym rozgrywa się nasza opowieść, walka owa nie była jeszcze bynajmniej zakończona, gdzieniegdzie zaś, w odludnych wsiach górskich wcale się jeszcze nie rozpoczęła — i były to, rzec można z pewnością, najszcześniejsze zakątki ówczesnej Rusi. Do takich szczęśliwych zakątków należała także Tucholszczyzna, droga zaś przeprowadzona przez Beskid do Węgier, na długie czasy zabezpieczyła jej dobrobyt. Tucholska droga nie znajdowała się jeszcze w rękach bojarskich, wolna była dla każdego, jakkolwiek

gospodarze przylegających do niej wsi, zarówno ze strony czerwonoruskiej jak i węgierskiej, pilnie strzegli jej od wszelkiego nieprzyjacielskiego napadu i dawali sobie wzajemnie znać o każdym grożącym niebezpieczeństwie, które odpierano w ten sposób zawczasu i bez większego rozgłosu, zjednoczonymi siłami wszystkich zainteresowanych w tej sprawie gromad. Nie dziw tedy, że Tucholszczyzna, znajdując się na tej drodze w samym środku między Węgrami a Podgórzem, ciągle rozwijała się nie tylko wskutek dostatniego życia, lecz i wskutek wolnego ładu gromadzkiego. Przykładem swym krzepiła ona i podtrzymywała całą okoliczną wyżynę, w szczególności zaś te wsie, gdzie znajdowali się już bojarowie kniazia i gdzie rozpoczęła się już rujnująca walka między dawnym żywiołem gromadzkim a nowym pańskim. Płomienne słowa i wielka powaga Zachara Berkuta przyczyniały się niemało do tego, że dopóki większość gromad trzymała się dobrze w tej walce, bojarowie nie mogli tak szybko rozszerzać swej władzy jak chcieli i musieli żyć w zgodzie z gromadami, podlegając w czasach pokojowych ich gromadzkim sądom i zasiadając w nich obok innych stanów jak równi z równymi. Ale taki stan rzeczy był wielce niemiły bojarom, czekali oni czasu wojny, niby nie wiedzieć jakiego święta, wówczas bowiem uśmiechała im się nadzieja zagarnięcia od razu całej władzy w swe ręce, a przy tej sposobności rozbicia do szczytu znienawidzonego ładu gromadzkiego, tak aby raz zagarnięta władza nie mogła już wymknąć się z ich rąk. Ale nie był to czas wojenny. Władca Rusi Czerwonej, książę Danyło Romanowycz, aczkolwiek był wielce łaskaw dla bojarów — nie tak jak jego ojciec — nie mógł im jednak dać znaczniejszej pomocy, zajęty bądź zabiegami o koronę królewską, bądź to sporami kniazów, którzy wydzielali sobie nawzajem wielkokniaziowy tron kijowski; najmniej natomiast zaprzętało go zabezpieczenie swego kraju od nowego, nieznanego dotąd wroga, mongołów, którzy przed dziesięciu laty, niby straszliwa piorunowa chmura, ukazali się byli na wschodnich

rubieżach Rusi, w naddońskich stepach, i pobili zgromadzonych kniaziów ruskich w strasznej i wielce krwawej bitwie nad rzeką Kałką. Ale znad Kałki zawrócili nagle jakby przestraszeni męstwem rusów i mijał już oto dziesiąty rok, a nie było o nich ani słyhu. Tylko głucha trwoga rozchodziła się wśród ludu, jak gorąca fala wiatru rozchodzi się po dojrzewającym życie i nikt nie wie, czy fala się ułoży, czy przypędzi może groźną chmurę gradową. A najmniej wiedzieli o tym i spodziewali się tego kniaziowie i bojarowie. Po pogromie nad Kałką zabierali się oni z całym spokojem do swej dawnej roboty, do sporów o następstwo tronu i do podkopywania wolnego i samorządnego ładu gromadzkiego. Nierozsądni! Podcinali oni dąb, który żywił ich swymi żołędziami! Gdyby byli obrócili swą władzę i potęgę na umocnienie, nie zaś na podkopywanie tego ładu w gromadach i żywych związków między gromadami, wówczas nasza Ruś nie byłaby na pewno legła pod strzałami i toporami Mongołów, lecz oparłaby się im, jak głęboko zakorzeniony dąb-olbrzym opiera się burzy jesiennej!

Tucholszczyzna była szczęśliwa, bo jakoś ją dotąd omijały nienasycone oczy kniaziów i bojarów. Czy to dlatego, że leżała tak daleko od świata, między górami i skałami, czy może z tego powodu, że nie posiadała nadto wielkich bogactw. Dość, że bojarowie nie mieli jakoś ochoty wtargnąć do owego zakątka. Szczęście to nie trwało jednak wiecznie.

Pewnego pięknego dnia zajechał niespodziewanie w góry tucholskie bojar Tuhar Wilk i nie mówiąc nikomu ani słowa, zaczął na wzgórzu nad Oporem, z dala od Tuchli, lecz na gruncie tucholskim, budować sobie dom. Zdumieni tucholanie zrazu milczeli i nie zatrzymywali nowego gościa, potem zaś zaczęli się go dopytywać, kto on zacz, skąd i po co tutaj przychodzi.

— Jam bojar kniazia Danyła — odrzekł im dumnie Tuhar Wilk. Za moje zasługi kniaź wynagrodził mię ziemiami i lasami w Tucholszczyźnie.

— Ależ to ziemie i lasy gromadzkie! — odpowiedzieli mu tucholanie.

— Nic mnie to nie obchodzi, — odparł bojar — idźcie i dopominajcie się u kniazia. Ja mam jego przywilej, nie chcę wiedzieć o niczym!

Tucholanie pokiwali głowami na takie bojarskie słowa i nic nie powiedzieli. A bojar tymczasem poczynął sobie wyniośle, chwalił się ciągle kniaziową łaską i kniaziową wolą, choć poza tym nie krępował na razie w niczym tucholan i nie mieszał się do ich spraw gromadzkich.

Tucholanie, zwłaszcza młodszy, zrazu czy to z ciekawości, czy przez zwykłą gościnność spotykali się często z bojarem i świadczyli mu pewne usługi, aż naraz, jakby siekierą uciął, przestali doń chodzić i najwidoczniej umyślnie go unikali. Zdziwiło to początkowo bojara, później zaś rozgniewało go i zaczął teraz robić tucholanom wszelkiego rodzaju przykrości. Dom jego wznosił się tuż nad tucholską drogą i oto idąc za przykładem innych bojarów postawił na drodze olbrzymią roгатkę i żądał od przejezdnych myta dla siebie. Ale tucholanie to ludzie nieugięci. Poczuli oni wnet, że zaczyna się tutaj decydująca walka i postanowili za radą Zachara Berkuta stać twardo i nieustępliwie przy swoich prawach aż do samego końca. Już w tydzień po wystawieniu roгатki wyprawiła tucholska rada swych posłów do Tuhara Wilka. Posłowie zadali mu krótkie i stanowcze pytanie:

— Co czynisz, bojarze? Dlaczego zamykasz drogę?

— Tak mi się podoba! — odpowiedział dumnie bojar. — Jeśli to wasza krzywda, idźcież, skarżcie się na mnie kniaziowi.

— Ależ to droga nie kniazia, lecz gromadzka.

— Nic mnie to nie obchodzi!

Z tym też posłowie odeszli, ale zaraz po ich odejściu przyszła z Tuchli cała gromada wiejskiej młodzieży z siekierami i bez wielkiego hałasu porąbała roгатkę na drobne kawałki, złożyła ją na stos i spaliła niedaleko od bo-

Bojar wściekał się na swoim dworze, klął niegodziwych smerdów, nie miał jednak odwagi sprzeciwić się im i na razie nie robił już drugiej rogatki.

Pierwszy napad na prawa gromadzkie był odparty, ale tucholanie nie cieszyli się przedwcześnie — wiedzieli oni dobrze, że to tylko pierwsza zaczepka i że należy się po niej spodziewać innych. Tak się też stało. Pewnego dnia przybiegli do Tuchli owczarze głosząc smutną wieść, że bojarscy słudzy spędzają ich z najlepszej gromadzkiej połoniny. Nie zdążyli owczarze dokończyć porządnie swej opowieści, gdy nagle przybiegli gromadzczy leśniczowie powiadając, że bojar odmierza i zagarnia dla siebie duży szmat najlepszego gromadzkiego lasu. Znowu gromadzka rada wyprawiła posłów do Tuhara Wilka.

— Czemu, bojarze, krzywdzisz gromadę?

— Zabieram to tylko, co darował mi mój kniaź.

— Ależ to ziemie nie kniaziowe, lecz gromadzkie! Kniaź nie mógł darować tego, co doń nie należy.

— No to idźcie ze skargą do kniazia! — odrzekł im bojar i odwrócił się od nich.

Od tej pory rozpoczęła się prawdziwa wojna między bojarem a tucholanami. To tucholanie spędzają bojarskie stada ze swych połonin, to znów słudzy bojarscy spędzają tucholskie trzody. Lasu zagrabionego przez bojara strzeżli zarówno bojarscy jak gromadzczy leśniczowie, między którymi dochodziło nieraz do swarów i bójek.

Gniewało to bojara coraz bardziej, aż kazał wreszcie zabijać tucholskie bydło zdybane na zagrabionych połoninach, jednego zaś gromadzkiego leśniczego, napotkanego w zagarniętym lesie, kazał przywiązać do drzewa i siec niemal na śmierć cierniowymi różgami.

Tego było za wiele tucholskiej gromadzie. Wiele głosów odzywało się za tym, aby, według dawnego zwyczaju, zastosować do bojara prawo o nieposłusznym i szkodliwym obywatelu, rozbójniku i złodzieju oraz wypędzić go z granic gromadzkich ziem, dom zaś jego zniszczyć do

szczętu. Znaczna część gospodarzy przystała na to i pewno krucho było by wówczas z bojarem, gdyby Zachar Berkut nie poddał tej myśli, iż nie należy zasądzać nikogo nie wysłuchawszy uprzednio jego obrony i że sprawiedliwość wymaga wezwania bojara przede wszystkim na sąd gromadzki, umożliwienia mu wytłumaczenia się, a potem dopiero można postąpić z nim tak jak osądzi gromada w całkowitym spokoju i po rozważeniu sprawy. Tucholska gromada posłuchała tej rozumnej rady.

Nikt zapewne spośród dzisiejszego zgromadzenia nie rozumiał tak dobrze znaczenia tej chwili jak Zachar Berkut. Widział on, że całe dzieło jego życia waży się tutaj na ostrzu gromadzkiego wyroku. Gdyby wszakże chodziło w owym wyroku jeno o zwykłą sprawiedliwość, wówczas Zachar byłby spokojny i polegałby w zupełności na gromadzkim rozumie. Ale tutaj wypadało rozważać — po raz pierwszy w tucholskim sądzie gromadzkim — również inne, postronne, a niezmiernie ważne okoliczności, które wikłały sprawę czyniąc ją prawie nierozwiązalną.

Zachar rozumiał dobrze, że wyrok czy to przychylny, czy też nieprzychylny dla bojara grozi gromadzie wielkim niebezpieczeństwem. Przychylny wyrok, a więc uznanie nie tyle prawa, ile siły po stronie bojara, upokorzy przed nim gromadę raz na zawsze, odda mu w ręce nie tylko zagrabione lasy i połoniny, lecz i całą gromadę, będzie pierwszym i najcięższym wyłomem w wolnym gromadzkim ustroju, nad którego odnowieniem i umocnieniem pracował nieustannie w przeciągu lat siedemdziesięciu.

A nieprzychylny wyrok, orzekający wypędzenie bojara z gromady, grozi również niemałym niebezpieczeństwem. A nuż bojar potrafi podburzyć kniazia, wzbudzić jego gniew, przekonać go, że tucholanie są buntownikami? Może to ściągnąć wielką burzę albo nawet całkowitą ruinę Tucholszczyzny, tak jak podobne wyroki kilkakrotnie już sprowadzały zniszczenie innych gromad, uznanych przez kniaziów za buntownicze i oddanych bojarom oraz

ich drużynom na grabież i ruinę. Ale oba te trudne rozwiązania, jakie stały przed dzisiejszą radą, napępniały wielką troską serce starego Zachara.

— Czcigodna gromado! — tak rozpoczął on swą przemowę. — Nie będę przed wami ukrywał, o czym zresztą i wy sami dobrze wiecie, jak doniosłe i wielkie sprawy czekają dziś na nasz sąd gromadzki. Gdy spoglądam na to, co się wokół nas dzieje i co nam grozi, wówczas wydaje mi się, że nasze dotychczasowe spokojne życie gromadzkie przepadło bezpowrotnie, że nadchodzi teraz dla nas wszystkich ta chwila, gdy trzeba będzie w walce pokazać naprawdę, czy nasz gromadzki ład jest w samej rzeczy mocny i dobry, czy wytrzymać może nadchodzącą ciężką burzę. Jaka to burza na nas nadchodzi i to nie z jednej strony, o tym wy wiecie i usłyszycie na dzisiejszej radzie jeszcze więcej, o tym nie potrzeba teraz mówić. Chciałbym jeno przedstawić wam i wbić niezatarcie w waszą pamięć to stanowisko, na którym powinniśmy stać, według mego zdania — stać twardo do ostatniej chwili. Pamiętajcie, nikt tutaj nie ma władzy nad nami, nikt, ani ja, ani ktokolwiek inny: zechcecie, to posłuchacie, a nie zechcecie... wasza wola! Powiem wam tylko, że dziś jeszcze wolni stoimy na rozstaju, że dzisiaj jeszcze jako wolni możemy wybrać: tu czy tam. Toż godzi się nam, ludziom starym i doświadczoneym, dobrze wyjaśnić sobie ów wybór i owe drogi, na jakie może on nas zaprowadzić, i to stanowisko, na którym stoimy teraz!

— Spójrzcie, zacna gromado, na tę naszą chorągiew gromadzką, która od pięćdziesięciu lat słyszy nasze słowa i widzi nasze czyny. Wiecie wy, co wyrażają jej znaki? Zrobili ją poważni, starzy ojcowie nasi i przekazali mi jej znaczenie. Zacharze, — powiedzieli oni — kiedyś, w chwili najgroźniejszego niebezpieczeństwa, kiedy runie na gromadę przeciwna fala życia i zagrozi jej ładowi, wówczas odsłonisz gromadzie, co znaczy owa chorągiew, a zarazem odkryjesz, że na niej spoczywa nasze błogosławieństwo, że odstępstwo od tej drogi, jaką wskazuje ta

chorągiew, będzie dla gromady największym nieszczęściem, początkiem jej całkowitego upadku.

Zachar zamilkł na chwilę. Jego przemowa wywarła wielkie wrażenie na wszystkich gospodarzach. Oczy wszystkich zwrócone były na znak, który, osadzony na wysokiej żerdzi, wetknięty w kamień, stał przed gromadą, błyszczał srebrnym okuciem na swych ogniwach i powiewał karmazynową chorągiewką, jakby pulsując żywą krwią.

— Nic wam o tym dotąd nie mówiłem, — ciągnął dalej Zachar — albowiem czasy były spokojne. Ale dziś nadeszła pora, aby to uczynić. Spójrzcie nań, na ten wasz sztandar. Z jednego zdrowego pnia wyrobiony jest cały ów jednolity łańcuch, mocny, jakby zamknięty w sobie, swobodny zaś w każdym pojedynczym ogniwie, gotowy do przyjęcia wszelkich związków.

— Ów łańcuch, to nasz ród ruski, taki jaki wyszedł z rąk dobrych duchów twórczych. Każde ogniwo w tym łańcuchu to jedna gromada, związana nierozzerwalnie ze wszystkimi innymi, mimo to jednak swobodna sama w sobie, jak gdyby sama w sobie zamknięta, żyjąca swym własnym życiem i zaspokajająca swe potrzeby. Tylko taka jednolitość i swoboda każdej pojedynczej gromady czyni wspólną całość jednolitą i swobodną. Niech tylko jedno ogniwo trzaśnie, rozpadnie się, a wtedy cały łańcuch pęknie, jednolity jego związek rozerwie się.

— Tak oto i upadek wolnego gromadzkiego ładu w jednej gromadzie staje się raną, która sprowadza chorobę, a nawet i zarazę dla całego ciała naszej świętej Rusi. Biada gromadzie, która stanie się dobrowolnie tą raną, która nie użyje wszystkich sił i sposobów, aby utrzymać się w zdrowiu! Lepiej było by takiej gromadzie zniknąć z oblicza ziemi, zapaść się w bezdeń!

Ostatnie słowa Zachara, wyrzeczone groźnym, podniesionym głosem, zagłuszyły w uszach słuchającej gromady szum wodospadu, który niedaleko uderzał w kamienie i, jak żywy słup kryształowy grając w słońcu

wszystkimi barwami tęczy, wydawał się błyszczącą smugą ponad głowami gromady. Zachar ciągnął dalej.

— Spójrzcie raz jeszcze na ten znak! W każdym jego łańcuchu wykute są błyszczącymi srebrnymi okuciami piękne wzory. Okucia te nie obciążają ogniwa, jeno dodają mu ozdobności i trwałości. Tak samo każda gromada ma swe drogocenne postanowienia i porządki zrobione przez potrzeby, ułożone w pewną całość przez rozum mądrych ojców naszych. Ład ten jest święty, nie dlatego jednak, że dawny, że ułożony przez naszych ojców, jeno dlatego, że jest wolny, że nie przeszkadza dobremu w dobrym postępowaniu, a hamuje jedynie złego, który chciałby szkodzić gromadzie. Ład ów nie krępuje również gromady, a tylko dodaje jej siły i władzy dla ochrony wszystkiego, co dobre i pożyteczne, i dla zniszczenia wszystkiego, co złe i szkodliwe. Gdyby nie było tych srebrnych okuć, wówczas drewniane obrączki mogłyby się łatwo roztrzaskać i przepadłaby cała jednolitość łańcucha. Tak samo, gdyby nie było naszych świętych gromadzkich postanowień, wówczas przepadłaby i cała gromada. Uważajcie więc, czcigodna gromado, złodziej-skie ręce wyciągają się, aby zedrzyć te srebrne okucia z naszego ogniwa, aby osłabić i podeptać nogami nasz gromadzki ład, pod którego osłoną żyło się nam tak dobrze.

— Nie, nie pozwolimy im na to! — zawołała jednogłośnie gromada. — Staniemy w obronie naszej wolności, choćby przyszło nam nawet przelać ostatnią kroplę krwi!

— Dobrze, dzieci! — rzekł wzruszony Zachar Berkut — tak właśnie trzeba! Wierście mi, to duch naszego wielkiego Stróża przemówił przez wasze usta. Jego moc pozwoliła wam odgadnąć znaczenie tej chorągwi, która powiewa na naszym znaku. Czemuż jest ona czerwona? Albowiem oznacza krew! Do ostatniej kropli krwi powinna bronić gromada swej wolności, swego świętego ładu! I wierście mi, niedaleka ta chwila, która zaprawdę zażąda

od nas krwi! Bądźmy wtedy gotowi przelać ją w swej obronie!

W tej chwili oczy wszystkich gospodarzy, jakby na dany znak, zwróciły się w stronę wsi.

Tam, na drodze, wiodącej od wsi obok wodospadu w górę, ukazała się niewielka gromada wspaniale ubranych, zbrojnych ludzi. To bojar Tuhar Wilk wraz ze swą drużyną szedł w całej swej okazałości na tucholską radę. Mimo gorącego dnia wiosennego, odziany był bojar w rycerską pełną zbroję: w pancerz z żelaznej błyszczącej blachy, także nabiodrniki i nagolenniaki oraz w lśniący spiżowy szyszak z powiewającą nad nim kitą z kogucich piór. U boku jego kołysał się w pochwie ciężki bojowy miecz, przez plecy przewieszony był łuk i sajdak ze strzałami, a za pasem wetknięty był topór, pobłyskujący szerokim stalowym ostrzem i nabijanym brązem obuchem.

Na tę straszliwą zbroję na znak swego spokojnego zamiaru narzucił bojar wilczą skórę z paszczą przerobioną na zapięcie na piersiach i z łapami, które ostrymi pazurami otaczały jego pas.

Koło bojara szło dziesięciu wojaków, łuczników i toporników przyodzianych także w wilcze skóry, ale bez pancerzy. Wzdrygnęła się mimo woli tucholska gromada ujrawszy ową zbliżającą się wilczą drużynę. Wszyscy zrozumieli, że to właśnie ów wróg, który zawział się na ich wolność i niezależność. Tymczasem jednak tamci jeszcze nie nadeszli, Zachar zaś kończył swą przemowę.

— Oto nadchodzi bojar, który chwali się, że w dowód łaski kniaz podarował mu nasze ziemie, naszą swobodę, nas samych. Spójrzcie, jak dumnie występuje on w tym poczuciu łaski kniazia, w tym poczuciu, że jest sługą kniazia, że jest niewolnikiem! Nie potrzeba nam łaski od bojara i nie chcemy za nic w świecie zostać niewolnikami — oto przyczyna, dla której nas nienawidzi i przezywa smerdami. Ale my wiemy, że duma jego jest czcza i że prawdziwie wolnemu człowiekowi przystoi nie

duma, lecz spokojna powaga i rozum. Zachowajcie wobec niego oną powagę i ów rozum, tak że nie my go upokorzymy, lecz że on sam poczuje się w głębi swego sumienia upokorzonym! Skończyłem.

Cichy szept zadowolenia i radosnej decyzji rozszedł się po tłumie.

Zachar usiadł na swoim miejscu. Przez chwilę zajęło plac milczenie, dopóki Tuhar Wilk nie zbliżył się do rady.

— Witaj, gromado! — powiedział dotykając ręką swego szyszaka, nie zdejmując go jednak z głowy.

— Witaj i ty, bojarze! — odrzekła gromada.

Tuhar Wilk, dumnym, pewnym krokiem wystąpił przed gromadę i ledwie obrzuciwszy ją okiem, powiedział:

— Wyście wołali mnie do siebie i otom jest. Czego chcecie ode mnie?

Słowa te wyrzeczone były ostrym, dumnym głosem, którym bojar pragnął widocznie wykazać gromadzie swą wyższość. Nie patrzył przy tym na gromadę, lecz obracał w rękach swój topór i jak gdyby lubował się blaskiem jego ostrza i obucha, pokazując otwarcie, że gardzi głęboko całą tą radą.

— Zawezwaliśmy ciebie, bojarze, przed sąd gromadzki, aby przed osądzeniem twoich czynów wysłuchać twej mowy. Jakim prawem i w jakim celu wyrządzasz gromadzie krzywdę?

— Na sąd gromadzki? — powtórzył jakby w zdumieniu Tuhar Wilk zwracając się twarzą do Zachara. — Jam sługa kniazia i bojar. Nikt nie ma prawa mnie sądzić, prócz niego i równych mi bojarów.

— O to, bojarze, czym jesteś sługą, nic będziemy się z tobą spierać, nic to nas nie obchodzi. A o twoim prawie pomówimy później. Teraz bądź tylko łaskaw nam powiedzieć: skąd przyszedłeś do naszej wsi?

— Z stołecznego kniaziewskiego miasta Halicza.

— A kto kazał ci przyjść tutaj?

— Mój i wasz pan, książę Danyło Romanowycz.

— Mów, bojarze, o sobie, a nie o nas! Myśmy ludzie wolni i nie mamy nijakiego pana. A na cóż kazał ci pan twój iść do naszej wsi?

Twarz bojara oblała się czerwoną smugą złości na te słowa Zachara. Wahał się przez chwilę, czy odpowiadać dalej na jego pytania, powstrzymał jednak swe niewczesne uniesienie.

— Kazał mi on być stróżem jego ziem i jego poddanych, wojewodą i naczelnikiem Tucholszczyzny, i dał mnie i moim potomkom w wieczyste władanie ziemie tucholskie jako nagrodę za moją wierną służbę. Oto jego przywilej, jego pieczęć i podpis.

Mówiąc te słowa, wyjął dumnym ruchem ręki spoza szerokiego rzemiennego pasa kniaziowy przywilej i podniósł go w górę pokazując gromadzie.

— Schowaj, bojarze, swój przywilej, — rzekł spokojnie Zachar — my nie umiemy go czytać, a pieczęć twego księcia nie jest dla nas nijakim prawem. Powiedz nam sam raczej, kto zacz ten twój książ.

— Jak to? — zawołał zdumiony bojar. — Nie znacie kniazia Danyła?

— Nie, nie znamy żadnego kniazia.

— Władcy wszystkich ziem, wszystkich miast od Sanu aż do Dniepru, od Karpat aż do ujścia Bugu?

— Nigdyśmy go nie widzieli i nie jest on naszym władcą. Toć pastuch, władca trzody, pilnuje ją przed wilkiem, pędzi ją w spiekotę południa do chłodnego potoku, a w nocny chłód do ciepłej, bezpiecznej obory. A czy książ postępuje tak samo ze swoimi podwładnymi?

— Książ czyni dla nich jeszcze więcej — odrzekł bojar. — Daje im rozumne prawa i mądrych sędziów, posyła do nich swoje wierne sługi, aby bronili ich przed wrogiem.

— Nie rzekłeś ty prawdy, bojarze — zauważył surowo Zachar. — Spójrz, słońce na niebie zakryło swe jasne oblicze, aby nie słuchać twych opacznych słów! Nasze rozumne prawa pochodzą nie od twego kniazia, lecz od naszych dziadów i ojców. Nie widzieliśmy dotąd mądrych sędziów

kniazia i żyliśmy spokojnie w zgodzie i ładzie, sądząc się sami gromadzkim rozumem. Ojcowie nasi uczyli nas z dawien dawna: człowiek sam jeden jest głupi, a sąd gromadzki — to sąd sprawiedliwy. Ojcowie nasi żyli bez kniazio wych wojewodów, żyliśmy i my dotąd i, jak widzisz, chaty nasze nie są spustoszone i dzieci naszych nie zabrano w nieprzyjacielską niewolę.

— Tak było dotychczas, ale od dzisiaj będzie inaczej.

— Jak będzie od dzisiaj, tego my nie wiemy i tego nie wiesz również i ty, bojarze. Powiedz nam tylko jeszcze jedno: czy książ twój jest człowiekiem sprawiedliwym?

— Cały świat zna i podziwia jego sprawiedliwość.

— To pewno i ciebie przysłał, abys ty w naszych górach krzewił sprawiedliwość?

To proste pytanie zmieszało bojara, lecz po chwilowym wahaniu się rzekł:

— Tak.

— A jak sądzisz, bojarze, czy sprawiedliwy może niesprawiedliwie krzywdzić swych podwładnych?

Bojar milczał.

— Czy może on postępując niesprawiedliwie krzewić w ich sercach sprawiedliwość i krzywdząc ich zjednać sobie ich miłość i poważanie?

Bojar milczał bawiąc się ostrzem swego topora.

— Patrz tedy, bojarze — zakończył Zachar. — Usta twe milczą, ale sumienie twoje powiada, że tak być nie może. A przecież twój sprawiedliwy książ uczynił tak z nami, których nie widział i nie zna, o których dobro i szczęście nie troszczy się, którzy nie wyrządzili mu żadnego zła, lecz odwrotnie, składają mu obfitą daninę co roku. Jak mógł on to uczynić, bojarze?

Tuhar Wilk błysnął gniewnie oczyma na Zachara i powiedział:

— Pleciesz głupstwa, stary. Książ nie może skrzywdzić nikogo.

— A przecież nas skrzywdził tym samym przywilejem, którym się tak chwalisz! Albowiem zważ jeno: czy

nie skrzywdziłbym ciebie, gdybym bez twojej woli zdjął z ciebie ten oto błyszczący pancerz i dał go mojemu synowi? A tak samo postąpił z nami twój kniaź. Czym dla ciebie pancerz, tym dla nas ziemia i las. Używaliśmy i pilnowaliśmy ich od wieków jak oka w głowie, a tu naraz ty przychodzisz w imieniu twego kniazia i powiadasz: „To moje! Kniaź mój dał mi to w nagrodę za moje wielkie zasługi!“. I wypędzasz naszych pastuchów, zabijasz naszego leśniczego na naszej własnej ziemi! Powiedzże, czy możemy uważać twego kniazia za człowieka sprawiedliwego!

— Pomyliłeś się, starcze! — rzekł Tuhar Wilk — wszyscy jesteśmy własnością kniazia wraz ze wszystkim, co posiadamy, z naszym dobytkiem i ziemią. Wolny jest tylko sam kniaź, myśmy zaś jego niewolnikami. Jego łaska — to nasza wola. Może on z nami uczynić, co tylko zechce.

Słowa te ogłuszyły Zachara Berkuta, jak gdyby cios obuchem zadany w ciemność. Pochylił swą siwą głowę ku ziemi i milczał przez długą chwilę, nie wiedząc nawet, co rzec. Cała gromada trwała również ponuro w grobowym milczeniu.

Zachar wstał wreszcie. Twarz jego promieniała. Wzniósł ręce w górę, do słońca.

— Słońce przejasne! — rzekł — o ty, dobroczynne i wolne światło, nie słuchaj owych potwornych słów, jakie ten człowiek ośmielił się wyrzec przed twym obliczem! Nie słuchaj ich, zapomnij, że wypowiedziano je na naszej ziemi, nie skalanej jeszcze dotychczas takim pomysłem! I nie karz nas za nie, bo wiem, że nie puścisz ich płazem. I jeśli tam, w tamtym Haliczu namnożyło się dokoła kniazia wiele takich ludzi, to zetrzyj ich z oblicza ziemi, ale nie gub za karę wraz z nimi całego naszego ludu! — I po tych słowach Zachar uspokoił się, usiadł i zwrócił się znów do bojara.

— Słyszeliśmy, bojarze, twoje zdanie. Nie powtarzaj go przed nami po raz drugi, niechaj pozostanie przy tobie.

Posłuchaj teraz, jakie jest nasze zdanie o twoim kniaziu. Posłuchaj bez gniewu!

— Widzisz i wiesz sam, że nie możemy w nim upatrywać ojca i opiekuna. Ojciec zna swe dziecko, jego potrzeby i pragnienia, on zaś nie zna nas i znać nie chce. Opiekun strzeże swego wychowanka od wroga i wszelakiej szkody, książę zaś nie pilnuje nas ani od słoty, ani od burzy, ani od gradu, ani od niedźwiedzia, a to są nasi najgorsi wrogowie. Głosi on co prawda, że chroni nas od napadów węgierskich wojów. Ale, jak nas chroni? Nasyłając na nas gorszych jeszcze wrogów niż Węgrzy, swych nienasyconych bojarów wraz z ich drużynami. Węgrzy napadną, zabiorą, co się da, i pójdą sobie. Skoro bojar napadnie, to już osiadzie i nie zadowolony się żadnymi łupami, lecz rad by nas wszystkich uczynić na wieki niewolnikami.

— Uważamy twego kniazia nie za ojca i opiekuna, lecz za karę bożą, zesłaną na nas za nasze grzechy, karę, od której musimy wykupywać się corocznymi daninami. Im mniej o nim wiemy, a on o nas, tym dla nas lepiej. I gdyby cała nasza Ruś mogła pozbyć się go dzisiaj wraz z jego wszystkimi watahami, wówczas byłaby jeszcze zapewne szczęśliwa i wielka!<sup>1</sup>

Tuhar Wilk słuchał tych płomiennych słów sędziwego mówcy z dziwnym uczuciem w sercu. Choć wychowany na dworze kniazia i zepsuty przez zgniliznę i niegodziwość,

---

<sup>1</sup>) Poglądy wypowiedane tutaj przez Zachara Berkuta mogą być uważane za charakterystykę zapatrywań ówczesnego ludu na kniaziów, ich krwawe wojny domowe oraz na początki feudalizmu. Przypominamy, że podobne poglądy znalazły odgłos nawet u naszego kronikarza w opowiadaniu o śpiewaku Mytusie, którego za buntownicze mowy i nieposłuszeństwo kazał książę Danyło pochwyć i ukarać śmiercią. Rzecz prosta, że przytaczając takie zapatrywania dla scharakteryzowania epoki i ludzi, nie chcemy pomniejszyć w ten sposób wagi i znaczenia kniazia Danyła, który wyróżniał się spośród wszystkich władców ziem rusko-halickich jako człowiek niezwykły, sympatyczny i w swoim rodzaju, jak na owe czasy, dość ludzki i obdarzony rozumem politycznym. (Przyp. autora.)

był mimo wszystko rycerzem, wojakiem, człowiekiem; musiał doznać w sercu choć odrobinę tego uczucia, które tak potężnie wzruszyło serce Zachara Berkuta.

A przy tym nie wyrzekł on bynajmniej ze szczerym sumieniem swych poprzednich słów o nieograniczonej władzy kniazia. Dusza jego buntowała się nieraz sama przeciwko tej władzy, tutaj zaś pragnął on powoływaniem się na władzę kniazia zasłonić jedynie własne zabiegi o taką samą władzę. Nie dziw, że słowa Zachara Berkuta zapadły mu głębiej w duszę niż sam tego pragnął. Po raz pierwszy spojrział on nań ze szczerym podziwem, ale zarazem i żal mu się zrobiło tego olbrzyma, którego upadek był, jego zdaniem, bliski i niechybny.

— Starcze, starcze, żal mi twych siwych włosów i twego młodzieńczego serca. Długo żyłeś na świecie, zdaje się nawet, że nadto długo! Żyjąc sercem w przeszłości i w płomiennych myślach młodzieńczych, przestałeś rozumieć nowe, dzisiejsze czasy, ich poglądy i potrzeby. To, co było dawno, nie musi trwać ani dziś, ani na wieki. Wszystko, co żyje, przeżywa się. Przeżyły się również twoje młodzieńcze myśli o wolności. Nadchodzą teraz, starcze, ciężkie czasy! Wymagają one oczywiście jednego, potężnego władcy w naszym kraju, który zgromadziłby w jedno ognisko i skupił w swoim ręku wszystką siłę całego narodu, dla jego obrony przed wrogiem nadciągającym ze wschodu. Ty, starcze, nie wiesz o tym i zdaje się tobie, że trwają jeszcze dawne czasy.

— Pomyliłeś się, bojarze, i w tej sprawie — rzekł Zachar Berkut. — Nie przystoi staremu oddawać się młodzieńczym rojeniom i przymykać oczy na teraźniejszość. Ale o wiele bardziej nie wypada mu pomiatać dobrem, dlatego że stare, a chwycić się złego, dlatego że nowe. Jest to zwyczajem młodzików, i do tego źle wychowanych. Zarzucasz mi, że nie wiem, co się dokoła nas dzieje. A tymczasem nie wiadomo jeszcze, kto z nas obu wie o tym lepiej i dokładniej. Napomknąłeś mi o straszliwym wrogu grożącym nam ze wschodu i wypowiedziałeś myśl,

że zbliżenie się tego wroga wymaga skupienia całej potęgi ludu w jednym ręku. — Powiem ci teraz, co ja wiem o tym wrogu. Prawda to, bojarze, że przybył do ciebie wczoraj kniaziowy poseł, który oznajmił ci o nowym napadzie straszliwych mongołów na naszą krainę, o tym, że zajęli oni po długim oporze Kijów i zrujnowali go do szczytu, a teraz olbrzymią chmarą ciągną na nasze czerwonoruskie ziemie. Myśmy, bojarze, wiedzieli o tym jeszcze przed tygodniem i wiedzieliśmy o pośle kniazia wyprawionym w te strony oraz o jego wieściach. Poseł kniaziowy przybył dość późno, nasi posłowie chodzą znacznie szybciej. Mongołowie rozlali się już dawno po naszej Czerwonej Rusi, poniszczyli wiele miast i wsi i rozdzielili się na dwa strumienie. Jeden popłynął na zachód, pono pod Sandomierz, do polskiego kraju, drugi zaś płynie w górę doliną stryjską w nasze strony. Prawda, bojarze, żeś jeszcze o tym nie wiedział?

Tuhar Wilk patrzył na starego Zachara ze zdumieniem i niemal ze strachem.

— A skądże wiesz o tym, starcze? — zapytał.

— Powiem ci również i o tym, ażebyś wiedział, co za potęga tkwi w gromadach oraz w ich wolnym związku. Jesteśmy w łączności ze wszystkimi podgóorskimi gromadami. Zobowiązane są one nam, my zaś im, jak najszybciej donosić o wszelkich wieściach posiadających znaczenie dla gromadzkiego życia. Podgórskie gromady pozostają znowu w związku z dalszymi na Pokuciu i Podolu, toteż wieść o wszystkim, co ważne jest dla nas, co dzieje się na naszej Czerwonej Rusi, rozchodzi się błyskawicznie od gromady do gromady.

— Na cóż wam wieści, kiedy nie potraficie sobie dopomóc! — mruknął wzgardliwie bojar.

— Prawdę rzekłeś, bojarze — odpowiedział Zachar ze smutkiem. — Podolskie i pokuckie gromady nie mogą sobie dopomóc, bo są obdarte i osłabione przez kniaziców i bojarów, którzy nie pozwalają im posiadać własnej broni ani wprawiać się we władanie orężem. Widzisz oto, bo-

jarze, co to znaczy skupić potęgę narodu w jednym ręku! Aby skupić w jednym ręku potęgę narodu, trzeba osłabić jego siłę. Aby jednostce nadać wielką władzę nad narodem, trzeba każdej gromadzie odebrać jej wolność, trzeba rozbić związki gromadzkie, rozbroić gromadzkie ręce. A wtedy wszelacy mongołowie mają otwartą drogę do naszego kraju. Spójrz bowiem na naszą Ruś! Twój władca, twój potężny książę Danyło przepadł gdzieś bez wieści. Zamiast zwrócić się do swego ludu, oddać mu jego wolność i uczynić zeń żywą, niepokonaną zaporę przeciwko najazdowi mongolskiemu, uciekł on w chwili niszczenia jego kraju do węgierskiego króla, aby błagać go o pomoc. Ale Węgrzy nie kwapią się nam z pomocą, choć im samym również grozi ta sama nawałnica. Twój Danyło znikł teraz gdzieś i, kto wie, może ujrzycie go niebawem w obozie mongolskiego chana jako jego wiernego poddanego, ażeby za cenę niewoli i poniżenia przed mocniejszym kupić sobie władzę nad słabszymi.

Bojar słuchał tej opowieści i w głowie jego zaczął się już układać plan: co czynić? Jak wyzyskać taką chwilę?

— Mówisz tedy, że napad mongołów zagraża również i tym oto górcom?

Zachar jakoś znacząco uśmiechnął się na to pytanie.

— Grozi, bojarze.

— I cóż zamysłacie czynić? Poddawać się czy bronić?

— Poddawać się im nie można, bo wszystkich, którzy im się poddają, pędzą oni na służbę, i to do pierwszych szeregów, do najcięższych bojów.

— A więc chcecie się bronić?

— Spróbujemy uczynić, na co nas stać będzie.

W takim razie przyjmijcie mnie jako swego wojewodę. Ja poprowadzę was do boju przeciwko mongołom!

— Poczekaj, bojarze, nie doszliśmy jeszcze do wyboru wojewody. Tyś nam się jeszcze nie wytłumaczył ze swych postępów w naszej gromadzie. Przyjmiemy twoją szczerą chęć służenia gromadzie, ale mówili nam nasi

ojcowie, że do czystej sprawy potrzeba również czystych rąk. A czy ręce twoje, bojarze, okażą się czyste dla takiej sprawy?

Tuhar Wilk zmieszał się nieco takim nagłym zwrotem i wreszcie powiedział:

— Starcze, gromado, porzućmy dawne urazy! Wróg się zbliża, złączmy swe siły przeciwko niemu! Dochodząc swojej krzywdy, możecie tylko zaszkodzić sprawie, a nie zyskacie dla siebie nijakiej korzyści.

— Nie, bojarze, nie mów tak! Nie dochodzimy swej krzywdy, lecz samej prawdy. Krzywą drogą przyszedłeś do nas, bojarze, nie według prawdy postępowałeś z nami i jakże możemy ci powierzyć dowództwo nad nami w wojnie z mongołami?

— Starcze, ty, jak widzę, uwziąłeś się, by mnie rozdrażnić.

— Bacz, bojarze, że jest to sąd gromadzki, a nie zabawa! Powiedz mi, czy osiedlając się na ziemi tucholskiej pragnąłeś być członkiem gromady, czy też nie!

— Jestem przysłany tutaj przez kniazia jako wojewoda.

— Powiedzieliśmy ci, że nie uznajemy takiego prawa nad nami, w szczególności zaś prawa na naszą ziemię. Nie tykaj, bojarze, naszych ziem i naszych ludzi, a wówczas przyjmujemy cię może do naszej gromady jako równego pomiędzy równych.

— A więc tak — krzyknął z gniewem Tuhar Wilk. — Taka to wasza sprawiedliwość! Miałbym tedy wzgardzić kniaziową łaską dopraszając się łaski smerdów.

— Cóż, bojarze, inaczej nie możesz być naszym obywatelem, gromada zaś nie zechce nawet ścierpieć pośród siebie kogoś nie należącego do niej.

— Nie zechce ścierpieć? — zawołał szyderczo Tuhar Wilk.

— Ojcowie nasi powiadali nam: szkodliwego i niepotrzebnego członka gromady, rozbójnika, koniokrada lub obcego, który bez zgody gromady zabierałby jej zie-

mie, takiego wraz z rodziną wypędzić należy z granic gromady, dom zaś jego zburzyć i zrównać z ziemią.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się wymuszonym śmiechem bojar — więc śmielibyście mnie, kniaziowego bojara, obdarzonego łaską kniazia za własne zasługi, traktować na równi z rozbójnikami i koniokradami?

— Cóż, bojarze, a powiedzże sam uczciwie, czy postępujesz z nami lepiej niż rozbójnik. Zabierasz przecież naszą ziemię, nasze największe i jedyne dobro. Wypędzasz naszych ludzi i zabijasz ich, strzelasz do naszego bydła! Czy tak postępują uczciwi obywatele?

— Starcze, poniechaj takiej mowy, ja nie mogę słu-  
chać, znieważa ona mój honor.

— Poczekaj, bojarze, jeszcze nie skończył — odrzekł spokojnie Zachar Berkut. — Oto wspomniałeś o swoim honorze i mówisz raz po raz o swych wielkich zasługach. Powiedz nam z łaski swej, jakie to twoje zasługi, abyśmy również mogli je uszanować.

— Przelewałem swą krew w dwudziestu bitwach!

— Przelewać krew swą, bojarze, nie jest jeszcze żadną zasługą. I rozbójnik przelewa nieraz swą krew, a przecież wieszają go za to. Powiedz nam, przeciwko komu i w czyjej obronie wojowałeś?

— Przeciwko kniaziowi kijowskiemu, przeciwko książętom wołyńskim, polskim i mazowieckim.

— Dość, bojarze! Wojny te są hańbą, a nie zasługą zarówno dla ciebie jak i dla kniaziów. To wojny iście zbójckie.

— Wojowałem tak samo nad Kałką przeciwko mon-  
gołom.

— I w jaki sposób walczyłeś przeciwko nim?

— Jak to w jaki sposób? Tak jak powinienem był walczyć nie ustępując z miejsca, dopóki ranny nie dostałem się do niewoli.

— Dobrześ to powiedział, nie wiemy jeno, czyś rzekł prawdę.

— Jak nie wiecie, to i nie mieszajcie się do tego, czego nie wiecie.

— Poczekaj, bojarze, nie kpij sobie z naszej niewiedzy. Spróbujemy się przekonać — i rzekłszy te słowa Zachar wstał i powiedział zwracając się do gromady.

— Czcigodna gromado, słyszeliście wyznanie bojara Tuhara Wilka?

— Słyszeliśmy.

— Czy może ktokolwiek świadczyć za nim albo przeciwko niemu?

— Ja mogę! — odezwał się głos z tłumu.

Bojar wzdrygnął się niby ugodzony strzałą i po raz pierwszy spojrzął na gromadę uważnie, z jakowąś trwogą.

— Kto może świadczyć, niechaj wystąpi przed gromadę i niech złoży świadectwo — rzekł Zachar.

Przed gromadę wystąpił niestary jeszcze człowiek, kaleka, bez ręki i nogi, pokaleczony na krzyż. Twarz jego poorana była głębokimi bliznami. Był to Mit'ko Wojak, jak nazywała go gromada. Przed kilku laty zaszedł on o kuli do gromady rozpowiadając straszne wieści o mongolach, o bitwie nad Kałką, o pogromie kniaziów ruskich oraz śmierci tych, którzy dostali się do niewoli, a później, podczas obiadu u dowódców mongolskich, zaduszeni zostali pod pomostem, na którym mongołowie zasiedli do uczty. On, Mit'ko, brał również udział w tej bitwie jako drużynnik pewnego bojara i dostał się razem z nim do niewoli, z której potem jakimś cudem uszedł. Długo tułał się on po wsiach i miastach świętej Rusi, aż zaszedł w końcu do Tuchli. Upodobał sobie pobyt tutaj. A ponieważ swą jedyną ręką potrafił zręcznie wyplatać koszyki i znał wiele pieśni i opowiadań o dalekich krajach, przeto gromada przyjęła go w poczet swych członków, żywiła go i przyodziewała po kolei, lubiąc go i szanując za rany odniesione w wojnie z najeźdźcą i za jego szczery i wesoły charakter. Ten oto Mit'ko wystąpił teraz jako świadek przeciwko bojarowi.

— Powiedz nam, wojaku Mit'ko, — zaczął go wypytywać Zachar — czy znasz owego bojara, przeciwko któremu pragniesz złożyć świadectwo?

— Znam — odrzekł stanowczym głosem Mit'ko. — Służyłem w jego drużynie i brałem udział w bitwie nad Kałką.

— Milcz, podły niewolniku — krzyknął pobladły bojar. — Milcz, bo inaczej zakończysz tutaj twój nędzny żywot.

— Bojarze, jam teraz nie twój niewolnik, lecz wolny obywatel i tylko moja gromada może mi nakazać milczenie. Milczałem dotąd, ale teraz każą mi mówić. Zacna gromado! Ważkie i straszliwe jest moje świadectwo przeciwko bojarowi Tuharowi Wilkowi: on zdra...

— Milczałeś dotąd, milcz więc i teraz — ryknął bojar. Zabłysnął topór i Mit'ko Wojak z rozłupaną głową upadł skrwawiony na ziemię. Gromada z jękiem zerwała się z miejsc. Straszny okrzyk rozbrzmiał dokoła.

— Śmierć mu! Śmierć! Shańbił on świętość sądu! Zabił na radzie naszego męża!

— Podli smerdowie! — krzyknął do nich bojar — nie boję się was! Tak oto stanie się z każdym, kto się odważy dotknąć mnie czy to ręką, czy nożem. Hej, moi wierni słudzy, do mnie tu!

Łucznicy i topornicy, choć sami pobladli i drżący, otoczyli bojara. Groźny, czerwony z wściekłości, stał wśród nich z krwawym toporem w ręku. Na znak Zachara gromada uciszyła się.

— Bojarze, — rzekł Zachar — zawiniłeś śmiertelnie wobec naszej gromady. Zabiłeś na sądzie świadka, naszego obywatela. Nie dowiedzieliśmy się i wiedzieć nie chcemy o tym, jakie chciał złożyć świadectwo przeciwko tobie: niechaj sędzi cię twoje sumienie. Ale doruściwszy się zabójstwa przyznałeś się do winy i popełniłeś nową. Gromada nie może cierpieć ciebie na naszej ziemi. Oddal się od nas! Za trzy dni od dziś przyjdą nasi ludzie, aby

zburzyć twój dom i zetrzeć nawet ślad twego pobytu u nas.

— Niech przyjdą — krzyknął bojar wściekłym głosem. — Zobaczymy, kto czyj ślad zetrze. Pluję na wasz sąd! Chciałbym ujrzeć tego, kto zbliży się do mojego domu! Nuże, moi słudzy, wyjdźmy z tego podłego zgromadzenia!

Bojar oddalił się wraz ze swoimi sługami. Przez długi czas panowała na zgromadzeniu cisza. Młodzież zabrała krwawe zwłoki Mit'ka Wojaka.

— Czcigodna gromado, — rzekł Zachar — czy chcecie postąpić z bojarem Tuharem Wilkiem tak samo jak ojcowie nasi kazali postępować z takimi ludźmi?

— Tak, tak — zawołała gromada.

— Kogóż wybieracie do spełnienia woli gromadzkiej?

Wybrano dziesięciu młodzieńców, a pomiędzy nimi również Maksyma Berkuta. Ciężko było Maksymowi przyjąć ten wybór. Nienawidził wprowadzić bojara, ale był to przecież ojciec tej, która jakby czarem opanowała jego serce i myśli, za którą oddałby życie. A teraz, o biada, i ona osądzona została niewinnie za ojcową przewinę. Mimo to nie wymawiał się Maksym od wyboru. Choć bardzo ciężkie było dlań zadanie spełnienia gromadzkiego wyboru, przecież w głębi serca cieszył się z tego powodu; toż zobaczy ją przy tej sposobności! A może uda mu się pocieszyć ją w jakiś sposób, złagodzić chociaż swą serdecznością ostry wyrok gromady!....

A tymczasem zebranie rady gromadzkiej toczyło się dalej zwykłym trybem. Powołano posłów obcych gromad, aby naradzić się również i z nimi nad sposobami obrony przed najazdem mongołów.

— Jesteśmy zrujnowani — mówił poseł gromad podgórskich. — Wsie nasze popalone, bydło zrabowane, młodzież wyginęła. Szeroką rzeką rozlała się po Podgórzu pożoga i zniszczenie. Książ nie dał nam żadnej obrony, bojarowie zaś, którzy gnębili nas podczas pokoju, zdradzili nas w potrzebie.

Posłowie z Korczyna i Tustania mówili:

— Grozi nam zalew. Poniżej Synowódzka bieleją już na równinie namioty mongołów. Idzie ich moc niezliczona i my nie możemy nawet myśleć o walce i oporze, lecz zabieramy wszystko i uciekamy w lasy i góry. Bojarowie nasi zaczęli byli robić zasieki na szlaku, ale wahają się jakoś. Szepecą ludzie, że chcą oni zaprzedać nasze szlaki mongołom.

Posłowie innych gromad podgórskich mówili:

— Marny u nas urodzaj, a teraz zbiegło do nas z nizin moc ludu. Ciężki jest przednówek. Ratujcie nas i gości naszych, pomóżcie przetrwać czarną godzinę!

Posłowie gromad rusko-węgierskich prawili:

— Słyszeliśmy o tym, że nawała mongolska posuwa się ku węgierskiemu krajowi. Wzywamy was, sąsiedzi i bracia, w imię boga i bogów ojców naszych, abyście zatrzymali ową straszliwą chmarę, abyście nie pozwolili jej zwalić się na nasz kraj! Wsie wasze — to twierdze, każda wasza skała, każda przepaść starczy za tysiąc wojów. A skoro raz przetoczą się oni przez góry, to żadna już siła ich tam nie zatrzyma i wówczas zginiemy marnie wszyscy. Gotowiśmy udzielić wam wszelkiej pomocy, jakiej zażądacie, wesprzeć was i zbożem, i ludźmi, jeno nie zakładajcie rąk, nie traćcie nadziei, stawajcie do boju z nikczemnym najeźdźcą.

Wtedy rzekł Zachar Berkut:

— Czcigodna gromado i wy, czcigodni posłowie sąsiedzcy! Słyszeliśmy tutaj wszyscy, jaka straszliwa nawała idzie na nasz kraj. Występowały przeciwko niej uzbrojone wojska i zginęły. Wielka jest potęga mongołów, a nieszczęsne porządki na naszych nizinach pozwoliły im zejść aż do serca naszego kraju, aż przed próg naszej chaty. Kniaziowie i bojarowie potracili głowy lub widocznie zdradzają swój kraj. Cóż mamy tutaj uczynić? Jak mamy się bronić? Sądziłbym, że nie możemy udawać się poza granice naszej Tucholszczyzny. Obronimy zapewne naszą drogę przy waszej pomocy, czcigodni oby-

watele z za gór. Ale nie zdołamy obronić innych szlaków. Będzie to sprawa wasza, czcigodni obywatele tustańscy, a gdyby udała się nam nasza sprawa, wówczas przyjdziemy i wam chętnie z pomocą.

Na to odrzekli posłowie tustańscy:

— Wiemy, ojczyźnie Zacharze, że nie możecie w żaden sposób przyjść nas obronić i że owa ciężka godzina wymaga, aby każdy stawał przede wszystkim we własnej obronie. Ale zważcie jeno, że nasze gromady nie są tak szczęśliwe jak wasze, że bojarowie ujarzmili nas i pilnują zasieków oraz przejść. A jak zechcą wydać je mongołom, to cóż my wówczas poradzimy? Jedną tylko mamy nadzieję i jedno tylko może nas jeszcze ocalić — gdyby mongołowie nie poszli waszą drogą, wtedy bowiem będziecie mogli wyruszyć nam z pomocą, zabezpieczwszy swój szlak wartą.

— Obywatele, obywatele — rzekł Zachar ze smutkiem, ale i z wyrzutem — macie, zda się, jak przystoi mężom, i siłę w rękach, i rozum w głowach, a mowa wasza jest dziecinna. Pokładacie nadzieję w „może“ i w „kto wie“. Toż bądźcie pewni, że skoro nie zagrozi nam niebezpieczeństwo, przyjdziemy wam z pomocą całą gromadą. Przede wszystkim jednak powinniście zabezpieczyć się przed waszymi wrogami — przed bojarami. Dopóki w ich rękach znajdują się zasieki i przejścia, dopóty nie możecie bezpiecznie odetchnąć. Ten najchytrzejszy ród może was w każdej chwili sprzedać. Nie pora wam drzemać, ale uderzyć w dzwony i zrzucić z siebie owe gromadzkie pęta, jakimi oplątała was bojarska chciwość i kniaziowa swawola. Póki to nie nastąpi, dopóty nie zdołamy wam pomóc.

Smutnie pochylili głowy tustańscy posłowie słysząc te słowa Zachara.

— Ojczyźnie Zacharze, — rzekli — znasz przecież naszych obywateli, a mówisz tak jak gdybyś ich zupełnie nie znał. Złamana jest ich dawna odwaga, przydeptana ich wola. Dziękujemy ci za twą radę i przekazemy ją na-

szym gromadom, ale czy pójdą one za nią? Hej, gdybyś ty był pomiędzy nimi i powiedziałaś im swe słowo!

— Czyżby jednak moje słowo, czcigodni sąsiedzi, mogło mieć u waszych obywateli większe znaczenie niż własna potrzeba, niż własny ich rozum? Nie! Gdyby tak było, to nawet i moje słowo nic by wam już nie pomogło, to przepadłyby już nasze gromady, przepadłaby nasza Ruś.

Słońce pochyliło się już ku zachodowi, gdy tucholska gromada wracała do wsi po ukończeniu rady. Bez radośnych śpiewów i okrzyków, smutnie, z powagą szli starzy i młodzi, pełni ciężkich myśli.

Cóż to przyniosą im nadchodzące dni?

Posłowie z obcych gromad rozeszli się już, podniesieni na duchu i z otuchą w sercu. Tylko chorągiew gromadzka, znak siły i zgody gromadzkiej, powiewała wysoko i wesoło w powietrzu i wiosenne niebo jaśniało przeczystym błękitem, jakby nie widząc ziemskich trosk i ziemskiej trwogi.

#### IV.

Szeroką rzeką rozlały się po Rusi pożogi, ruina i śmierć. Straszliwa mongolska orda z dalekiej stepowej Azji najechała na naszą krainę, aby na długie wieki u samego korzenia podciąć jej siłę, rozbić życie narodu. Najważniejsze miasta: Kijów, Kaniów, Perejasław upadły i do gruntu zostały zrujnowane; śladem ich poszły tysiące wsi i mniejszych grodów. Straszliwy mongolski naczelnik — Batu-chan, przewany Batyjem, ciągnął na czele swojej stutysięcznej ordy pędząc przed sobą czterokroć tyle różnych jeńców, którzy musieli bić się za niego w pierwszych szeregach wzdłuż ziemi ruskiej, zapuszczając szeroko swoje zagony i brodząc po kolana we krwi. O jakimkolwiek oporze w otwartym polu nie było nawet co myśleć, tym bardziej, że Ruś rozbita była i rozdarta wewnętrznymi waśniami. Gdzieniegdzie stawiali opór mieszczanie w swoich murach i nie przywykli do prowadzenia

regularnego oblężenia mongołowie musieli stracić dużo czasu, szturmując toporami do bram i murów. Lecz słabe twierdze padały, zdobyte raczej zdradą i przekupstwem niż siłą. Celem pochodu straszliwej ordy były Węgry, bogata kraina, zamieszкана przez plemię spokrewnione z mongołami, od którego wielki mongolski Dżingis-chan domagał się uległości. Węgry nie chciały się poddać i groźny pochód ordy mongolskiej miał im pokazać moc wielkiego Dżingis-chana.

Z trzech stron od razu, według planu Batyja, wpaść miała orda na Węgry: ze wschodu na Siedmiogród, z zachodu od ziemi morawskiej i od północy przez Karpaty. W tym celu podzieliła się orda na trzy części: — jedna pod przewodem Kajdana poszła stepami besarabskimi na Wołoszczyznę, druga pod przewodem Pety oddzieliła się od głównej ordy w ziemi wołyńskiej, i w poprzek Czerwonej Rusi, przez Plisnesko dążyła do górnego Dniestru, aby przejść go w bród, dalej zaś rozlała się po Podgórzu szukając przejść przez Karpaty. Wzięci w niewolę miejscowi ludzie oraz niektórzy bojarowie-zdrajcy prowadzili mongołów górnym Stryjem na tucholski szlak i, jak mówili korczyńscy posłańcy, namioty ich bieleły się już na równinie pod Synowódką.

Zmierzchało. Gęsty zmrok zalegał Podgórze. Zadymiły się lesiste góry tucholskie niby niezliczone wulkany, gotowe w każdej chwili wybuchnąć. Stryj szumiał na kamiennych brodach i pienił się na zakrętach. Niebo pokrywało się gwiazdami. Lecz i na ziemi, na szerokiej nadstryjskiej równinie, błyskać poczęły jakieś światła, zrazu gdzieś tylko, jakby nieśmiało, potem już coraz gęściej, silniej, aż wreszcie cała równina, jak okiem sięgnąć, pokryła się nimi, rozżarzyła się krwawym odblaskiem. Jak morze lekkim wiatrem poruszone, tak migotały te światła ponad doliną, to żywiej pałając, to znów rozlewając się w ciemniejszej przestrzeni. To pałyły ogniska w obozie mongołów. Ale hen, hen w dali, gdzie kończyło się to migocące morze, pałyły inne światła, straszne, szerokie,

buchające ognistą grzywą. To gorzały okoliczne wsie i przysiółki okalające szerokim, płomiennym pasem tabor mongolski. Tam to buszowały zagony mongołów rabując i mordując ludzi, biorąc w jasyr i niszcząc do szczeru wszystko, czego nie można było zabrać.

O zmroku już, wąskim upłazem ponad synowódzkimi górami jechało dwoje ludzi na niewielkich i krzepkich górskich konikach. Jeden z jeźdźców, mężczyzna w podeszłych latach, miał na sobie rycerski strój, zbroję, miecz i topór, hełm na głowie i spisę przytwierdzoną do końskiego siodła. Spod hełmu spływały na jego plecy długie i gęste, siwiejące już włosy. Nawet zapadający zmierzch, co chmurą zaległ góry i olbrzymimi kłębami wypływał z jarów i wąwozów coraz to wyżej i wyżej, nie mógł na jego obliczu ukryć wyrazu głębokiego niezadowolenia, gniewu i jakiejś silnej zawziętości, która co chwila rozlewała się po jego twarzy to jadowitym, przykrym uśmiechem, to znów ponurą chmurą — jakby coś szarpało jego stawy kurczowymi, nagłymi ruchami i udzielało się też jego pięknemu koniowi.

Drugim jeźdźcem była młoda, piękna dziewczyna, ubrana w płócienną, jedwabnymi nitkami przetykaną odzież, w niewielkim bobrowym kołpaku na głowie, który nie mógł objąć jej bogatych, bujnych, złocistożółtych włosów. Przez plecy przewieszony miała łuk z rogu tura i sajdak ze strzałami. Jej czarne, płomienne oczy patrzyły ciekawie dookoła napawając się równymi, falistymi konturami wyżyny i ciemnozielonymi, nasyconymi barwami lasów i połonin.

— Cóż za piękna kraina, ojczy! — zawołała dźwięcznym, srebrnym głosem, gdy konie ich zatrzymały się na chwilę na stromym pagórku, przez który przedzierali się z trudem, aby przed zmierzchem jeszcze dojechać do celu.

— Cóż za cudownie piękna kraina! — powtórzyła już cichszym, delikatniejszym głosem, oglądając się poza siebie i tonąc wejrzeniem w niezgłębianych, ciemnych kotlinach.

— Cóż za podły lud żyje w tym kraju! — gniewnie odburknął jeździec.

— Nie, ojcze, nie mów tego! — rzekła śmiało, lecz zaraz zmieszała się jakoś i zniżywszy znacznie głos dodała po chwili:

— Nie wiem dlaczego, ale podobał mi się lud tutejszy...

— O, ja wiem, że on się tobie podobał! — krzyknął z wyrzutem jeździec. — A raczej, że spodobał się tobie jeden z tego ludu, ten przeklęty Berkut! O, ja wiem, żeś ty gotowa dla niego porzucić ojca, żeś ty przestała już kochać ojca dla niego. Ale cóż robić — taka już dziewczęca natura. Ja zaś mówię tobie, dziewczyno: nie wierz powierzchnowemu blaskowi. Nie wierz gadzinie, choć mieni się koralowymi barwami.

— Ależ, ojcze, cóż za myśli przychodzą ci do głowy! I jakimi przykrymi słowami mi dokuczasz! Przyznałam ci się, że kocham Maksyma i przysięgam przed słońcem, że będę jego. A choć i będę jego, to nie przestanę kochać ciebie, ojcze, nigdy, nigdy!

— Ależ, głupia dziewczyno! Ty nie będziesz jego, o tym nie ma co myśleć. Zapomniałaś chyba, żeś ty córka bojarska, a on smerd, owczarz.

— Nie, ojcze, nie mów tak! On taki sam rycerz jak i inni rycerze, nie, on lepszy, śmielszy i dzielniejszy od wszystkich naszych synów bojarskich, jakich dotąd widziałam. A zresztą, ojcze, darmo już odwodzić — ja przysięgam!

— Cóż znaczy przysięga głupiej, zaślepionej dziewczyny?

— Nie, ojcze, ja nie głupia i nie zaślepiona. Nie w przystępie dzikiej namiętności, nie bez wahania i rozmyślenia uczyniłam to. Nawet nie bez wyższej woli, ojcze! — ostatnie słowa rzekła jakimś przygłuszonym, tajemniczym głosem.

Bojar zwrócił się do niej z zaciekawieniem:

— No, a cóż to znowu! Jaka to wyższa wola skłoniła ciebie do takiego szaleństwa?

— Słuchaj, ojczy! — rzekła dziewczyna obracając się do niego i zwalnając nieco kroku. — W nocy przed tym dniem, kiedyśmy mieli ruszać na niedźwiedzie, ukazała mi się we śnie moja matka. Taka była, jakąś ty mi ją opisywał: w białej szacie, z rozpuszczonym włosiem, lecz z twarzą rumianą i jasną niby słońce, z uśmiechem na ustach, z radością i bezmierną miłością w jasnych oczach. Przystąpiła do mnie i wzięła w ramiona, silnie przyciskając do piersi.

— Mamo! — zawołałam nie mogąc ni słowa więcej wymówić z radości i rozkoszy, która napełniała całą moją istotę.

— Mirosławo, dziecko moje jedyne, — powiedziała łagodnym, miękkim głosem, który i teraz drga jeszcze w moim sercu — słuchaj, co ci powiem. Wielka chwila zbliża się dla ciebie, córko. Serce twoje przebudzi się i przemówi. Słuchaj swego serca, córko, i idź za jego głosem.

— Tak, mamo! — odpowiedziałam drżąc z jakiejś niewypowiedzianej radości.

— Błogosławię serce twoje! — i rzekłszy to rozwiała się wonną mgiełką, a ja ocknęłam się. I serce moje naprawdę przemówiło, ojczulku, i ja poszłam za jego głosem. Na mnie spoczywa teraz błogosławieństwo mamy.

— Ależ, głupia dziewczyno, to był sen. O czym ty myślałaś w dzień, to w nocy i przyśniło się tobie. A jednak, — dodał bojar po krótkiej chwili — a jednak ty go nigdy nie zobaczysz!

— Nie zobaczę! — zawołała żywo Mirosława. — Czemu go nie zobaczę? A może on umarł?

— Choćby i sto lat żył, to i tak go nie obaczysz, bo my... my nie wrócimy już więcej w te przeklęte strony.

— Nie wrócimy? A to dlaczego?

— Dlatego, — rzekł bojar z wymuszonym spokojem — że ci twoi dobrzy ludzie, a pośród nich także stary diabeł, ojciec twego ukochanego Maksyma, uchwalili na

swojej radzie wygnać nas ze swojej wsi, rozwalić nasz dom i zrównać go z ziemią! Ale poczekajcież, chamskie plemię, poznacie z kim macie do czynienia. Tuhar Wilk to nie tucholski wilk — on i tucholskim niedźwiedziom potrafi pokazać zęby!

Bolesnym echem odbiły się te słowa w sercu Mirosławy.

— Wygnali nas, ojczulku? I za cóż nas wygnali? Pewno za tego leśniczego, którego kazałeś tak niemiłosiernie oćwiczyć, choć ja z płaczem błagałam ciebie, abys wypuścił go na wolność.

— Jak ty to wszystko pamiętasz! — podchwycił złośliwie Tuhar, choć oskarżenie z ust córki ubodło głęboko jego serce.

— O, ja wiem, że gdybyś ty była na tej radzie, stanęłabyś po ich stronie przeciw rodzonemu ojcu. Cóż robić — ojciec stary, ponury, nie umie błyskać oczyma ani wzdychać, a tobie chciałoby się innego towarzysza. I cóż z tego, że ojciec posiwał przed czasem, starając się zabezpieczyć twoje życie, a ten nowy, miłszy, młodszy towarzysz może niszczy teraz ze swoimi tucholcami naszą chatę, ostatnie i jedyne nasze przytulisko na tym świecie.

Mirosława nie mogła znieść tych jadowitych wyrzutów i z oczu jej trysnęły gorące łzy.

— Nie, to ty, ty mnie nie kochasz — rzekła zalewając się łzami. — I nie wiem nawet, co odwróciło ode mnie twoje serce? Ja przecież nie dałam ci żadnego powodu! Sameś mnie uczył i przykazywał żyć prawdą i mówić prawdę! Czyżby teraz ta prawda nagle ci tak obrzydła?

Bojar milczał zwiesiwszy w dół głowę. Zbliźali się już do szczytu i jechali wąską drogą pomiędzy wysokimi bukami, które zasłaniały przed nimi cały widnokrąg.

Konie puszczane luzem same wyszukiwały sobie ścieżki wśród korzeni i często prychając stąpały zwolna po pochyłej kamienistej drodze pod górę.

— Dokądże my jedziemy, kiedy nas wygnano z Tu-

cholszczyzny? — spytała nagle Mirosława ocierając rękawem łzy i podnosząc głowę do góry.

— Gdzie oczy poniosą — odrzekł ojciec.

— Tyś mówił przecież, że jedziemy w gościnę do jednego bojara.

— Prawda stała mi się wstrętna, powiedziałem ci nieprawdę.

— Dokąd więc jedziemy?

— Dokąd sama zechcesz. Mnie wszystko jedno. Może jechać do Halicza, do kniazia, któremu sprzykrzyłem się i który rad by się mnie pozbyć? O, ten kniaź, to chytra sztuka. Wykorzystać siłę człowieka, wyssać go niby dojrzalą wiśnię, a pestkę rzucić precz — do tego, to on zdolny. A jaki rad był, gdy poprosiłem go o darowanie mi ziemi w Tucholszczyźnie. — Idź, — rzekł mi — niech jeno tu ciebie nie widzę. Idź i użeraj się z tymi smerdami o nędzną miedzę, tylko tutaj nie powracaj! — No co, może jechać mam do niego, poskarżyć się na tucholan, poprosić o pomoc kniazia przeciwko nim?...

— Nie, ojczulku — rzekła Mirosława.

— Kniaziowa pomoc złego nie naprawi, a tylko pogorszy jeszcze.

— A widzisz — powiedział bojar, niewiele zważając na ostatnie słowa córki.

— No, a może mamy wrócić do Tuchli, do tych przeklętych chłopów, do tego diabła Berkuta, i dopraszać się u nich łaski, poddać się ich karze, zrzec się swego bojarstwa i błagać ich, aby przyjęli nas do swojej gromady jak równi równych i żyć z nimi tak jak oni, razem z owcami, wśród owsa i gnoju?

Postać Mirosławy przy tych słowach niepostrzeżenie, mimo woli prostowała się, a twarz jej rozpogadzała się.

— A jak myślisz, ojczulku, czy oni przyjęliby nas? — spytała żywo.

— Kto wie — odrzekł zgryźliwie bojar. — Chyba gdyby taka była łaska ich chamskich wielmożności i ich nadwielmożności, Zachara Berkuta!

— Ojczulku, a czemu byśmy tego nie spróbowali. Tυχolanie nie lubią nieprawdy; choć i zasądzi nas, to może według swojego prawa. A może... możeś i ty, ojcze, czymś tam... swoim ostrym postępowaniem przyczynił się do tego? A żeby tak z nimi łagodnie, po ludzku...

— Ach, a cóż to? — krzyknęła nagle Mirosława przerywając swoje poprzednie wywody. Staęli właśnie na szczycie góry i przed nimi, niby wyczarowana, rozciąęła się szeroka stryjska dolina, zalana morzem pożarów i ogni. Niebo żarzyło się krwawym blaskiem. Niby z piekła dochodziły z doliny dziwne głosy, rzenie koni, brzęk zbroi, okrzyki warty, gwar siedzących przy ogniskach czarnych, kosmatych ludzi, a hen, daleko, rozdzierające serce jęki mordowanych starców, kobiet i dzieci, związanych i więtych w jasyr mężczyzn, ryk bydła i łoskot budynków, które przepalone waliły się w dół, a potem ogromne fontanny iskier, niby roje złocistych owadów, wzbijały się pod niebo. W krwawym blasku płomieni widniały w dolinie nad rzeką długie, nieskończenie długie szeregi czworograniastych namiotów, oddzielone od siebie szerokimi odstępami.

Ludzie jak mrówki snuli się między namiotami i gromadzili się koło ognisk. Mirosława stanęła jak wryta na ten widok, nie mogąc od niego oderwać oczu. Nawet stary, ponury bojar nie mógł ruszyć się z miejsca, zatonawszy oczami w tym zgrozę przejmującym, krwawym morzu, łowiąc w nozdrza zapach gorzkiego dymu i krwi, wsłuchując się w zmieszany gwar, w krzyki, jęki i radosne odgłosy zwycięstwa. Nawet konie pod naszymi jeźdźcami poczęły drzeć na całym ciele, strzyc uszami i parskać, jakby bały się iść dalej.

— Ojcze, co to jest? — krzyknęła Mirosława.

— Nasi sojusznicy — odrzekł ponuro Tuhar Wilk.

— Ach, to pewno mongołowie, o których najściu lud mówił z taką trwogą?

— Tak, to oni!

— Niszczyciele ziemi ruskiej!

— Nasi sprzymierzeńcy przeciw tym przeklętym smerdom i ich gromadom.

— Ojczy, to nasza zguba! Jak nie stanie chłopów, to kto będzie żywił bojarów?

— Nie bój się, nie zrodziła się jeszcze taka burza, która by zdołała do cna zniszczyć to podłe nasienie!

— Ależ, ojczulku, mongołowie nie szczędzą ani dworu, ani chaty, ani pałacu kniazia! Sam nieraz opowiadałeś, jak podusili kniaziów pod deskami.

— Dobrze zrobili! Niechaj ich duszą, tych chytrych kruków. Ale nie zadusili jeszcze żadnego bojara. Raz jeszcze ci powtarzam — to nasi sprzymierzeńcy!

— Ależ, ojczulku, czy chciałbyś ty zawierać przymierze z tymi barbarzyńcami, napiętnowanymi krwią naszego ludu?

— Cóż mnie to obchodzi, kto oni i jacy oni? Ale oprócz nich nie mamy innego wyjścia. A niech to będą nawet i same złe duchy, byleby tylko mi pomogli!

Mirosława blada patrzyła zaleknionymi oczami na swego ojca. Krwawy odbłysek ognia, który oświecał całą okolicę, czynił twarz jego straszną i dziką i migotał na szyszaku oblewając twarz niby krwawym wieńcem.

Pozsiadali oboje z koni i stojąc na ostrym grzbiecie góry patrzyli na siebie.

— Jakiś ty straszny, ojczy — szepnęła Mirosława. — Nie poznaję ciebie!

— Mów śmiało, mów, córuchno! — rzekł z jakimś dzikim uśmiechem ojciec. — Ja wiem, co chciałaś powiedzieć! Chciałaś powiedzieć: nie mogę już dalej iść z tobą, porzucę ciebie, zdrajcę ojczyzny, a wrócę do swego ukochanego, do swego wiernego Berkuta... Powiedz, powiedz to otwarcie i porzuć mnie. A ja pójdę, dokąd prowadzi mnie mój los i do końca życia dbać będę o twoje dobro!

Zgryźliwy głos bojara stał się przy końcu jakiś miękki, drżący, wzruszony, tak że Mirosława wybuchła głośnym płaczem i rzuciła się ojcu na szyję, gorzko łkając.

— Och, ojczulku, — mówiła płacząc — jak ty ranisz

moje serce. Czymże tak ciężko zawiniłam wobec ciebie? Wiem przecież, że mnie kochasz! Ja... ja nie porzucę ciebie nigdy. Będę twoją służebnicą, twoją niewolnicą do ostatniego tchu, tylko nie chodź tam, nie wystawiaj swego uczciwego imienia na wieczną hańbę!

Łkając upadła ojcu do nóg, objęła rękami kolana, oblewała łzami jego ręce. Nie wytrzymał Tuhar Wilk, łzy spłynęły z jego starych oczu. Podniósł Mirosławę i mocno przycisnął do piersi.

— Córko moja, — rzekł łagodnie — nie skarż się na mnie. Niedola napełniła goryczą moje serce, gniewem zalała moje myśli. Ale ja wiem, że twoje serce — szczere złoto, że ty nie porzucisz mnie w dniach trwogi i walki. Wszak sami teraz jesteśmy na świecie, nie mamy do kogo się schronić ni od kogo oczekiwać pomocy, jak tylko od siebie samych. Nie mamy wyboru. Bierzemy pomoc tam, gdzie ją znajdziemy.

— Ojczulku, ojczulku! — mówiła z płaczem Mirosława. — Gniew na Tucholan zaślepił ciebie i pcha cię do zguby. Zgoda, jesteśmy nieszczęśliwi, czyż dlatego mamy być zdrajcami naszego kraju? Nie, lepiej zginąć z głodu pod płotem!

— Młodaś ty jeszcze, córko, gorąca, porywcza i nie wiesz, jak smakuje głód, jak smakuje nędza. Ja ich zaznałem i chcę cię od tego ustrzec. Nie sprzeciwiaj się. Chodź, jedźmy do celu! Co będzie, to będzie, losu swojego nie unikniemy.

Skoczył na konia i dźgnął go ostrogami. Daremnie Mirosława chciała go zatrzymać. Pognał w dół zboczem góry. Płacząc podążyła za nim. W swojej niewzruszonej, dziecięcej wierze wciąż jeszcze myślała, że zdoła uchronić ojca od zguby, od wiecznej hańby, od zdrady swego kraju. Nie wiedziała biedna nawet, jak głęboko ojciec jej ugrzązł w tym ohydny bagnie, tak że dla niego naprawdę nie było już innego wyjścia, jak wpadać głębiej, aż na dno.

Im dalej zjeżdżali w dolinę, tym gęściejszy mrok ich obejmował, tym mniej mogli zobaczyć, prócz migotania

ognisk i łun dalekich pożarów. Za to hałas i krzyk olbrzymiego tłumu stawał się coraz głośniejszy, ogłuszający. Dym wyjadał im oczy, zatrzymywał oddech w piersiach. Bojar zmierzał do pierwszego ogniska, które płonęło pośród pola. Była to mongolska straż. Zbliżając się ujrzeli pięciu ludzi w kozuchach wywróconych włosem do góry, w takichże włochatych, ostro zakończonych kołpakach, z łukami na plecach i z toporami w rękach.

Dopiero niedaleko straży Mirosława dopędziła ojca i szarpnęła go za rękaw.

— Ojczulku, zaklinam cię, wracajmy stąd.

— Dokąd?

— Jedźmy do Tuchli!

— Nie, już przepadło! Pojedziemy, ale nie z uniżoną prośbą. Pójdziemy w gości i rad bym ja zobaczyć, czy twoi Berkutowie ośmielą się wtedy nas wyganiać!

W tej chwili mongołowie usłyszeli głosy obcych ludzi i z dzikim krzykiem chwycili za łuki i otoczyli ich.

— Kto jedzie? — zawołali różnymi językami, to po naszymu, to po swojemu.

— Sługa wielkiego Dżingis-chana — rzekł po mongolsku Tuhar Wilk. Mongołowie stali wytrzeszczywszy na niego oczy.

— Ty skąd, co za jeden, za czym przychodzisz? — spytał jeden, widocznie naczelnik warty.

— Nie twoja rzecz — odpowiedział ostro w mongolskim języku bojar. — Kto prowadzi waszą ordę?

— Wnuki wielkiego Dżingis-chana: Peta bagadyr i Burunda bagadyr.

— Idźcie i powiedz im: „Kałka rzeka po błocie płynie i w Don wpada“. A my poczekamy koło ogniska na twój powrót.

Z niewolniczą czią rozstąpili się mongołowie przed nieznanym przyjezdnym, który mówił ich językiem, i do tego jeszcze takim pewnym głosem, jaki przywykli tylko słyszeć od swoich chanów i bagadyrów. W jednej chwili naczelnik warty zdał swoje miejsce drugiemu,

a sam dopadłszy konia pognął do taboru, oddalonego o jakie ćwierć mili od ogniska straży.

Tuhar Wilk i Mirosława zsiadli z koni, których kilku wartowników zaraz wzięło, oczyściło, napiło i pognęło na chłopskie, żytem zasiane łany. Przyjezdni goście przystąpili do ogniska grzejąc nad nim ręce zziębnięte od wiosennego, nocnego chłodu. Mirosława drżała na całym ciele jak w febrze, blada była i nie śmiała podnieść oczu na ojca. Teraz dopiero, usłyszawszy z ust ojca mongolską mowę i ujrawszy, z jakim szacunkiem mongołowie spełniali jego rozkazy, domyśliła się, że ojciec jej nie od dzisiaj zna się z tymi strasznymi niszczycielami rodzinnej ziemi, i że prawdziwą być musi wieść, jaką szeptano na dworze kniazia Danyła, jakoby to Tuhar Wilk w bitwie nad Kałką wydał Ruś mongołom zdradziwszy im zawczasu cały plan bitwy, ułożony przez ruskich kniaziów. Prawda, głosiły wieści, pewnych dowodów na to nie ma, inaczej przyszło by bojarowi głowę oddać pod topór. Bojar stał w bitwie w pierwszym szeregu i przy pierwszym zamieszaniu wzięty był do niewoli. Dziwne wydawało się jednak niektórym jego szybkie uwolnienie, bez okupu, choć bojar zaklinał się, że mongołowie wypuścili go szanując jego odwagę. Rzecz była niejasna, a to tylko było pewne, że na kniazim dworze zaczęli jakoś wszyscy stronić od Tuhara, a i sam książę nie dowierzał mu tak jak przedtem. Bojar odczuł w końcu tę zmianę i poprosił o darowanie ziemi w Tucholszczyźnie. Nie dopytując się, czemu bojar postanowił porzucić Halicz i dlaczego chce zakopać się w takiej lesistej pustyni, a do tego jeszcze z młodą córką — książę Danyło dał mu ziemię. Widoczne było, że chce się go pozbyć. I przy wyjeździe z Halicza chłodno jakoś żegnali się wszyscy z bojarem, długoletnim towarzyszem broni.

Wszystko to Mirosława przypomniała sobie teraz w jednej chwili i wszystko to, co przedtem dziwiło i gniewało ją, stało się teraz jasne jak na dłoni. Tak — więc wieści i szeptaki mówiły prawdę. Tak, więc od dawna, od

dziesięciu lat, ojciec jej był w porozumieniu z mongolami, był zdrajcą!

Jak przybita, jakby podcięta tą myślą pochyliła Mirosława swą śliczną główkę. Straszny ból szarpał jej serce — czuła, jak rwały się w nim jedna za drugą najsilniejsze i najświętsze nici — nici dziecięcej miłości i szacunku. Jakże samotną, jakże zupełną sierotą czuła się teraz na świecie, choć tuż obok niej siedział jej ojciec. Jak nieszczęśliwą czuła się teraz, choć ojciec niedawno jeszcze zapewniał ją, że wszystko to robi tylko dla jej szczęścia!

Lecz i bojar siedział teraz jakiś niewesoły, jego niezłomne serce napełniały widocznie ciężkie myśli. Nie wiadomo, o czym myślał, ale oczy jego śledziły niezmordowanie płomienie ogniska, patrzyły uważnie, jak dogorywały czerwone niby rozżarzone żelazo polana, jak trzaskały w ogniu, objęte płomieniem. Czy były to spokojne myśli człowieka, który doszedł do swego celu, czy może jakieś trwożne przeczucie przyszłości chłodną ręką chwyciło go za serce i położyło na jego ustach pieczęć milczenia? A jednak on, stary, rozważny człowiek unikał wzroku Mirosławy, patrzył i patrzył tylko w ognisko, na migocące iskry i spopielone polana.

— Córko! — rzekł w końcu z cicha, nie podnosząc na nią oczu.

— Czemuś ty wczoraj nie zabił mnie, ojcze? — zaszepotała Mirosława powstrzymując siłą łzy cisnące się do oczu. Głos jej, choć cichy, wionął na bojara lodowatym chłodem. Nie znalazł na to pytanie odpowiedzi i wpatrywał się w ognisko, póki nie przybiegł z taboru wartownik.

— Wnukowie wielkiego Dżingis-chana ślą swe powitanie nowemu druhowi i proszą na naradę wojenną do swego namiotu.

— Chodźmy! — rzekł krótko bojar i podniósł się z miejsca. Mirosława też powstała, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ale nie pora było teraz powracać. W jednej chwili mongolowie przywiedli im konie, wsadzili Mirosławę i okrążywszy ich powiedli do obozu. Mongolski tabor

rozłożony był w olbrzymim czworokącie i okopany głębokim rowem. W każdym boku czworokąta było dwanaście wejść obstawionych zbrojną wartą. Choć żaden nieprzyjaciel nie zagrażał taborowi, to jednak strzeżono go czujnie — taki już był wojenny obyczaj mongołów, w zupełnym przeciwieństwie do chrześcijańskich rycerzy, którzy nie dorównywali mongołom ani pod względem karności wojskowej, ani w taktyce i kierowaniu wielkimi masami.

Wartownicy przy wejściu do taboru dzikimi głosami przekrzyknęli się z wartownikami, którzy wiedli bojara z córką, a potem przejęli niezwykłych gości i poprowadzili ich do namiotu swoich naczelników. Choć bardzo przygnębiona była Mirosława swoim bólem i wstydem, co wypalał gorące rumieńce na jej dziewczęcej twarzy, to jednak miała ona zanadto śmiały charakter, zanadto była swobodnie i po rycersku wychowana, aby nie zaciekawić się rozkładem obozu i całym nowym, nieznanym otoczeniem. Byстрыm okiem ogarnęła prowadzących ich wartowników. Niscy, barczyści, poubierani w baranie kozuchy, przez które przewieszony był u każdego łuk i sajdak ze strzałami, wyglądali jak niedźwiedzie albo inne jakieś zwierzęta. Twarze bez zarostu, z wystającymi skroniami i kośćmi policzkowymi, z małymi i głęboko osadzonymi oczami, które ledwo że błyszczały spod ich wąskich, skośnie wyciętych powiek, z niewielkimi, przypłaszczonymi nosami, wyglądali jakoś dziwnie odrażająco, a żółtawa ich cera, która w odblasku ognisk przechodziła w jakiś zielonkawy odcień, czyniła ich jeszcze straszniejszymi i obrzydliwszymi. Z pochylonymi w dół głowami i z gardlaną, śpiewną mową podobni byli do wilków, które szukają kogoś do pożarcia.

Namioty ich, jak z bliska spostrzegła Mirosława, zrobione były z wojłoku rozpiętego na czterech żerdziach związanych razem w górze i nakryte z wierzchu dla ochrony przed deszczem wielkimi czapkami z końskiej skóry. Przed namiotami stały powbijane na żerdzie ludzkie głowy, krwawe, z zastygłym wyrazem bólu i rozpaczony na bla-

dych, posiniałych twarzach, dziwnie oświeconych światłem ognisk. Na ten widok zimny pot wystąpił na czoło Mirosławy. Bohaterska, śmiała dziewczyna nie dręczyła się myślą, że niedługo i jej głowa może sterczeć tak samo gdzieś przed namiotem jakiegoś mongolskiego bagadyra. Nie! Ona wolałaby teraz zgorzeć w płomieniach i tkwić jak krwawa zdobycz przed namiotem zwycięzcy, niż własnymi oczyma patrzeć na te głowy, z których każda niedawno jeszcze należała do żywego człowieka, myślała, pracowała i kochała — niż kroczyć wzdłuż tego straszego taboru na spełnienie nikczemnego, zdradzieckiego czynu.

— Nie, nie, — myślała — do tego nie dojdzie! Dalej już nie pójdę! Nie stanę się zdrajczynią swego kraju! Porzucę ojca, gdy nie uda mi się odwieść go od tego przeklętego zamiaru.

Tymczasem stanęli już przed namiotem naczelnika Pety, ulubieńca Batyja. Oprócz przypiętych na wierzchołku żerdzi z trzema buńczukami, namiot nie wyróżniał się z zewnątrz niczym od innych: za to w środku urządzony był daleko okazalej, na sposób azjatycki. Tylko że ani bojar, ani Mirosława nie wchodzili do środka namiotu, gdyż zastali naczelników mongolskich przed namiotem, koło ogniska, na którym niewolnicy piekli dwa barany. Ujrzawszy gości naczelnicy zerwali się na równe nogi i chwycili za zbroję, choć nie ruszyli się nawet z miejsca, aby ich przywitać.

Znając mongolski obyczaj bojar dał znak córce, aby cofnęła się w tył, a sam, zdjawszy z głowy szyszak i łuk z pleców, przystąpił do nich z pokłonem i stał milcząc, z wbitymi w ziemię oczyma, o trzy kroki przed głównym naczelnikiem Petą.

— Od którego króla przynosisz nam wieści? — spytał go Peta.

— Nie znam innego króla, prócz wielkiego Dżingis-chana, pana całego świata! — rzekł bojar. Była to zwyczajna formuła uległości. Wtedy Peta poważnie, lecz z radością uścisnął bojarowi rękę.

— Przychodzisz w porę, — rzekł Peta — oczekiwaliśmy naszego sojusznika.

— Ja znam swój obowiązek — odpowiedział Tuhar Wilk. — Przekroczyłem wasze prawo tylko pod jednym względem — przywiozłem z sobą córkę do taboru.

— Córkę? — rzekł zdziwiony Peta. — Czyż nie wiesz, że zwyczaj nasz zabrania kobiecie dostępu do zgromadzenia wojowników?

— Wiem, lecz cóż miałem z nią zrobić? Nie mam ani domu, ni rodziny, ni żony. Prócz mnie i wielkiego Dżingis-chana nie ma ona nijakiej opieki. Książ mój rad był pozbyć się mnie ze swego miasta, a te przekłete smerdy, moi niewolnicy, zbuntowali się przeciw mnie.

— Nie może ona jednak pozostać tutaj.

— Proszę wnuków wielkiego Dżingis-chana, pozwólcie jej pozostać tutaj dzisiejszą noc i jutrzejszy dzień, póki nie wynajdę dla niej bezpiecznego schronienia.

— Dla przyjaciół naszych jesteśmy gościnni — rzekł Peta i zwracając się do Mirosławy powiedział w łamanym ruskim języku:

— Zbliź się, dziewczyno!

Mirosława aż zadrżała usłyszawszy zwrócone do siebie słowa strasznego mongolskiego wodza. Pełnymi nienawiści i pogardy oczyma patrzyła na tego niszczyciela Rusi nie słuchając zupełnie jego słów.

— Zbliź się, Mirosławo! — rzekł jej ojciec. — Wielki wódz mongolskiego wojska jest dla nas łaskawy.

— Nie chcę jego łaski — odrzekła Mirosława.

— Zbliź się, rozkazuję ci — rzekł gniewnie bojar.

Mirosława niechętnie zbliżyła się.

Peta spojrzał na nią swymi małymi, błyszczącymi oczyma.

— Ładny dziewczyna! Szkoda, że nie zostać. Patrz, dziewczyna, na swój tat. Bądź wierni wielki Dżingis-chan. Wielka łaska będzie. Masz ty, dziewczyna, te koko z waszego kniaź Mścisław. Pokaż mongolski wojak, wszyscy przepuści, niczego złego nie robi. A teraz do namiotu!

Z tymi słowami Peta podał Mirosławie zdjęty ze swego palca wielki, złoty pierścień, zdobyty przez niego u kniazia Mścisława w bitwie nad Kałką. Na pierścieniu nasadzony był wielki, złocistozielony beryl z wyrzniętymi na nim figurami. Mirosława wahała się, czy przyjąć od wroga ten dar, może nawet zapłatę za zdradę ojca.

— Weź, córko, ten znak od wielkiego wnuka Dżingis-chana — rzekł bojar. — To znak wielkiej jego łaski dla ciebie, daje ci bezpieczne przejście w mongolskim taborze. Albowiem przyjdzie nam rozstać się, córko. Ich wojenny obyczaj zabrania kobietom przebywania w taborze. Lecz z tym pierścieniem możesz bezpiecznie przychodzić i wychodzić, kiedy tylko będziesz chciała.

Mirosława wahała się jeszcze. Nagle jednak błysnęła jej jakaś nowa szczęśliwa myśl — wzięła pierścień i odwracając się rzekła urywanym głosem:

— Dziękuję.

Potem Peta rozkazał odprowadzić ją do oddzielnego namiotu, który naprędce przygotowano dla jej ojca, a Tuhar Wilk pozostał sam z mongolskimi bagadyrami, aby odbyć radę wojenną.

Pierwszy zabrał głos Peta, główny wódz tego oddziału, człowieczek lat około czterdziestu, charakterystyczny typ mongola: niewielki, ruchliwy, z chytrze biegającymi, małymi jak u myszy oczkami.

— Siadaj, gościu — rzekł do bojara. — Kiedy ci mówimy, żeśmy cię oczekiwali, to niechaj to będzie najwyższą pochwałą twojej wierności dla wielkiego Dżingis-chana. Przyszedłeś jednak trochę za późno. Wojsko nasze czeka już trzeci dzień, a Dżingis-chan wyprawiając nas na zachód do kraju swoich niewolników, Arpadów, rozkazał nam nie zatrzymywać się nigdzie bez potrzeby dłużej niż trzy dni. Brat nasz, Kajdan bagadyr, który poszedł przez kraj Wołochów, będzie przed nami w kraju Arpadów, zdobędzie ich słoneczne miasta, a jakąż przyniesiemy sławę my z tego pochodu?

Bojar odrzekł na to:

— Zrozumiałem twoje słowa, wielki bagadyrze, i oto co na nie odpowiem: Wierny sługa wielkiego Dżingis-chana nie mógł przybyć szybciej do waszego taboru, bo wczoraj dopiero dowiedział się o waszym pochodzie, a dowiedziawszy się przybył natychmiast. Nie martw się z powodu postojów. Drogi nasze, choć nie szerokie, ale bezpieczne. Brama wiodąca do królestwa Arpadów stanie wam otworem, skoro tylko zapukacie do niej.

— Które drogi i w czyich rękach? — spytał krótko Peta.

— Jeden szlak dukielski, w górę, rzeką Sanem, a potem przez niską przełęcz górską. Szlak szeroki i wygodny, nieraz już wydeptany przez wojsko ruskie i węgierskie.

— Daleko stąd?

— Stąd do Przemyśla dwa dni drogi, a z Przemyśla do gór jeszcze dwa dni.

— Kto strzeże?

— Strzegą go bojarowie naszego kniazia i porobili na nim zasieki, lecz bojarowie służą niechętnie kniaziewi Danyłowi Romanowyczowi, niechętnie pilnują zasieków. Mała obietnica skłoni ich do przejścia na stronę wielkiego Dżingis-chana.

— Czemuż jednak nie widzieliśmy dotąd nikogo z nich w naszym taborze? — spytał Peta.

— Nie wymagaj tego od nich, wielki bagadyrze. Lud, wśród którego żyją i który wystawiać musi zbrojnych ludzi dla obrony tych zasieków, niechętnie znosi ich władzę nad sobą. Duch buntu i przekory żyje w tym ludzie. Serce jego tęskni za dawnym ładem, kiedy nie było ni kniazów, ni władzy, kiedy każda gromada żyła dla siebie, a przeciw wspólnemu wrogowi łączyli się wszyscy po dobrej woli i wybierali lub zrzucali swoją starszyznę. W tych oto górach żyje jeden starzec, którego przezwano mowcą, i ten właśnie rozdmuchuje płomień buntu w imię dawnego ładu. Lud patrzy na bojarów jak pastuchy na wilka i gdyby tylko zobaczył, że bojarowie skłaniają się otwarcie na stro-

nę wielkiego Dżingis-chana, zatłukłby ich kamieniami. Kiedy za zbliżeniem się waszej siły bojarowie poddadzą się wam i oddadzą wam zasieki, lud pierzchnie jak plewa od wiatru.

Peta słuchał uważnie przemowy bojara. Szyderstwo i wzgarda wykrzywiły jego cienkie wargi.

— Dziwne u was porządki, — rzekł — kniaź burzy się przeciw swoim sługom, sługi przeciw panu, kniaź i sługi przeciw ludowi, a lud przeciw wszelakiej władzy. Dziwne porządki! U nas, kiedy drobni watażkowie chcieli podnieść bunt przeciw wielkiemu Dżingis-chanowi, on zebrał ich do swego aułu i okrążywszy auł swymi wiernymi synami rozkazał postawić na ogniu siedemdziesiąt wielkich kotłów i nalać do nich wody, a kiedy woda zakipiała, to nie wdając się w rozpatrywanie niczyjej winy kazał do każdego kotła wrzucić po dwóch buntowników i gotować ich tak długo, póki ciało nie odeszło całkiem od kości. Wtedy rozkazał powyjmować same szkielety z kotłów, posadzić je na konie i odwieźć do podwładnych im plemion, aby te na przykładzie swoich watażków uczyły się posłuchu i pokory wobec wielkiego Dżingis-chana. Ot, jakby was trzeba nauczyć pokory. I my was nauczymy. Dziękujcie bogom, że zesłali nas do tego kraju, bo gdyby nie my, to wy byście pewno, jak te głodne wilki, pożarli jedni drugich.

Krew zawrzała w żyłach bojara przy tym opowiadaniu mongola, lecz nie odrzekł ni słówka.

— No, a jaki wasz drugi szlak? — pytał dalej Peta.

— Drugi, to szlak tucholski — odpowiedział bojar. — Choć węższy i nie tak równy, lecz za to bliższy i tak samo bezpieczny. Na tym szlaku nie ma zasieków ni kniaziowych bojarów. Pilnują go sami chłopci.

— Nie boimy się waszych chłopów! — rzekł z pogardą Peta.

— I nie ma czego się ich obawiać — podchwycił bojar. — Są przecież bez broni i nie rozumieją się na wojnie. Tym szlakiem mogę was sam poprowadzić.

— Ale może po arpadzkiej stronie szlaki te są mocno obwarowane?

— Tucholski jest całkiem otwarty. Dukielski zamknięty, ale nie tak mocno.

— A długa droga tucholskim szlakiem do kraju Arpadów?

— Dla uzbrojonych mężów dzień drogi do Tuchli. Przenocujecie w Tuchli, wraz ze świtem wyruszyście w drogę i na wieczór będziecie już na równinie.

— A dukielskim?

— Trzy dni drogi, jeśli wliczymy w to czas na zniszczenie zasieków.

— No, to wiedz nas tucholskim — rzekł Peta.

— Pozwól mi słowo rzec, wielki bagadyrze — rzekł jeden z mongolskich wodzów, mężczyzna olbrzymiego wzrostu i o herkulesowej budowie ciała, z ciemnooliwkową twarzą, odziany w skórę stepowego tygrysa, co wszystko razem aż nadto wyraźnie świadczyło o jego pochodzeniu z turkmeńskiego plemienia. Był to straszny, szaleńczo śmiały i krwiożerczy wojownik, Burunda-bagadyr, współzawodniczący w sławie z Kajdanem. Mongolskie oddziały prowadzone przez niego zostawiały po sobie najstraszniejsze zniszczenie, największą ilość trupów, najszerszą rzekę pożarów.

Przewyższał on nieskończenie Petę swoją odwagą; przed jego namiotem każdego wieczora było dwa razy więcej świeżych głów niż przed namiotem któregokolwiek innego wojownika. Peta nie zazdrościł mu wszakże tej odwagi czując nadto dobrze swoją przewagę nad Burundą w sztuce prowadzenia wielkich bitew i pochodów i kierowania wielkimi masami. Chętnie puszczał Burundę na najniebezpieczniejsze miejsca, trzymał go w rezerwie na najcięższą, decydującą chwilę, jak niezwalczony żelazny taran, a wtedy puszczał go z oddziałem „krwawych turkmenów“, aby zapewnić sobie ostateczne zwycięstwo.

— Mów, bracie Burundo! — rzekł Peta.

— Pozwól mi z dziesięcioletnim oddziałem iść szlakiem tucholskim, a ty sam kieruj się na dukielski. Przeszedłszy na arpadzką stronę uderzę od razu na tych, którzy strzegą dukielskiego szlaku, i utworzę ci drogę.

Peta spojrział z podziwem na Burundę, jak gdyby pierwszy raz wyrwało się temu rębajle z ust takie rozsądne słowo. I rzeczywiście, plan Burundy choć i śmiały, był za to bardzo rozumny, a Burunda był jedynym śmiałością, zdolnym do wykonania tego planu.

— Dobrze — rzekł Peta. — Niech będzie tak jak chcesz. Wybieraj sobie wojaków i ruszaj z nimi zaraz jutro.

— Dozwólcie i mnie jeszcze słowo rzec, wielki bagadyrze — rzekł Tuhar Wilk.

— Mów — odpowiedział Peta.

— Kiedy wolą waszą jest posłać część swojej siły tucholskim szlakiem, — a całej nie radziłbym posyłać z powodu wąskość szlaku — to pozwólcie mi iść naprzód z niewielkim oddziałem i zająć wejście do tego szlaku, zanim jeszcze tucholskie smerdy dowiedzą się o waszym przyjsciu i zawałają go zasiekami.

— Dobrze, idź! — rzekł Peta. — Kiedy chcesz wyruszyć?

— Zaraz, abym już jutro w południe ukończył swoje dzieło.

— Kiedy tak, to niechaj będzie koniec naszej radzie i niechaj bogowie sprzyjają naszemu orężowi! — rzekł Peta wstając z miejsca. Powstali i inni wodzowie. Tuhar Wilk prosił Petę, aby wyznaczył dla niego oddział śmiałych mężów, sam zaś poszedł do namiotu pokrzepić się i pożegnać się z córką.

W ciemnym namiocie, na łóżku pokrytym miękkimi, zrabowanymi pierzynami, siedziała Mirosława i gorzko płakała. Po wszystkich strasznych i niespodziewanych wrażeniach tego wieczoru dopiero teraz miała czas zebrać myśli, rozważyć dobrze swoje obecne położenie, w jakie wciągnął ją ojciec. Położenie to było rzeczywiście stra-

szne, zdawało się nawet — bez wyjścia. Ojciec jej — zdrajcą, mongolskim sługą; ona — w mongolskim taborze, na pół gość, na pół branka, a czy tak, czy inaczej — zupełna sierota. Bo nawet ostatnia jej podpora — niezachwiana wiara w swój proroczy sen, w błogosławieństwo matki i w swoje szczęście miłosne z Maksymem — i ta wiara teraz, po chłodnej rozwadze, zaczęła chwiać się krwawiąc jej serce. Bo z jakim obliczem stanie ona teraz przed Maksymem? Jakimi słowami opowie mu o swoim dobrowolnym czy niedobrowolnym pobycie w mongolskim taborze? Niby żmije kąsały jej serce te pytania i dała upust łzom, i płakała, jakby żegnała się z swoim życiem.

Ojciec cichymi, trwożnymi krokami przystąpił do niej, położył rękę na jej ramieniu — lecz ona nie podniosła głowy, nie poruszyła się, nie przestawała płakać.

— Córko Mirosławo, — rzekł — nie płacz! Uspokój się, wszystko jeszcze będzie dobrze.

Mirosława, jakby nic nie słysząc, siedziała nieruchomo, chłodna, obojętna.

— Zapomnij o tym smerdzie! Czeka cię piękna przyszłość, a on... Cóż on? Jutro w południe padnie trupem od mego miecza.

— Kto? — krzyknęła Mirosława rozdzierającym serce głosem.

Bojar zląkł się tego głosu i odstąpił od córki, która zerwała się z miejsca.

— Kto padnie trupem? — powtórzyła. — On, Maksym? Ty kierujesz napadem na Tuchlę?

— Ależ nie, nie — odzęgnywał się bojar. — Któż ci to powiedział?

— Sameś powiedział! — nastawała na niego Mirosława. — Ojczy, powiedz mi prawdę, co zamierzasz? Nie bój się o mnie! Sama teraz dobrze widzę, że nie mogę należeć do Maksyma, i to z twojej winy! O, tyś rozumny, tyś chytry! Tyś postawił na swoim. Nie dlatego nie mogę być żoną Maksyma, żeś wyższa od niego rodem,

o nie! Jam niższa od niego, czuję się bezmiernie niższa od niego, bo on ma czystą, zacną duszę, a ja jestem córką zdrajcy, a może i sama zdrajczynią! Tak, ojcie, tyś bardzo chytry, takiś chytry, żeś aż samego siebie przechytrzył! Mówisz, że pragniesz mojego szczęścia, a tyś zabił moje szczęście. Ale niechaj i tak będzie. Jaka ze mnie korzyść? Tylko powiedz, co zamýślasz przeciwko niemu?

— Ależ nic, naprawdę nic! On może teraz daleko już w górach.

— Nie, nie, nie, nie wierzę ci! Powiedz, cóście tam uradzili z mongołami?

— Mówili o tym, którędy iść na Węgry.

— I ty chcesz im wydać tucholski szlak, aby pomścić się na tucholanach!

— Głupia dziewczyno, po cóż mi mścić się na nich. Za mali oni dla mojej zemsty. Chcę tylko przeprowadzić mongołów na Węgry, bo im szybciej pójdą z naszego kraju, tym mniej porobią tutaj zniszczenia.

— O, pewnie, pewnie! — krzyknęła Mirosława. — Ale wracając zniszczą do cna, co teraz pozostawią całe! I ty wiedziesz ich na Tuchlę, teraz, zaraz?

— Nie, nie na Tuchlę. Ja wiodę tylko jeden mały oddział, aby obsadzić wejście do Tuchli.

— Kto ma bramę, ten ma i dom! Teraz już rozumiem! Sameś rzekł niedawno, tam na górze, że jutro Maksym razem z tucholskimi młodzieńcami ma zwalić nasz dom. A ty chcesz z mongołami napaść na niego, zabić go...

Bojar wpatrywał się w nią zdziwionymi oczyma. Począł się obawiać, czy nie jest ona wiedźmą, bo tak bardzo bystro zgadywała, na czym rzecz cała polega.

— Córkó, zapomnij o nim! — rzekł. — Jaki komu los przeznaczony, taki i będzie.

— Nie, ojcie, ty mnie nie zwiedziesz! Jadę, jadę do Tuchli, ostrzegę go, uratuję go od twojej zasadzki. A kiedy w nią wpadnie, to stanę obok niego i będę bro-

niła się razem z nim do ostatniej kropli krwi przeciw tobie, ojczyźnie, i twoim podłym sojusznikom.

— Dziewczyno, tyś szalona! — krzyknął bojar. — Uważaj, nie doprowadzaj mnie do gniewu! To chwila decydująca.

— Cóż mnie obchodzi twój gniew! — odrzekła chłodno Mirosława. — I cóż ty mi możesz gorszego jeszcze zrobić nad to, coś zrobił dotąd? Gdy mnie zabijesz, to będzie to tylko dobrodziejstwem, bo i tak nie chcę żyć na tym świecie. Puść mnie!

— Nie, pozostań tu, nierozumna!

— Tak, pozostań tutaj, póki ty spokojnie nie zamordujesz tego, kto droższy mi jest nad życie własne! O, nie, ja nie pozostanę!

— Pozostaniesz! Przysięgam ci, że nie podniosę na niego swojej ręki!

— O, ja wiem, ja wiem, co to znaczy! — krzyknęła Mirosława. — No, rozumie się, tyś bojar, gdzieżbyś podnosił rękę na smerda. Ale swoim dzikim towarzyszom rozkażesz skierować w jego piersi wszystkie zatrute strzały!

— Nie! Kiedy już tak litujesz się nad nim, to raz jeszcze przysięgam ci, że ani ja, ani nikt z mojej drużyny nie tknie go, choćby nie wiem jak napadał na nas. Niech ci to wystarczy!

Mirosława stała szarpana straszną, serdeczną trwogą i nie mogła rzec nic więcej. Czyż wiedziała, że to wystarczy, czy nie? O, jak chętnie byłaby poleciała ptakiem do niego, przestrzegła go szczerym szczebiotem. Ale to było niemożliwe. Ojciec jej wziął z sobą oręż i wychodząc z namiotu rzekł:

— Córko, raz jeszcze ci mówię i zaklinam cię: pozostań w obozie, póki nie wrócę, a wtedy rób sobie jak zechcesz. A teraz żegnaj.

Wyszedł i zasłona z wołoku, która zastępowała drzwi, niespokojnie zachybotwała się za nim. Z załamanymi rękami, jak obraz najcięższej niedoli i najstrasz-

niejszej trwogi, stała Mirosława pośrodku namiotu, niema, przechylona w przód, z otwartymi ustami, łowiąc uchem ostatni stuk końskich kopyt, który głucho i zamierał, w miarę tego jak oddalał się na południe oddział mongołów prowadzony przez jej ojca na zgubę Tucholszczyzny.

## V.

Z ciężkim sercem szedł Maksym Berkut wśród niewielkiej grupki tucholskich młodzieńców, celem spełnienia woli gromady. Od małego wyrósł w głębokim poczuciu swojej jedności z gromadą i świętości gromadzkiej woli, toteż i teraz, kiedy całkiem nie w porę dla jego serca padł na niego zaszczytny wybór gromady, aby przegnać z gromadzkiej ziemi jej wroga, jakiego upatrywali Tucholanie w bojarze, i teraz nie śmiał wymawiać się od tego polecenia. I szedł, choć serce jego rwało się i krajało na samą myśl, że będzie musiał spotkać się z Mirosławą i jej ojcem jak z wrogami, że będzie może zmuszony walczyć z bojarskimi łucznikami albo i z samym bojarem, przelewać krew ludzką w oczach tej, za którą gotów był sam krew swoją przelać. Prawda, powziął niezłomne postanowienie wykonać swój obowiązek możliwie najspokojniej i nie doprowadzać do przelewu krwi, lecz któż mógł mu zaręczyć, iż bojar znając jego słabą stronę nie będzie sam szukać zaczepki? Mogło się to stać łatwiej niż cokolwiek innego.

— Ale nie, — myślał Maksym — kiedy zażąda mojej krwi, ja nie będę się bronił, nadstawię mu piersi dobrowolnie, niech bije! Nie chce mi dać życia, to niech mi da śmierć! Żegnaj, moja Tucholszczyzno! Żegnaj, ojczyzno moja, błękitny sokole! Żegnajcie, moi bracia i towarzysze! Nie ujrzyście już Maksyma, a usłyszawszy o mojej śmierci zasmucicie się i powiecie: zginął dla dobra gromady! Lecz wy nie będziecie wiedzieć, że ja sam pragnąłem i szukałem śmierci!

Tak myślał Maksym zbliżając się do zabudowań bojarskich na wzgórzu nad Oporem. Dom bojara zbudowany był z grubych jodeł, obciosanych gładko z czterech stron i wygładzonych heblem na spojeniach, tak jak jeszcze teraz buduje się nasze wiejskie chaty. Pokryty był grubymi dranicami, powleczonymi z wierzchu grubą warstwą czerwonej gliny, nie rozpuszczającej się w wodzie. Okna, jak i we wszystkich chatach, zwrócone były na południe, zamiast szyb ponapinane były na ramy wolowe pęcherze, które przepuszczały do środka słabe, żółtawe światło. Drzwi wchodowe z przodu i z tyłu wiodły do przestrzennych sieni, których ściany obwieszane były wszelkiego rodzaju zbroją, jelenimi i żubrowymi rogami, skórami dzików, wilków i niedźwiedzi. Z sieni po obu stronach wiodły drzwi do wysokich, dużych komnat z glinianymi piecami bez kominów i z drewnianymi, pięknie rzeźbionymi półkami na wszelakie naczynie. Jedna świetlica przeznaczona była dla bojara, a druga, po drugiej stronie sieni — dla jego córki. Z tyłu pobudowane były dwie szerokie komory: w jednej znajdowała się kuchnia, w drugiej — izba czeladna. W świetlicy bojara ściany obwieszane były skórami niedźwiedzi, nad łóżkiem tylko wisiał drogi, zamorski kilim, zdobyty przez bojara w jakiejś wyprawie. Tam też wisiały jego łuki, miecze i inny podręczny oręż.

Świetlica Mirosławy była, prócz miękkich skór na ścianach i podłodze, przystrojona w kwiaty; na ścianie naprzeciw okien, tuż nad jej łóżkiem, wisiało drogie, metalowe zwierciadło, a obok niego drewniany, srebrem okuty, czterostrunny teorban, ulubiony powiernik marzeń i dziewczęcych myśli Mirosławy. Niedaleko domu, w niewielkiej dolinie, stały stajnie, stodoły i inne gospodarskie budynki; tam też była niewielka chata dla pastery. Pusto i głucho było dziś w obszernym domu bojara. Bojara i Mirosławy nie ma w domu, sługi bojar poodpraśniał, bydło kazał przegnać do trzody sąsiedniego koczynskiego osadnika.

Pozostali tylko łucznicy i topornicy, a ci jakoś nieweseli, nie gwarzą, nie żartują, nie śpiewają pieśni.

Być może, czeka ich jakieś ważniejsze zadanie, bo biorą łuki i strzały, topory i spisy, i wszystko to robią w milczeniu, ze smutkiem, jakby się gotowali na śmierć. Cóż to może znaczyć?

Ale oto jeden, który stał pośród drogi jak na warcie, dał znak trąbą i wszyscy drużynnicy stanęli przed bojarskim domem, podniósłszy spisy i napiąwszy łuki — jakby gotując się do bitwy.

Drogą nadszedł tymczasem tucholski oddział i zobaczywszy zbrojnych ludzi przed domem bojara począł również gotować się do boju. Trwożnie spojrział Maksym na uzbrojonych ludzi, czy nie ma między nimi bojara. Ale nie było go na szczęście. Maksym odetchnął swobodnie, jakby góra zwała mu się z piersi i śmieiej począł porządkować swój oddział. Zabrało to niewiele czasu i tucholanie zbliżyli się do bojarskich łuczników w milczeniu, ustawieni w szeregi z napiętymi łukami, z błyszczącymi toporami i spisami. Zatrzymali się nie dalej od siebie, jak o pięćdziesiąt kroków.

— Bojarze Tuharze Wilku! — krzyknął głośno Maksym.

— Nie ma bojara Tuhara Wilka — odpowiedzieli drużynnicy.

— Słuchajcie wobec tego wy, jego powiernicy, co powiem wam w imieniu tucholskiej gromady! Posłała nas gromada, aby wygnać was wolą czy niewolą z ziem tucholskich na mocy wyroku gromadzkiego. Pytamy was, czy ustąpicie dobrowolnie, czy nie?

Drużynnicy milczeli.

— Pytamy po raz drugi! — rzekł Maksym. Drużynnicy milczeli nie opuszczając łuków. — Pytamy po raz trzeci! — rzekł podnosząc głos Maksym.

Drużynnicy milczeli, stojąc jednak nieruchomo w swojej nieprzyjaznej postawie. Dziwił się Maksym, co to ma znaczyć, ale, nie wahając się dłużej, rozkazał swoim to-

warzyszom wypuścić strzały na drużynników. Strzały zaświstały jak żmije i przeleciawszy ponad głowami drużynników wbiły się w ścianę. W tej chwili, jakby na dany znak, rzucili drużynnicy broń na ziemię i z rozłożonymi rękoma postąpili ku tucholskim młodzieńcom.

— Towarzysze, bracia! — rzekli. — Nie gniewajcie się na nas za nasze milczenie. Daliśmy słowo bojarowi, że spotkamy was wrogo, ale nie daliśmy mu słowa, że przelewać będziemy naszą krew, i to przelewać ją za nieprawdę.

Myśmy byli na sądzie gromadzkim i wiemy, że bojar skrzywdził gromadę i że gromadzki sąd jest sprawiedliwy. Róbcie, co wam nakazano, a kiedy ojcowie wasi będą dla nas łaskawi, poprosimy ich, aby przyjęli nas do swojej gromady. Nie chcemy dalej służyć bojarowi!

Radość Tucholan, w szczególności zaś Maksyma, gdy usłyszeli te słowa, była bezmierna. Rzucili w mgnieniu oka całą broń na kupę przed bojarskim domem i wśród głośnych radosnych okrzyków obejmowali i całowali swoich nowych i niespodziewanych towarzyszy, z którymi jeszcze przed chwilą stoczyć mieli krwawy bój. Maksym najwięcej był rad z tego, że nie sprawdziła się jego obawa, że nie wypadło mu na oczach Mirosławy walczyć z jej ojcem, wypędzać na nieznane drogi tę, z którą rad był nie rozstawać się nigdy.

Radość z pokojowego załatwienia tej niemiłej sprawy przygłuszyła w nim na chwilę wszelką niepewność. W towarzystwie wesołych bojarskich drużynników weszli tucholanie do bojarskiego domu oglądając wszystko z zaciekawieniem, ale niczego nie ruszając. Z biciem serca zbliżał się Maksym do świetlicy Mirosławy spodziewając się, że zobaczy ją tutaj we łzach albo w gniewie, chcąc ją pocieszyć i uspokoić szczerym słowem.

Ale w świetlicy nie było Mirosławy i to zaniepokoiło Maksyma. Gdzież ona? — pytał się siebie i zaraz wpadło mu na myśl zapytać o to drużynników, którzy tymczasem krzatali się przygotowując z wielkiej uciechy bra-

terską ucztę dla swoich tucholskich gości. Ale odpowiedź drużynników na jego pytanie zupełnie nie zadowoliła i nie uspokoiła Maksyma. Bojar wczoraj rano wyjechał z córką, ale po co? dokąd? kiedy wróci? — nie wiadomo. Rozkazał im wystąpić wrogo wobec tucholan, lecz czy to ujrzawszy ich ponure, niechętne twarze, czy może po-wziąwszy jakiś cichy zamiar, urwał rozmowę i wyjechał. Ot i wszystko, czego dowiedział się Maksym od nowych sprzymierzeńców. Rzecz jasna, że takie wiadomości musiały zmącić jego czystą radość, ba, nawet rzucić cień jakiegoś podejrzenia na drużynników. Czy nie kryje się w tym jakaś zdrada? Czy nie zamyśla bojar złowić ich w jakąś zasadzkę? Ale nie chcąc głośno wypowiadać swego podejrzenia wobec wszystkich, szepnął Maksym tylko niektórym ze swoich towarzyszy, aby mieli się na baczności, a sam począł pilnie i uważnie przeglądać cały dom od góry do dołu, nie omijając ani skrytki, ani jednego zakamarka. Nigdzie nie było nic podejrzanego.

— Piękna budowa! — rzekł Maksym do drużynników, którzy zastawiali stoły. — Ale cóż, musimy ją rozebrać. Wiadoma rzecz, że nie będziemy jej ni walić, ni palić, ale złożymy wszystko w porządku, aby bojar mógł zabrać sobie to wszystko w razie potrzeby. I cały jego majątek musi mu być przechowany w całości. Tymczasem drużynnicy powynosili ze świetlic wielkie dębowe stoły, przykryli je białym obrusem i zastawili wszelaką strawą i miodem. Pośród radosnych okrzyków i śpiewów rozpoczęła się uczta. Lecz im dłużej siedzieli młodzieńcy za stołem, im dłużej jedli i pili, tym szybciej znikła jakoś ich radość i wesołość. I choć miód pienił się w toczonych drewnianych kubkach, choć mięso pieczone na roznach dymiło się na drewnianych talerzach, choć szczere, koleżeńskie słowa dźwięczały z jednego końca stołu na drugi, to jednak wszystkie serca drgały jakoś tajemnie, jakby oczekując jakiejś strasznej wieści. Dziwna, niezbadana, a przez wszystkich odczuwana trwoga wisiała w powietrzu. Czy ściany bojarskiego domu dusiły wolnych obywa-

teli ? Oto wstał jeden z bojarskich drużynników i podnosząc w górę kubek pełen pianistego miodu począł mówić:

— Bracia, radosny dzień nastał dla nas i oby żadne nieszczęście...

Nie skończył jednak. Raptem pobladł i zadrżał na całym ciele. Wszyscy biesiadnicy nagle pozrywali się wyskakując kto mógł którądy, przewracając stół ze wszystkimi kubkami i potrawami.

— Cóż to, cóż to ? — krzyknęli wszyscy naraz i rzucili się do drzwi. Choć znak był na pozór bardzo drobny i mało znaczący — głuchy tętent kopyt końskich — to przecież jakież bezmierny popłoch powstał w bojarskim domu.

Przez jedną chwilę panowało w sieniach istne piekło; ten biegł w jedną stronę, ów w drugą, jeden szukał tego, drugi tamtego, a wszyscy mieszały się i tłoczyli bezładnie, deptając po kubkach i po potrawach, po białym obrusie i po przewróconym dębowym stole. Maksym pierwszy wyrwał się na dwór z tego zamieszania; raz tylko rzuciwszy okiem dokoła, pojął cały ogrom niebezpieczeństwa.

— Do broni, bracia, do broni! Mongołowie! Mongołowie!

Krzyk ten zabrzmiał jak nagłe uderzenie piorunu.

Wszyscy stali jak martwi; bezładne zamieszanie przemieniło się w równie bezładne osłupienie. Trwało to jednak tylko chwilę. Stukot końskich kopyt rozlegał się coraz to bliżej i bliżej, a nieuniknione niebezpieczeństwo obudziło z odrętwienia wszystkich naraz. Przecież wszyscy byli odważni, silni, młodzi! Przecież każdy z nich nieraz w swoich dziecięcych i młodzieńczych snach widział siebie w bitwie, w niebezpieczeństwie, w krwawej walce z wrogiem, i pragnął tego, i modlił się, aby sen stał się jawą, aby przyszło mu kiedyś stanąć pierś w pierś w obronie swego kraju. I oto ta chwila nadeszła! I oni mieli się lękać?

Na chwilę tylko ogłuszyła ich straszna wieść, straszna nazwa — „mongołowie“, ale po chwili byli już takimi

jak zawsze — każdy trzymał już w rękach swój oręż, stał w szeregu razem z innymi, gotowy do krwawego boju.

— Najważniejsza rzecz, towarzysze, trzymać się tych ścian. Póki wróg nie wyprze nas z tego domu i nie okrąży na otwartym polu, póty nie mamy się czego obawiać. Dom ten — to nasza twierdza! I Maksym rozstawiał łuczników koło okien, koło drzwi po dwóch, po trzech, zależnie od ważności i dostępności miejsca. Niektórzy pozostali wewnątrz domu, aby z bojarskiego składu donosić łucznikom strzały i rohatyny, główna siła stać miała przy bramie wchodowej, aby w razie potrzeby przełamać szeregi napastników i odrzucić ich od domu.

Tymczasem zaś mongołowie zatrzymali się na równinie nad Oporem, poschodzili z koni i rozdzieliwszy się na trzy oddziały ruszyli trzema ścieżkami pod wzgórze. Widocznie prowadził ich ktoś dobrze obznajomiony ze ścieżkami i przejściami, bo cały ten manewr odbył się szybko, bez wahania się, bez dłuższego postoju. Manewr ten jasno wskazywał, że mongołowie chcieli obejść i otoczyć dom od razu ze wszystkich stron.

Ale kto to kroczy tak zawzięcie na czele środkowego, głównego oddziału mongołów? Patrzą towarzysze i nie dają wiary swym oczom. Toż to nikt inny, jeno sam gospodarz tego domu, dumny bojar Tuhar Wilk.

— Nasz bojar, nasz bojar! — krzyknęli niektórzy drużynnicy, których Maksym, nie dowierzając ich szcerości, postawił w szeregu razem z tucholanami.

— Tak, wasz bojar, mongolski sługa, zdrajca swojej ojczyzny! Może i teraz jeszcze zechcecie mu dotrzymać wierności?

— Nie, nie! — krzyknęli jednogłośnie drużynnicy. — Śmierć zdrajcy! Rozbijemy wrażą watahę albo poginiemy sami w obronie swego kraju.

Maksym ucieszony tym oświadczeniem rzekł: — Przebaczcie, bracia! Przez chwilę sądziłem was niesprawiedliwie, myśląc, że jesteście w zмовie z swoim bojarem. Ale teraz widzę, że wyrzodziłem wam krzywdę

tym posadzeniem. Trzymajmy się razem blisko sieni, tak aby nie mogli nas okrążyć, i starajmy się zadawać im jak najwięcej strat. Mongołowie, jak słyszałem, nie umieją dobrze prowadzić oblężenia, a do tego jeszcze w tak niewielkiej sile. Może uda się nam odeprzeć ich napad.

Biedny Maksym! Starał się wpoić w innych tę nadzieję, którą sam stracił od pierwszej chwili, gdy tylko ujrzał mongołów, a tym bardziej jeszcze teraz, kiedy przeważająca ich siła rozwinęła się w całej okazałości przed oczyma oblężonych. Mimo to jednak słowa jego znalazły żywy oddźwięk wśród towarzyszy, którzy już nieraz mieli sposobność przekonania się o jego przytomności umysłu i zimnej krwi podczas największego niebezpieczeństwa. Polegając ślepo na jego słowach i rozkazach każdy dbał tylko o to, aby bronić swego miejsca jak długo się da, wiedząc dobrze, że i sąsiednie miejsce będzie równie dobrze strzeżone. Oto już mongołowie obstąpili szerokim kołem w trzech szeregach bojarski dom i trzymali już na swoich łukach strzały z kamiennymi grota-  
mi, wymierzone przeciw dzielnym obrońcom. Lecz naczelnik ich nie dawał jeszcze znaku do boju. Dowódca chciał, jak się zdawało, próbować naprzód perswazji, bo oto wystąpił z szeregów na wprost głównego oddziału oblężonych i rzekł:

— Niewierni niewolnicy! Podłe smerdy! Czyliż zu-  
chwałość wasza jest tak bezmierna jak i wasza głupota, że chcielibyście podnieść broń na wojsko wielkiego Dżingis-chana, dziś bezsprzecznie pana całej Rusi? Poddajcie mu się bez walki, a wówczas zlituje się nad wami. Ale ci, którzy zechcą opierać się jego sile, zostaną bezlitośnie zmiżdżeni jak robaki pod kołami wozu.

Głośno i śmiało odpowiedział na taką przemowę Maksym:

— Bojarze! Bardzo nie w porę nazwałeś nas, synów wolnej gromady, niewolnikami! Spójrz na siebie! Może ta nazwa bardziej stosuje się do ciebie, jak do nas. Przecież do wczoraj jeszcze byłeś niewolnikiem kniazia, a

dziś jesteś już rabem Dżingis-chana i pewno polizales mleko rozlane na siodle konia któregoś z jego bagadyrów. Jeżeli tobie ono smakowało, to jeszcze nie dowodzi, że i my się na nie zlakomimy. Nie boimy się wielkiej potęgi wielkiego Dżingis-chana, może nas ona położyć trupem, ale nie robi z nas niewolników. A ciebie, bojarze, cała potęga wielkiego Dżingis-chana nie uczyni już ani wolnym, ani uczciwym człowiekiem.

Ostra i surowa była mowa Maksyma. Kiedy indziej zważałyby na to, że stoi przed nim ojciec Mirosławy, lecz teraz widział tylko wroga — nie, zdrajcę, człowieka, który sam podeptał swój honor i któremu nie należy się za to żaden szacunek.

Głośno radowali się towarzysze słysząc taką przemowę Maksyma.

Bojar aż pienił się ze złości.

— Podły chłopie! — krzyczał. — Poczekaj jeszcze, ja ci pokażę, żeś za wcześnie pochwalił się swoją wolnością. Dzisiaj jeszcze zabrzęczą kajdany na twoich rękach i nogach. Dzisiaj jeszcze tarzać się będziesz w prochu przed naczelnikiem mongolskiego wojska.

— Raczej zginąć! — odpowiedział Maksym.

— A właśnie, że nie zginiesz! — krzyknął bojar. — Hej, dzieci, — odezwał się do mongołów w ich mowie — dalej na nich! Tylko omijajcie tego oto, musimy go mieć żywego w rękach.

I dał znak do boju. I zabrzmiał po lasach i górach chrapliwy dźwięk rogów, i urwał się nagle. Ściszyło się dokoła bojarskiego domu, ale była to straszna cisza.

Zasyczały jak żmije mongolskie strzały sypiąc się gradem na osiedle bojara. Napastnicy byli co prawda zbyt oddaleni, aby strzały ich mogły dosięgnąć obrońców, gdyby ich jednak trafiły, mogłyby ich niebezpiecznie zranić. Toteż Maksym krzyknął do swoich towarzyszy, aby teraz jeszcze nie strzelali i aby w ogóle oszczędzali strzał i oręża, a używali ich tylko wtedy, kiedy można będzie dobrze trafić wroga i jednym atakiem przysporzyć mu znacznych strat.

Aby zaś nie od razu dopuścić napastników do ścian domu, Maksym z wybranymi przez siebie towarzyszami stanął na podwórzu, o jakieś dwadzieścia kroków przed wejściem, za mocnym ogrodzeniem z desek, które stanowiło część niezabudowanego parkanu. Parkan wznosił się akurat na wysokość człowieka i strzały mongolskie nie dosięgały tuchołan. Za to ich celne choć rzadkie pociski śmiertelnie raniły Mongołów i wstrzymywały ich od zbytniego zbliżenia się.

Tuhar Wilk zapalał straszliwym gniewem, skoro to ujrzął.

— Uderzyć na nich! — krzyknął i zbita gromada Mongołów pod jego przewodem z głośnym krzykiem rzuciła się biegiem w stronę ogrodzenia. Za ogrodzeniem panowała cisza, jakby tam wymarło wszystko. Już, już dobiegają Mongołowie, naporem swoim oblegają już parkan, gdy wtem ponad ogrodzeniem ukazał się jakby wyrosły z ziemi szereg głów i potężnych ramion — świsnęła chmura stalowych strzał i ugodzeni Mongołowie ryknęli z bólu strasznymi głosami. Połowa ich upadła jak podcięta, druga połowa zaś cofnęła się nie zważając na krzyki i przekleństwa bojara.

— Hurra, młodzieńcy! Hurra, Maksym! Hurra, Tuchołszczyzna! — zawołali obrońcy i w serca ich wstąpiła odwaga.

Ale bojar nie posiadając się ze złości zbierał już drugą gromadę do napadu. Pouczał Mongołów, jak trzeba nacierać i nie rozsypywać się za pierwszym uderzeniem przeciwnika, lecz biec po trupach dalej! Tymczasem Maksym pouczał również swoich towarzyszy, co mają czynić — i oto czekali z gotową bronią na atak Mongołów.

— Dalej na nich! — krzyknął bojar i Mongołowie wypuścili wpraw na przeciwników grad strzał, potem zaś runęli po raz drugi do ataku na ogrodzenie. Tuchołanie przyjęli ich także i tym razem przed zbliżeniem

się celnymi strzałami i znów część napastników ze strasznym krzykiem runęła na ziemię. Reszta ich jednak nie rzuciła się już do ucieczki, lecz z ogłuszającym okrzykiem leciała dalej i dobiegła do ogrodzenia. Chwila była straszna. Cienki płot z desek oddzielał od siebie śmiertelnych wrogów, którzy, choć znajdowali się tak blisko siebie, nie mogli siebie dosięgnąć.

Przez chwilę milczeli jedni i drudzy, słychać było tylko szybki gorący oddech po obu stronach ogrodzenia. Raptem, jak na dany znak, zadudniły mongolskie topory o płot, lecz w tej samej chwili tucholanie silnymi dźwigniami podważyli go w górę, podparli ramionami i zwalili na mongołów. A w tej samej chwili, gdy upadł płot przygniatając swoim ciężarem przednie szeregi mongołów, skoczyli tucholanie naprzód i uzbrojeni w topory osadzone na długich toporzyskach, zaczęli nimi rąbać mongolskie czaszki. Trysnęła krew, zabrzmiały krzyki i jęki wrogów, i znów rozsypał się tłum wrogich napastników pozostawiając na placu boju rannych i zabitych. I znów radosny okrzyk obrońców powitał zwycięstwo towarzyszy, i znów na ten okrzyk odpowiedzieli mongołowie gradem strzał, a bojar wściekłymi przekleństwami. Dla tucholan nadeszła teraz chwila, w której musieli porzucić swoje wysunięte stanowisko i pożegnać z żalem to miejsce, z którego tak szczęśliwie odparli pierwsze natarcia mongołów. Bez żadnej straty, bez ran, w pełnej zbroi i w najlepszym porządku, zwróceniu twarzą do wroga, odstąpili tucholanie od ściany bojarskiego domu.

Gdy na południowej stronie dziedzińca tucholanie szczęśliwie odpierali ataki mongołów, na północnym dziedzińcu toczyła się zawzięta i nie tak szczęśliwa walka. I tu mongolskie strzały świstały bez żadnej szkody dla obleżonych. Tylko że tutaj mongołowie przeszli od razu do ataku i obleżeni znaleźli się w wielkim niebezpieczeństwie. Rzucili się ławą na mongołów, lecz przyjęci zostali strzałami i musieli się cofnąć straciwszy trzech

rannych, których mongołowie od razu posiekali na kawały.

Pierwszym zadaniem Maksyma było teraz obejść wszystkie stanowiska i rozejrzeć się dokładnie w sytuacji. Żywym łańcuchem otoczyli mongołowie dworzyszczę, które zasypywali nieustannie gradem strzał. Oblężeni strzelali także, choć nie tak gęsto. Maksym zmierzał od razu, że napastnicy zmierzają do tego, ażeby wtłoczyć ich do wnętrza dworzyszczę, skąd nie mogliby strzelać tak gęsto, po czym nie trudno byłoby ich pokonać. Główne więc zadanie obrońców polegać powinno na trzymaniu się pod ścianami domu. Ale tu byli oni wystawieni na gęste mongolskie strzały. Aby choć trochę zasłonić się od nich, kazał Maksym poodrywać drzwi, pozdejmować blaty stołów i poustawiać je przed każdym stanowiskiem niby olbrzymie tarcze. Zza tych tarcz strzelali tucholanie do mongołów drwiąc sobie z ich strzał. A Maksym chodził od stanowiska do stanowiska, obmyślał nowe sposoby obrony i dodawał towarzyszom otuchy słowem i przykładem.

— Trzymajcie się, towarzysze! — mówił. — Niedługo usłyszą w Tuchli krzyki albo kto, bądź ujrzy, co się tutaj dzieje, i nadejdzie dla nas pomoc!

Oblężenie trwało już pół godziny. Mongołowie strzelali i klęli straszliwie „ruskie psy“, które nie tylko nie poddawały się im, ale śmiały jeszcze bronić się z takim uporem i powodzeniem. Tuhar Wilk zwołał na naradę wybitniejszych dowódców, aby obmyślić z nimi jakieś jednoczesne decydujące uderzenie.

— Brać szturmem — mówił jeden.

— Nie, szturmować trudno; należy strzelać, dopóki nie wystrzelamy wszystkich — radził drugi.

— Poczekajcie, — rzekł Tuhar Wilk — będzie na wszystko czas. Teraz rzecz polega tylko na tym, aby spędzić ich z mniej ważnych stanowisk. Zgromadzić nasze największe siły niby do szturm, aby odwrócić ich uwagę, a tymczasem niech ruszą z obu stron małe od-

działy do przyczółkowych niestrzeżonych ścian. Ściany te są co prawda bez okien, mimo to jednak, gdy nasi ludzie staną pod nimi, będą im mogli wiele zaszkodzić.

Dowódcy zgodzili się na ten plan, gdyż nie znając podobnych manewrów nie mogliby nawet niczego podobnego wymyślić. Poruszyło się mongolskie wojsko, zabręczał oręż, zabłyszczały w słońcu miecze i topory, lecz tucholanie śmiało ściskali w rękach swoją broń gotując się do ciężkiego boju. Podczas gdy mongołowie radzili i gotowali się do pomyślnego szturmu, Maksym też nie drzemał. Wpadł mu do głowy szczęśliwy pomysł. W drewnianym dachu bojarskiego domu porobione były na wszystkie cztery strony niewielkie okna i w każdym takim oknie postawił Maksym po dwóch słabszych ze swoich ludzi, aby śledzili stamtąd wszelkie ruchy wroga i starali się ze swoich bezpiecznych stanowisk niepokoić go czy to strzałami, czy też kamieniami. Póki jeden stał przy oknie, drugi zawsze był gotów dostarczyć mu, czego potrzeba, inny zaś miał donosić od nich wieści towarzyszom znajdującym się na dole.

Zagrały trąby i zawyli dzikimi głosami mongołowie rzucając się na przeciwników. Tylko że nie mieli oni zamiaru zetknąć się z nimi oko w oko, lecz dobiegłszy do połowy drogi zatrzymali się nagle i wypuścili grad strzał na obleżonych. Gdy obleżeni, którzy gotowali się do ostatniej decydującej bitwy, powitali ich również gradem strzał i zadali im niemało ran i strat, wówczas cała mongolska linia podała się w tył. Tucholanie powitali odwrót głośnymi drwinami.

— A co, bojarze, — krzyknął Maksym — wojsko wielkiego Dżingis-chana ma, zdaje się, zajęcze serce, ucieka i odstępuje. Nie wstyd tobie, staremu rycerzowi, dowodzić takimi tchórzami, którzy jak barany śmiali są tylko w tłumie, w pojedynkę zaś jeden i za pół męża nie stanie?

Bojar nic nie odpowiedział na te drwiny; dobrze wiedział, że Maksym śmiał się za wcześnie. I sam Ma-

ksym przekonał się o tym niebawem. Radosny krzyk mongołów zabrzmiał tuż - tuż za przyczółkowymi ścianami domu, równocześnie z prawa i z lewa. Podczas pomysłnego mongolskiego szturm ruszyli oni do tych ścian; były to ściany bez okien i drzwi, tak że towarzysze nie pilnowali ich tak bardzo. Prawda, tucholanie postawieni na czatach ujrzeli nadchodzących z tej strony mongołów i kilka celnych strzałów padło na nich z dachowych okien, lecz nie powstrzymało to napastników, tym bardziej, że stojąc przy samej ścianie chronieni byli okapem z desek przed wszelkim niebezpieczeństwem grożącym z góry.

Maksym pobladł usłyszawszy tuż koło siebie złowieszcze krzyki i dowiedziawszy się od wartownika ze strychu, co one oznaczają.

— Przepadliśmy, — przeleciało mu przez myśl — nie ma nawet mowy o ratunku. Teraz już przyjdzie walczyć nie na życie, lecz na śmierć.

A Tuhar Wilk ujrzawszy powodzenie swojego planu zaśmiał się głośno.

— A co, chłopcy! — krzyknął — zobaczymy, czy starczy wam jeszcze na długo tej waszej dumy! Spójrzcie, moi wojownicy są już pod waszymi ścianami. Ognia pod ściany! Wykurzimy ich zaraz z tego gniazda, a w czystym polu znaczą oni wobec nas tyle, co mysz wobec kota.

Widzi Maksym, że to nie przelewki, zwołuje towarzyszy, bo nie ma już teraz sensu bronić się na pojedynczych stanowiskach, kiedy mongołowie podkładają ogień pod przyczółkowe ściany.

— Bracia, — mówi — pewno przyjdzie nam zginąć, bo słaba jest nadzieja ratunku, a mongołowie, wiedząc o tym z góry, nie oszczędzą nikogo, kto dostanie się w ich ręce, tak jak nie oszczędzili naszych rannych towarzyszy. Skoro więc mamy zginąć, to zgińmy jak mężowie, z bronią w ręku. Jak myślicie, czy będziemy tutaj stać i bronić się do ostatniego tchu, zasło-

nięci choć częściowo ścianami, czy lepiej uderzymy razem na mongołów w nadziei, że może uda nam się przełamać ich szeregi.

— Tak, tak, uderzymy na mongołów! — zawołali wszyscy towarzysze. — Toć my nie lisy, które strzelec wykurza z jamy!

— Zgoda, skoro taka wasza wola — rzekł Maksym. — Stawajcie tedy w trzy szeregi, odrzućcie łuki i strzały, chwytajcie topory i noże, i za mną!

Jak jeden olbrzymi kamień, wypuszczony z wielkiej katapulty na mury twierdzy, uderzyli nasi tucholanie na mongolskie szeregi. Prawda, nim jeszcze dobiegli do mongołów, przyjęci zostali gradem strzał, tylko że te strzały nie uczyniły im nic złego, bo pierwszy szereg niósł przed sobą zamiast tarczy blat ze stołu wetknięty na dwie spisy i w blacie tym utkwily mongolskie strzały. Dopiero zbliżając się do mongołów pierwszy szereg odrzucił swoje drewniane tarcze i cały oddział z szaloną zawziętością rzucił się na wroga. Zmieszali się od razu mongołowie i rozsypywać się poczęli na boki, lecz Tuhar Wilk był już tutaj ze swoim oddziałem i otoczył tucholan całą gromadą mongołów, tak jak myśliwi całą sforą psów okrążają rozżartego dzika. Rozpoczęła się straszna rzeź. Dzielni Tucholanie walili z nóg mongołów całymi dziesiątkami, lecz Tuhar Wilk słał przeciwko nim coraz to nowe rotty. Krew bryzgała daleko z oszalałego kłębowiska ludzi, trupów, rannych i krwawego oreża. Stękania rannych, jęki konających, wściekłe krzyki mordujących — wszystko to tworzyło jakąś piekielną muzykę, która rozdzierała uszy i serca rozbrzmiewając pod uśmiechniętym, jasnym słońcem, na tle soczystej zieleni świerkowych lasów w rytm nieustannego szumu chłodnego potoku.

— Na prawo, towarzysze! Razem, zgodnie natrzemy na nich! — krzyknął Maksym broniąc się przed trzema mongołami, którzy starali się wytrącić mu broń z ręki. Ze strasznym wysiłkiem natarli tucholanie na prawo,

gdzie linia mongołów była naj słabsza i gdzie znajdowało się najdogodniejsze miejsce do obrony. Po krótkim oporze mongołowie ustąpili.

— Dalej, dalej, pędzić ich przed sobą! — krzyknął Maksym rzucając się ze swoim krwawym toporem na ustępujących mongołów. Towarzysze runęli za nim i odwrót mongołów zmienił się rychło w popłoch i bezładną ucieczkę. A towarzysze pędzili w ślad za nimi waląc na ziemię jednego za drugim. Przed nimi widniało czyste pole, a niedaleko ciemny, wonny las. Gdyby tak udało im się dobiec do niego, byłiby uratowani i żadne mongolskie wojsko nie mogłoby im tutaj niczego zrobić.

— Dalej, towarzysze, dalej, do lasu! — krzyczał Maksym i towarzysze, okrwawieni, straszni jak prawdziwe dzikie zwierzęta, gnali przed sobą bez tchu, w milczeniu, uciekających mongołów prosto do lasu. Tuhar Wilk jednym rzutem oka ocenił położenie obu stron i wybuchnął śmiechem.

— Szczęśliwej drogi! — krzyknął w ślad za tucholanami — spotkamy się jeszcze na tej drodze!

I zaraz oddzielił część mongołów i posłał ich górą na tucholski szlak, aby zaszli tucholanom drogę z przodu, od lasu. Wiedział dobrze, że jego mongołowie nadbiegną w porę, sam zaś z resztą mongołów puścił się w pogoń za tucholanami.

Trzy tumany kurzu kłębiły się na polu nad Opo-rem; trzy gromady ludzi gnały za sobą na tym polu: pierwsza biegła gromadka przerażonych, rozbitych mongołów, za nimi doganiając ich lecieli tucholanie pod przewodnictwem Maksyma, a za nimi jeszcze główna siła mongołów z Tuharem Wilkiem na czele. Trzeci mongolski oddział wysłany przez Tuhara w górę celem wyprzedzenia tucholan, ukrył się gdzieś szybko i znikł, niezauważony przez rozpalonych swoją pogonią tucholan.

Naraz uciekający mongołowie zatrzymali się, stanęli. Przed nimi ukazała się niespodziewana przeszkoda: głęboki, wykuty w skale wąwóz — początek tucholskiego

szlaku. Wąwóz był w tym miejscu głęboki prawie na dwa sążnie, ściany jego spadziste i gładkie, tak że nie można było zejść w dół, a skakać było bardzo niebezpiecznie, szczególnie dla pierwszego rzędu uciekających, którzy mogli się spodziewać, że tuż za nimi i na nich skoczy drugi szereg. W śmiertelnej trwodze, jaka najbojaźliwszym dodaje nieraz odwagi w ostatniej chwili, mongołowie zatrzymali się i odwrócili się twarzą do przeciwników. W tej chwili błysnęła im niespodziewanie nadzieja: ujrzeni nadbiegających w ślad za przeciwnikami swoich współplemieńców i ręce ich mimo woli chwyciły za oręż. Ale ten nagły poryw odwagi nie był już w stanie uratować ich. Jak rozszalała burza wpadli na nich tucholanie łamiąc ich i druzgocąc wszystkie przeszkody — i zepchnęli ich w przepaść. Z jękiem powalili się stojący z tyłu na dno wąwozu, gdy tymczasem przednie szeregi konały od mieczy i toporów tucholskich. Teraz tucholanie zatrzymali się sami nad stromą ścianą wąwozu i zadrżeli. Oto z tyłu doganiał ich Tuhar Wilk z mongołami, a z przodu — ta straszna przepaść. Co robić? Dość było dla Maksyma chwili namysłu. Widok leżących na dnie wąwozu potłuczonych mongołów naprowadził go na dobrą myśl.

— Tylny szereg niech obróci się twarzą do mongołów i wstrzymuje przez chwilę ich napór, a przedni niech rzuca mongolskie trupy do wąwozu i skacze na nie! — krzyknął.

— Hurra! — zawołali radośnie tucholanie spełniając jego rozkaz. Rozległ się odgłos spadających w dół ciepłych jeszcze mongolskich trupów, zaświtała dla naszych tucholan nadzieja ratunku. A wtem nadbiegła mongolska pogoń z Tuharem Wilkiem na czele.

— Nie! Tym razem nie ujdziecie już mojej ręki! — krzyczał bojar. I swoim ciężkim toporem powalił pierwszego napotkanego przeciwnika, który wczoraj jeszcze był jego najwierniejszym łucznikiem. Jęknął tamten śmiertelnie raniony i padł pod nogi bojara. Towarzysz

jego zamierzył się toporem na bojara, aby pomścić śmierć kolegi, ale w tej samej chwili wzięli go z dwóch stron na mongolskie spisy. Cały pierwszy rząd obrońców padł po krótkim oporze. Byli to właśnie najslabsi, ranni w poprzedniej bitwie, którzy w pogoni biegli z tyłu. Mimo to zatrzymali jednak na chwilę mongołów, a ich szczęśliwsi towarzysze byli już bezpieczni na dnie wąwozu.

— Stójcie! — krzyknął Maksym do swoich. — Ustawić się w szeregi i stanąć pod ścianą wąwozu! Kiedy zechcą gnać za nami, sprawimy im tutaj krwawą łaźnię!

— Pierwszy rząd niech skacze za nimi! — komen-derował w nierozważnym zapale Tuhar Wilk; i oto skoczył pierwszy szereg mongołów, lecz nie wstał już żywy, wielu nie doleciało nawet żywymi na dno, zara- bały ich bowiem w powietrzu topory tucholan.

— Hurra! — zawołali ci radośnie. — Nuże, drugi szereg skakać także!

Ale drugi szereg stał nad wąwozem i nie kwapił się skakać. Tuhar Wilk dostrzegł swoją pomyłkę i wysłał szybko silny oddział w dół, aby zamknąć z doliny wyj- ście z wąwozu.

— Teraz nie ujdą nam ptaszki — cieszył się. — Oto nadchodzą już moi łowcy. Nuże, dzieci, dalej na nich!

Wściekły krzyk mongołów zabrzmiał w wąwozie tuż pod nogami Tuhara Wilka. Był to oddział wysłany górą dla wyprzedzenia tucholan. Uderzył on teraz z dołu wąwozu na nich.

— Uciekajmy w dół wąwozu! — krzyknęli obrońcy, lecz jeden rzut oka przekonał ich o tym, że nie ma ja- kiejkolwiek nadziei ratunku. Na dole, przy wejściu cze- kała już druga grupa mongołów, która szła naprzeciw nich, aby zamknąć ich całkiem w tej kamiennej klatce.

— Teraz to już nasza śmierć! — rzekł Maksym wy- cierając swój krwawy topór o kożuch zabitego mongola leżącego u jego nóg. — Towarzysze, śmiało do ostat- niego boju!

Wystąpili naprawdę odważnie! Dobywając ostatnich sił uderzyli na mongołów i nie zważając na niekorzystny dla siebie górzysty teren, który sprzyjał mongołom, raz jeszcze zmieszali ich szyki, raz jeszcze zadali im wielkie straty. Ale mongołowie siłą swego rozpedu zepchnęli ich w dolinę i rozbili ich szeregi. W bohaterskiej obronie padali tucholanie, jeden za drugim, tylko Maksym, choć walczył jak lew, nie miał jeszcze ani jednej rany. Mongołowie unikali go, a kiedy nacierali na niego, to tylko w nadziei wytrącenia mu broni z ręki i wzięcia go żywcem. Taki był wyraźny rozkaz Tuhara Wilka.

Oto wystąpił już z doliny drugi oddział mongolski; tucholan ściśnięto w tej kamiennej klatce bez wyjścia, przyparto ich do ścian i tyle tylko było przed nimi wolnego miejsca, ile mogli go wyrębać swoimi mieczami i toporami. Ale ręce ich poczęły słabnąć, a mongołowie cisną się i cisną na nich jak fale powodzi. Niektórzy straciwszy wszelką nadzieję i widząc niemożność dalszej walki rzucili się na oślep w najgęstsze szeregi mongołów i w jednej chwili zginęli, rozsiekani toporami. Inni szepcząc modlitwy tulili się jeszcze do ściany, tak jak gdyby mogła im ona okazać jakąkolwiek pomoc. Inni jeszcze, choć niby bronili się, lecz nieprzytomnie, machinalnie machali toporami i śmiertelne razy mongołów zastawały ich już jako nieczułe i bezduszne trupy. Tylko niewielka garstka najsilniejszych — było ich pięciu — otoczywszy Maksyma trzymała się jeszcze prosto jak wierzchołek skały pośród rozhukanych fal. Garstka ta, stojąca na kupie trupów jak na baszcie, odparła już trzy ataki mongołów: stępiły się już miecze i topory w rękach bohaterów, odzież ich, ręce i twarze zalane były krwią, ale dźwięczał jeszcze ostro i wyraźnie głos Maksyma, który zagrzewał towarzyszy do obrony. Tuhar Wilk patrzył na niego z góry na pół groźnie, na pół z podziwem.

— Na boga, zuch chłopak! — rzekł do siebie. — Nie dziwię się, że oczarował moją córkę. Mógłby oczarować i mnie samego swoją rycerską postawą.

Potem zaś zwracając się do swoich mongołów, którzy stali nad brzegiem wąwozu, krzyknął:

— Dalej, skakać na nich! Niech się skończy ta rzeź! Tylko tego (wskazał na Maksyma) nie tknijcie!

I razem, jak ciężka skała, skoczyli mongołowie z góry na niezwyciężoną garstkę bohaterów i powalili ich na ziemię. Raz jeszcze zabrzmiały wściekłe krzyki, raz jeszcze zawrzała walka między mongołami i tucholanami, ale nie na długo. Na każdego z bohaterów zwałił się cały tłum mongołów i wszyscy tucholanie polegli. Tylko Maksym stał jeszcze sam jeden jak dąb pośród pola. Rozciął głowę mongołowi, który skoczył na niego, zamachnął się właśnie na drugiego, gdy wtem jakaś silna ręka żelaznym uściskiem uchwyciła go z tyłu za gardło i rzuciła nim o ziemię. Upadł podstępnie powalony Maksym, a nad nim nachyliła się poczerwieniała od gniewu twarz Tuhara Wilka.

— A co, smerdzie! — krzyknął drwiąco bojar — widzisz teraz, że umiem dotrzymać słowa? Nuże, dzieci, zakujcie go w żelazne kajdany!

— Choć skutą, pozostanę zawsze wolny. Ja mam pęta na rękach, a ty — na duszy! — odrzekł Maksym.

Bojar zaśmiał się i odszedł od niego, aby wydać rozkazy mongolskiemu wojsku, którego liczba zmalała znacznie w tej krwawej rzezi.

Z główną częścią pozostałych jeszcze mongołów poszedł Tuhar Wilk do swego dworu; reszcie kazał obsadzić nieszczęsny, zawalony teraz trupami wąwóz. Wyznaczywszy wszystkich zdrowych do strzeżenia wąwozu, sam z niewielką resztą i z wziętym do niewoli Maksymem miał wrócić do obozu.

— Przeklęte chłopy! — mruzczał bojar przeglądając swoje straty — ile to ludu wybili! No, ale niech diabli biorą mongołów — tych nie szkoda. Gdybym tylko mógł dojść po tych trupach do władzy i potęgi, zwróciłbym się i ja przeciwko nim. Ale ten niegodziwiec, ten Maksym — to mi dopiero wojownik! A kto wie, może i on mógłby mi się

przysłużyć w osiągnięciu celu? Trzeba go wykorzystać, dopóki mam go w rękach. Musi nam służyć za przewodnika w górach, bo diabli ich tam wiedzą, jaki to ten ich szlak i czy nie ma gdzie na nim jakowychś manowców. Teraz, kiedy Maksym jest w moich rękach, trzeba go sobie pozyskać, ugłaskać go trochę, bo kto wie, do czego może się jeszcze przydać.

A tymczasem mongołowie szykowali już konie do odjazdu, Maksym z rękami i nogami zakutymi w ciężkie łańcuchy, zakrwawiony, rozczochrany, z poszarpaną w strzępy odzieżą, siedział na kamieniu nad rzeką, niemy, z zaciśniętymi zębami i z rozpaczą w sercu. Przed nim, na polu i w wąwozie leżały nie zastygłe jeszcze, porąbane i krwią oblane ciała jego towarzyszy i wrogów. Jakże byli szczęśliwi! Leżeli tak cicho, tak spokojnie na swojej krwawej pościeli, bez gniewu, bez męki, bez nieprzyjaźni. Szydzili teraz ze wszystkich kajdan, z całego wojska wielkiego Dżingis-chana, jego zaś kawał żelaza uczynił bezdusznym narzędziem w rękach dzikiej samowoli, ofiarą krwawej zemsty! Jakże szczęśliwi byli jego towarzysze! Oni, choć pokaleczeni, zachowali w sobie obraz i podobieństwo ludzkie, jego zaś owe więzy w jednej chwili uczyniły bydlęciem, niewolnikiem!

— Sprawiedliwe słońce! — krzyknął Maksym w swej udreće duchowej — czy taka twoja wola, abym ja ginął w kajdanach? Zali witałś tak często swoim jasnym uśmiechem dni mojej radości na to tylko, aby dziś powitać moje bezdenne nieszczęście? Słońce, czyś ty przestało być dobrym bogiem Tucholszczyzny, a stało się opiekunem owych okrutnych barbarzyńców?

A słońce się śmiało! Jasnymi, gorącymi promieniami błyszczało w kałużach krwi, całowało posiniąle usta i głębokie rany trupów, przez które wypływał mózg i sterczały ciepłe jeszcze ludzkie wnętrzości. I takimi jasnymi i gorącymi promieniami oblewało ono zielony las i cudowne wonne kwiaty, i wysokie połoniny, które kąpały się w czystych lazurowych przestrzeniach. Słońce śmiało się

i swoim boskim, obojętnym uśmiechem raniło jeszcze głębiej rozdartą duszę Maksyma.

## VI.

Dziwny sen przyśnił się Zacharowi Berkutowi. Zdało mu się, jakoby odbywało się dziś doroczne święto „Stróża“ i jakoby cała gromada zebrała się dokoła kamienia przy wejściu do tucholskiego wąwozu: dziewczęta z wiankami, młodzieńcy z muzyką, wszyscy w świątecznych, czystych strojach. Oto on, najstarszy wiekiem w gromadzie, zbliża się pierwszy do świętego kamienia i zaczyna się do niego modlić. Jakieś tajemne, trwożne, bolesne wzruszenia opanowują jego serce podczas modlitwy, coś szarpie go w głębi duszy — i sam nie wie co. Modli się gorąco, po dwóch, trzech słowach zwykłej modlitwy odstępuje od starodawnych zwrotów, ustalonych przez zwyczaj, jakaś nowa, gorętsza, porywająca modlitwa płynie z jego ust; cała gromada wstrząśnięta nią, pada twarzą na ziemię i on sam czyni to samo. Ale słowa nie przestają płynąć, dokoła robi się ciemno, czarne chmury pokrywają niebo, zaczynają bić grzmoty, błyskawice płoną i oślepiający ich ogień oblatuje cały nieboskłon, drży ziemia — a wtem święty kamień, przechylając się zwolna, rusza się z miejsca i ze straszliwym łoskotem wali się na niego.

— Co to może znaczyć? — pytał siebie samego Zachar rozmyślając nad swym snem. — Szczęście czy nieszczęście? Radość czy niedola? — Ale nie mógł sam znaleźć odpowiedzi na to pytanie, a sen pozostawił tylko po sobie jakoweś ciężkie przeczucie, jakąś chmurę smutku na czole Zachara.

Rychło sprawdziło się to przeczucie! Właśnie tuż po południu doszły do Tuchli straszne, niespodziewane wieści. Pastuchowie z sąsiedniej połoniny przybiegli zdyszani do wsi wołając, że widzieli jakąś bitwę koło bojarskiego domu, jakąś gromadę nieznanych czarnych ludzi i że słyszeli niezrozumiałe, rozdzierające krzyki. Cała prawie tu-

cholska młodzież, uzbroiwszy się jak kto mógł, pobiegła na miejsce walki, zatrzymała się jednak z daleka, ujrawszy krwawe, pokryte trupami pobojuwisko i bojarski dom, otoczony chmarą Mongołów. Nie ulegało wątpliwości, że wszyscy młodzieńcy, wysłani celem zburzenia bojarskiego domu, zginęli w nierównej walce z tymi najeźdźcami. Nie wiedząc, co czynić, wróciła tucholska młodzież do wsi roznosząc wszędzie straszliwą wieść. Usłyszawszy ją zadrżał stary Zachar i gorzka łza stoczyła się po jego starej twarzy.

— Ot i spełnił się mój sen! — wyszeptał. — Maksym mój poległ w obronie swej wsi. Tak trzeba było. Każdy musi kiedyś umrzeć, nie każdemu jednak przypada w udziale śmierć ze sławą. Powinienem nie tęsknić za nim, lecz cieszyć się jego losem.

Tak pocieszał się stary Zachar, lecz serce jego nękał głęboki ból: zbyt mocno, całą siłą duszy kochał swego najmłodszego syna. Szybko jednak pokrzepił się na duchu. Gromada wołała go, potrzebowała jego rady. Ludzie, starzy i młodzi, cisnęli się tłumnie za wieś, do tucholskiego wąwozu, za którym tak blisko stał ich najstraszniejszy wróg. Po raz pierwszy od chwili powstania Tuchli zebrała się rada gromadzka bez zwykłych obrzędów, bez chorągwi, wśród brzęku toporów i kos, wśród na wpeł trwożnej, na wpeł wojowniczej wrzawy. Bez ładu mieszały się starcy z młodzieńcami, uzbrojeni z bezbronnymi, ba, nawet kobiety snuły się tu i ówdzie pomiędzy gromadą, dopytując się o wieści o wrogu lub oplakując na głos swych straconych synów.

— Co czynić? Co począć? Jak się bronić? — rozlegało się wśród tłumu. Jedna myśl górowała nad wszystkimi innymi: wyjść gromadą przed wąwóz i bronić się przed Mongołami do ostatniej kropli krwi. Nalegała na to zwłaszcza młodzież.

— Chcemy zginąć tak jak zginęli nasi bracia w obronie swego kraju! — wołali. — Tylko po naszych trupach wejdzie wróg do tucholskiej doliny!

— Porobić zasadzki w wąwozie i z nich celować w mongołów! — radzili starsi.

Po chwili, gdy wrzawa nieco przycichła, przemówił Zachar Berkut.

— Choć owa wojenna sprawa nie jest moją rzeczą i choć nie mnie, staremu, radzić o tym, do czego nie mogę przyłożyć moich rąk, to sądziłbym przecież, że nie będzie to naszą wielką zasługą, skoro odeprzemy mongołów, zważywszy osobliwie, że nie jest nam tak trudno to uczynić. Synowie nasi zginęli z ich rąk, krew ich zrosiła naszą ziemię i wzywa nas do zemsty. Czy zemścimy się na naszych wrogach, na niszczycielach naszego kraju, skoro odeprzemy ich od wsi naszej? Nie, odparci bowiem od naszej wsi tylko, rzucą się oni ze zdwojoną wściekłością na inne wsie. Celem naszym powinno być nie odparcie ich, lecz rozbicie!

Gromada słuchała uważnie słów swego mowcy i młodzież, podatna na wszystko, co wydawało się nowe i niespodziewane, gotowa już była zgodzić się na tę radę, jakkolwiek nie wiedziała, jak można będzie ją wykonać. Ale liczne głosy starców odzywały się przeciwko niej.

— Nie chcielibyśmy ciebie urazić, ojcze Zacharze, — mówił jeden z obywateli — ale rada twoja, choć mądra i choć wielką przyrzeka chwałę, jest przecież dla nas niemożliwa do przyjęcia. Siły nasze są słabe, a potęga mongołów jest wielka. Nie zdążyła jeszcze nadejść pomoc od innych gromad górskich i zza gór, a choćby i nadeszła, to i tak nasza siła nie wystarczy nawet do otoczenia mongołów, nie mówiąc już o pokonaniu ich w otwartej bitwie. A jakże rozbijemy ich bez tego? Nie, nie! Za mała jest nasza siła! Będziemy szczęśliwi, jeżeli zdołamy odeprzeć ich od naszej wsi i usunąć z drogi. Nie mamy nawet nadziei na ich rozbicie!

Widząc, że te zarzuty są zupełnie uzasadnione, Zachar Berkut, acz z bólem serca, gotów już był porzucić swój młodzieńczy pomysł, gdy nagle dwa niespodziewane zdarzenia znacznie podniosły nastrój tucholskiej gromady i zmieniły całe jej postanowienie.

Dołem wsi nadeszły ulicą, jedna po drugiej, przy dźwiękach trąb i drewnianych trombit, aż trzy gromady uzbrojonej młodzieży. Każda gromada niosła przed sobą bojową chorągiew. Ochocze, śmiałe ich pieśni rozbrzmiewały daleko po górach. To szła obiecana tucholanom pomoc górskich i zagórskich gromad. Chłop w chłop, jak rosłe jawory, stały wszystkie trzy oddziały długimi szeregami przed zebraną gromadą i schyliły chorągwie na znak powitania. Miło było patrzeć na te zdrowe, rumiane twarze, rozgrzane męską odwagą i dumnym poczuciem, że przyjdzie im bronić własnymi piersiami wszystkiego, co mają najdroższego na świecie, że na ich oręż nałożono wielkie zadanie.

Przybycie ich spotkało się z radosnym, burzliwym okrzykiem wszystkich tucholan, jeno matki, które dziś właśnie straciły swoich synów, wybuchły łkaniem na widok tego najpiękniejszego kwiatu ludu, co jutro legnie może tak samo skoszony i zdeptany, jak poległy dziś ich jasne sokoły. Zadrżało również serce starego Zachara Berkuta, gdy spojrzął na tych młodzieńców i pomyślał sobie, jak wspaniale wyróżniałby się wśród nich jego Maksym. Ale niestety! Umarłego nie wskrzesisz, a żywy żyje i myśli...

Jeszcze nie uciszyła się radość z powodu nadejścia owych upragnionych pomocników, jeszcze gromada nie znalazła czasu na przystąpienie do dalszych narad, gdy wtem z przeciwnej strony, od leśnej polany nad tucholskim wąwozem, ukazał się nowy i całkiem już niespodziewany gość. Na spienionym koniu podrapanym przez gałęzie i ciernie, przypadłszy do jego szyi, aby szybciej i bezpieczniej jechać po lesie, nie zaczepiając o gałęzie gnał, co koń wyskoczy, jakiś człowiek. Kto to był taki, nie można było z daleka odgadnąć. Miał na sobie owczy mongolski kozuch, obrócony wełną na wierzch, na głowie zaś piękny, bobrowy kołpak. Młodzież wzięła przyjezdnego za mongolskiego wysłannika i wystąpiła przeciwku niemu z łukami. Ale wyjechawszy z lasu i zbliżywszy się do stromego urwiska,

którym trzeba było schodzić do tucholskiej doliny, domniemany mongoł zeszedł z konia, zrzucił z siebie kożuch i ku powszechnemu zdumieniu ukazała się kobieta w białym płóciennym płaszczu, przetykanym jedwabiem, z łukiem przewieszonym przez plecy oraz z błyszczącym toporem za pasem.

— Mirosława, córka naszego bojara! — zawołali tucholscy młodzieńcy nie mogąc oderwać oczu od prześlicznej, śmiałej dziewczyny. Ale ona widocznie nie patrzyła nawet na nich, lecz pozostawiwszy swego konia tam, gdzie z niego zeszła, zaczęła żywo oglądać się za ścieżką, którą można by było spuścić się w dolinę. Bystre jej oczy odkryły szybko taką ścieżkę, zupełnie niemal ukrytą wśród szerokich, pierzastych liści paproci oraz kłujących jeżyn. Zeszła ścieżką w dolinę pewnym krokiem, jakby zwykła to czynić od urodzenia, i zbliżyła się do gromady.

— Witaj, czcigodna gromado — rzekła rumieniąc się z lekka. — Śpieszę zawiadomić was o tym, że mongołowie nadchodzą i że będą tutaj przed wieczorem, byście się przygotowali na ich przyjęcie.

— Wiedzieliśmy o tym, — odkrzyknęły głosy spośród gromady — dla nas to nie nowina.

Były to głosy ostre, nieprzyjazne dla córki podłego bojara, za którego sprawą zginęło tylu młodzieńców. Ona nie obraziła się jednak z powodu tej ostrości, choć widocznie ją odczuła.

— Tym lepiej dla mnie, żeście już przygotowani — powiedziała. — A teraz proszę mi pokazać, gdzie znajduje się Zachar Berkut.

— Otom jest, dziewczyno — rzekł zbliżywszy się stary Zachar. Mirosława patrzyła nań długo z uwagą i czcią.

— Pozwól, czcigodny ojcze, — powiedziała głosem, w którym drgało głębokie wzruszenie — oznajmić ci przede wszystkim, że syn twój jest żywy i zdrowy.

— Mój syn — krzyknął Zachar — zdrowy i żywy! O doło! Gdzież on? Co się z nim dzieje?

— Nie lękaj się, ojcze, tej wieści, którą ci oznajmię. Syn twój znajduje się w mongolskiej niewoli.

— W niewoli? — wykrzyknął Zachar jak gdyby rążony gromem. — Nie, to być nie może! Syn mój pozwoli raczej porąbać się na kawałki niż pojmać się w niewolę. To niemożliwe! Ty chcesz mię przerazić, niedobra dziewczyno!

— Nie, ojcze, ja ciebie nie straszę, bo tak jest naprawdę. Przybywam teraz wprost z mongolskiego obozu, widziałam go, rozmawiałam z nim. Wzięli go siłą i podstępem, zakuli w żelazne pęta. Choć nie był ranny, jest cały oblany krwią wrogów. Nie, ojcze, syn twój nie shańbił twego imienia.

— I cóż ci mówił?

— Kazał mi, ojcze, iść do ciebie, pocieszyć ciebie w twojej samotności i żalu, stać się twą córką, twym dzieckiem, gdyż ja, ojcze — (tu głos jej zadrgał silniej jeszcze) — jam sierota, ja nie mam ojca!

— Nie masz ojca? Czyżby Tuhar Wilk zginął?

— Nie, Tuhar Wilk żyje, ale przestał on być moim ojcem, odkąd... zdradził... swój kraj i przystał... na służbę do mongołów.

— Można było się tego spodziewać — odrzekł ponuro Zachar.

— Nie mogę go teraz uważać za ojca, bo nie chcę zdradzać swego kraju.

— Bądź mi ojcem! Przyjm mię za dziecko! Nieszczęśliwy twój syn prosi cię o to moimi ustami.

— Mój syn! Mój syn nieszczęśliwy! — jęczał Zachar Berkut nie podnosząc oczu na Mirosławę. — Kto mię pocieszy po jego stracie?

— Nie bój się, ojcze, może on jeszcze nie stracony, może uda się nam wydostać go na wolność. Słuchaj jeno, co nakazywał mi Maksym.

— Mów, mów! — rzekł Zachar spoglądając znów na nią.

— Radził on tucholskiej gromadzie nie zatrzymywać

mongołów przed wąwozem, jeno wpuścić ich do kotliny. Można ich tutaj otoczyć i porąbać do ostatniego, w przeciwnym zaś razie wymorzyć głodem. Trzeba tylko porobić zasieki w wąwozie przy wodospadzie i zabrać ze wsi cały gromadzki majątek, wszystko zboże, wszystek chleb, wszystkie bydło, następnie zaś zamknąć ich tutaj ze wszech stron. „Tutaj — powiadał Maksym — zwyciężycie ich albo nigdzie indziej!“ Tak radził Maksym.

Cała gromada słuchała z wyteżoną uwagą przemówienia Mirosławy. Głębokie milczenie zaległo wśród wszystkich, skoro przebrzmiały te słowa. Jeno Zachar wyprostował się dumnie i radośnie, potem zaś z rozpostartymi ramionami zbliżył się do Mirosławy.

— Córko moja! — rzekł — widzę teraz, żeś godna być córką Zachara Berkuta! Oto prawdziwe słowa mojego syna, tchną one jego śmiałym duchem! Zdobyłaś tymi słowami moje ojcowskie serce! Teraz lżej mi przyjdzie odżalować syna, gdy niebo przysłało mi zamiast niego taką córkę!

Z głośnym łkaniem rzuciła się Mirosława w jego objęcia.

— Nie, ojczy, nie mów tak — rzekła. — Syn twój nie będzie stracony, wróci on do ciebie. Będzie on tutaj jeszcze dziś wieczór, razem z ordą, a skoro ją rozbijemy, to uwolnimy może również i jego.

W tej chwili usłyszano w wąwozie krzyk wartowników tucholskich: „mongołowie!“ — i w ślad za nim przybiegli wartownicy obwieszczając, że niezliczone wojsko mongolskie ukazało się w dolinie nad Oporem. Należało teraz szybko decydować, co czynić, jak się bronić. Zachar Berkut upierał się przy tym, żeby wpuścić mongołów do kotliny tucholskiej i obstawiwszy ich tutaj, wyrznać lub wymorzyć głodem wszystkich, do ostatniego.

Teraz nie podnosiły się już głosy przeciwne owej radzie i gromada zdecydowała się szybko. Wszyscy rozeszli się do swych chat, aby ukryć swe dobro w lesie. Młodzieńcy z obcych wsi wyruszyli szybko do górnego zbocza do-

liny, do wodospadu, aby porobić w wąwozie zasieki i nie pozwolić mongołom przejść tamtędy. We wsi zapanowała straszliwa wrzawa. Krzyk, rozkazy i pytania, ryk wołów i skrzypienie drewnianych dwukołowych wozów rozbrzmiewały zewsząd, zagłuszały i toczyły się po górach. Ze smutkiem żegnali tucholanie swe chaty, dwory i ogrody oraz zasiane łąny, które dziś jeszcze zrujnować i zdeptać miała straszliwa nawała mongolska. Matki dźwigały swe zapłakane dzieci, ojcowie pędzili bydło, wieźli na wozach sprzęt domowy, worki z chlebem i z przyodziewkiem. Kurzawa wznosiła się nad wsią, tylko srebrzyste wody potoku szumiały sobie, jak zwykle, i u wejścia do tucholskiego wąwozu stał olbrzymi Stróż, ponury, opuszczony, zasmucony, jak gdyby żałując swych dzieci, które opuszczały tę piękną dolinę, jak gdyby schylając się w stronę wąwozu, aby swym olbrzymim kamiennym cieliskiem zagrozić im drogę. Zasmuciła się i stara lipa na placu gromadzkim za wsią. A huczący wodospad, mieniając się w karmazynowych promieniach zachodzącego słońca, stał niby nieruchomy, krwawy słup nad opustoszałą tucholską kotliną.

Wieś całkiem już wyludniła się. Chaty zatoneły we mgle wieczornej, kurzawa ułożyła się na drodze, zamilkły głosy i krzyki, jak gdyby odwieczna pustynia pożarła całe życie doliny. Za tucholskimi górami osiadało słońce tonąc w leciutkich czerwonych obłokach; ciemne świerkowe lasy dokoła Tuchli szeptały cicho, tajemniczo, rzekłbyś, udzielały sobie jakiejś złowieszczej nowiny. Tylko ziemia nie wiedzieć czemu dudniła i jęczała głucho. Powietrze, choć jasne i pogodne, drżało od jakiegoś dziwnego zmieszanego gwaru, od którego dreszcz przejmował nawet najodważniejszego. A hen daleko po lasach, w głębokich, ciemnych jarach, między niedostępnymi zwałami gałęzi, wyły wilki, szcekały urywanymi głosami lisy, beczały jelenie, ryczały tury. A wieś taka cicha, taka martwa! A niebo takie jasne, takie pogodne! Ale nie. Oto nagle znikło słońce za czarną, żywą chmurą, która niby ściana ciągnie z zachodu, napęł-

niając powietrze dzikim wrzaskiem i opadając na Tuchłę. To zwiastuny i nieodstępni towarzysze ordy, wrony i kruki, ciągną niezliczonymi stadami, wietrząc żer. Złowieszcze ptactwo bije się w powietrzu, rozdziela się na gromady i rzuca w różne strony, niby chmury rozbite przez burzę. Tucholskie spokojne strzechy pokryły się naraz czarnymi gośćmi, a krzyk ich kipiał niby wrzątek w olbrzymim kotle. Stojąc nieruchomo w milczeniu nad stromymi brzegami swej kotliny spoglądali tucholanie na ohydne ptactwo i przeklinali w duchu tych zwiastunów śmierci i ruiny.

Ale widok szybko się zmienił. Jak przez wyłom w grobli wali się jesienna powódź, tak walić się zaczęły w kotlinę z przeraźliwym wrzaskiem czarne poczwary. Szeregi cisnęły się za szeregami bez końca i bez przerwy; jak woda zatrzymuje się pod wodospadem, tak i oni przystanęli po wyjściu z ciasnej gardzieli wąwozu, formowali się w długie, długie szeregi, posuwając się zwolna, zalewając bez oporu pustą równinę. Na przedzie jechał drogą na białym koniu straszliwy olbrzym Burunda-bagadyr, obok niego zaś inny, mniejszy jeździec, Tuhar Wilk.

Jechali zwolna przodem, jak gdyby każdej chwili spodziewali się napadu ze strony wsi. Ale nikt nie napadał, wieś wyglądała jak po dżumie. Pierwsze szeregi mongołów rzuciły się ze strasznym krzykiem do chat, aby swoim zwyczajem rznąć i rabować, ale nie było kogo mordować, chaty były puste. Z wściekłym wrzaskiem rzucali się mongołowie od chaty do chaty, wysadzając drzwi, niszcząc płoty i wrota, rozbijając dzieże i plecionki, rozwalając piece. Ale daremna była cała ich wściekłość — na wsi nie pokazywał się nikt.

— Przeklęte psy! — mówił Burunda do Tuhara Wilka — poczuły nas, pochowały się!

— Czy zanocujemy tutaj, bagadyrze? — zapytał Tuhar Wilk nie odpowiadając na jego uwagę.

— Póki nie spotkamy się z tymi psami, póty nie możemy nocować — odrzekł Burunda. — Prowadź nas do wyjścia z tej jamy! Trzeba zabezpieczyć sobie wyjście!

— Wyjście bezpieczne — uspokajał Tuhar Wilk, choć i on sam poczuł się niepewnie, gdy zobaczył, że wszyscy tucholanie wynieśli się zupełnie ze wsi. I mimo że uspokajał bagadyra, prosił go jednak, by skrzyknął wojsko, aby poniechało poszukiwania zdobyczy i śpieszyło do wyjścia. Niechętnie szły pierwsze szeregi mongolskiej ordy, gdy tymczasem ostatnie cisnęły się wciąż jeszcze przez wąwóz, wypełniając coraz gęściej kotlinę.

Oto już cały oddział wyszedł ze wsi i śpieszył do wąwozu wykutego w skale. Z doliny nic nie było widać w wąwozie i mongołowie podeszli spokojnie aż pod stromą kamienną ścianę, w której wykuty był wąwóz, gdy wtem ze szczytu ściany posypały się na mongołów olbrzymie głazy kalecząc ich i rozbijając. Krzyk napastników, rannych i powalonych na ziemię uderzył pod niebo. Zakrakał drapieżny ptak nad swymi ofiarami. Napastnicy zaczęli już cofać się w tył i w bok, gdy nagle Burunda i Tuhar Wilk z obnażonymi mieczami rzucili się im naprzeciw.

— Dokąd, szaleńcy? — ryczał Burunda jak młody tur. — Oto przed nami wejście do wąwozu, tędy za mną!

I pchając przed sobą całą ciżbę rzucił się w ciemną gardziel wąwozu. Ale tutaj czekało napastników dobre spotkanie. Kamienie posypały się gradem na ich głowy i niejednemu z wojowników Dżingis-chana zalała krew oczy, niejednemu trysnął na kamienie mózg z rozbitej czaszki. Z ciemnego wąwozu ryknęły jak z piekła krzyki i jęki, ale ponad nimi grzmiał coraz donośniej głos Burundy: „Dalej, zajęcze serca, dalej za mną!“ — i nowe kupy pomknęły do wąwozu nie zważając na nowy grad kamieni.

— Dalej w górę wąwozem! — krzyczał Burunda zasłaniając się tarczą od spadających z góry kamieni.

Tymczasem Tuhar Wilk, ujrawszy na szczycie ściany gromadę młodzieńców, kazał stojącym przed wąwozem mongołom sypnąć na nich strzały. W górze rozległy się krzyki — i mongołowie zawyli głośno z radości. Ale za swoich trzech rannych tucholscy młodzieńcy zaczęli ze

zdwojoną wściekłością rzucać olbrzymie bryły na napastników. To wszystko nie powstrzymałoby jednakowoż zaciekłego Burundy, gdyby w środku, na skręcie wąwozu nie pokazała się niespodziewana zawada: wąwóz zawalony był aż do szczytu olbrzymimi kamieniami. A tucholanie nacierali coraz wścieklej, kamienie sypały się niby grad, mongołowie padali jeden po drugim i Burunda zmiarkował wreszcie, że daremna jest jego zaciekłość, bo nie sposób będzie przejść tamtędy, dopóki nie uda się zepchnąć tucholan ze szczytu.

— Wracać! — krzyknął Burunda i niewielka reszta mongołów, która ocalała z nacierającej gromady, wyleciała bez tchu, jak kamień rzucony z procy.

— Wąwóz zawalony! — rzekł do bojara Burunda ciężko dysząc i ocierając z twarzy pot i krew.

— Zostawmy ich teraz, niech się cieszą! — powiedział Tuhar Wilk.

— Nie, — krzyknął Burunda spoglądając z pogardą na bojara — wojownicy wielkiego Dżingis-chana nie umieją odkładać sprawy na jutro, skoro można ją dzisiaj zakończyć.

— Ale co my dziś tutaj zrobimy? — zapytał Tuhar Wilk spoglądając z drzeniem na ciemną gardziel wąwozu, z której wydobywały się jeszcze okropne jęki śmiertelnie rannych, niedobitych mongołów.

— Spędzić te psy stamtąd z góry! — krzyknął wściekle Burunda wskazując ręką na grzbiet skalistego brzegu. — Dawać tutaj drabiny! Przednie szeregi na drabiny, a tylne niech odpędzają ich strzałami! Zobaczmy, kto będzie górą!

Z pobliskich chat zniesiono drabiny i za radą Tuhara Wilka pozbijano je poprzecznymi żerdziami, tak iż tworzyły jak gdyby szeroką ścianę. Tucholanie z góry przyglądali się spokojnie tej robocie. Oto mongołowie podnieśli już z krzykiem swoją składaną drabinę i przyparli ją do kamiennej ściany. Tucholanie przyjęli ich kamieniami, strzałami i dzidami, ale nic nie uczynili mongołom, bo gdy

jeden z drugim padł rażony pociskiem, wówczas inni dźwiga-  
gali dalej wielką drabinę, na miejsce zaś ранnego przyska-  
kiwały świeże posiłki. Jednocześnie tylne szeregi mongo-  
łów puszczaly w górę swe strzały i zmuszały tucholan do  
cofania się. Straszliwa drabina szybko zbliżała się do ścia-  
ny. Trwoga zaczęła opanowywać tucholan.

Niedaleko od pobojuwiska, zasłonięty kamienną bryłą  
od strzał, siedział na słomie Zachar Berkut, zajęty przy  
rannych. Wyjmował im z ran strzały, przemywał rany przy  
pomocy Mirosławy i starał się je opatrywać przykładając  
jakąś umiejętnie przyrządzoną żywicę, gdy nagle jacyś  
przerażeni wojownicy przybiegli doń przynosząc wieść  
o niebezpieczeństwie.

— Cóż ja wam, dziatki, poradzę? — rzekł stary, ale  
Mirosława zerwała się z miejsca i pobiegła obejrzeć niebez-  
pieczeństwo.

— Nie bójcie się! — powiedziała tucholanom — my  
zaraz im powróżymy! Niech sobie strzelają, wy zaś weźcie  
w ręce ratyszczę i kładźcie się na ziemię! A gdy przednie  
szeregi pokażą się do połowy na górze, tedy od razu na  
nie! One same zasłonią was od strzał, obaliwszy zaś  
przednie rzędy, powalicie i tylne. Zmierzch nam sprzyja  
i odparłszy ich tym razem, będziemy mieli spokój na  
całą noc.

Bez słowa sprzeciwu popadali tucholanie na wznak  
na ziemię chwyciwszy w ręce ratyszczę. Strzały sypały się  
jeszcze czas jakiś, następnie zaś ustały — znaczyło to, że  
przedni szereg zaczął się wspinać po drabinie w górę. Z za-  
partym tchem leżeli tucholanie i czekali na wrogów. Oto  
słysząc już skrzypienie szczebli, sapanie mężów, szczęk ich  
broni i zwolna, nieśmiało wynurzają się przed oczyma le-  
żących kosmate czapki, pod nimi zaś czarne, straszliwe  
głowy z małymi błyszczącymi oczkami. Oczy te trwożnie,  
uparcie patrzą jak urzeczony na leżących tucholan, ale  
głowy podnoszą się wyżej, coraz wyżej; widać już pod  
nimi ramiona, plecy okryte kosmatymi kożuchami, szerokie  
piersi — w tej chwili z straszliwym krzykiem zrywają

się tucholanie i równocześnie ratyszczą ich toną głęboko w piersiach napastników. Wrzask, ryk, zamieszanie, tu i ówdzie kurczowe ruchy, tu i tam krótka walka, przekleństwa, jęki, niby ciężka lawina wali się wróg po drabinie na dół, obalając za sobą następne szeregi, a na tę kupę żywych i umarłych, pomieszanych bez ładu, krwawych, drgających i ryczących ciał ludzkich, wałęsa się z góry olbrzymie bryły kamienne — i ponad całym tym piekłem, na wpół przykrytym zasłoną nocy, rwie się w górę radosny okrzyk tucholan, żalosne wycie mongołów i donośne, okropne przekleństwa Burundy-bagadyra. Skakał on po placu jak szaleniec, rwąc sobie włosy z głowy, wreszcie zaś, nieprzytomny z wściekłości, podskoczył z obnażoną szablą do Tuhara Wilka.

— Psie bladolicy! — krzyczał zgrzytając zębami — podwójny zdrajco, to twoja wina! Tyś zaprowadził nas do tej pułapki, skąd nie możemy wyjść.

Tuhar Wilk zapalał oburzeniem na takie słowa, jakich nie słyszał jeszcze od urodzenia. Ręka jego porwała mimo woli za miecz, lecz w tej chwili coś tak głęboko, tak ciężko zabolalo go w sercu, że ręka osłabła, opadła jak gliniana i pochyliwszy twarz, zacisnąwszy zęby, rzekł zduszonym głosem:

— Wielki bagadyrze, niesprawiedliwy jest twój gniew na wiernego sługę Dżingis-chana. Nie moja to wina, że ci smerdowie stawiają nam opór. Każ wojsku rozłożyć się na noc i wypocząć, a sam zobaczysz jutro rano, że rozprysną się oni przed naszymi strzałami jak suche jesienne liście za podmuchem wiatru.

— Aha, tak! — krzyknął Burunda — żeby po nocy napadli na nas w chatach i wyrzneli nasze wojsko!

— To każ wojsku spalić chaty i nocować pod gołym niebem!

— Mówisz chytrze to wszystko, aby zdwoić mój gniew i zrzucić z siebie winę! Ale nie! Tyś nas tutaj zaprowadził, ty musisz nas również stąd wyprowadzić, i to

zaraz jutro, bez straty czasu i ludzi! Słyszysz, co mówię? Tak się stać musi albo biada ci!

Próżno Tuhar Wilk zapewniał dzikiego bagadyra, że nie jest wszystkiemu winien, bo radził tak jak było najlepiej, według jego zdania, że rada naczelników mongolskich zgodziła się na jego słowa, że żaden przewodnik nie może ręczyć za niespodziewane przygody, jakie zdarzają się po drodze — wszystko to odbijało się od przekonania Burundy jak groch od ściany.

— Dobrze, bojarze, — rzekł wreszcie — zrobię według twej woli, ale jutro musisz jednak otworzyć nam drogę z tej pułapki, a jak nie, to biada ci! To moje ostatnie słowo. Czekam od ciebie czynów, a nie słów.

Odwrócił się z pogardą od bojara i poszedł do swych mongołów rozkazując im potężnym głosem, aby zaraz podpalili wieś ze wszystkich stron i oczyścili równinę ze wszystkiego, co mogłoby wrogowi służyć jako zasłona dla nocnego napadu. Mongołowie wydali radosny okrzyk — oczekiwali już dawno takiego rozkazu.

Tuchla zapłonęła ze wszystkich stron jednocześnie, rozdierając ognistymi językami zalegający wieś gęsty mrok. Dym potoczył się gęstymi kłębami w dół i przesłonił dolinę. Strzechy trzeszczały ogarnięte krwawym płomieniem. Ze strzech buchał w górę ogień, jak gdyby w prysiadach i podskokach pragnął dosięgnąć nieba. Czasem znów płomień od podmuchu wiatru ścielił się kobiercem, złościł się iskrami, migotał, falował niby ogniste jezioro. Trzask spadających krokwi i ścian toczył się głucho po dolinie, stożki zboża i siana wyglądały jak kupy rozżarzonego węgla, a z ich środka wydobywały się gdzieniegdzie białawe pasma ognia; drzewa paliły się jak świece, wyrzucając wysoko w powietrze ogniste, gorejące liście, niby rój złotych motyli. Cała tucholska dolina wyglądała teraz jak piekło zalane ogniem; mongołowie tańczyli i biegali z dzikim wrzaskiem pośród pożaru, rzucając w ogień wszystko, co tylko wpadło im w ręce. Z żalosnym jękiem padła, podcięta mongolskimi siekierami, prastara lipa,

świadek gromadzkich zebrań. Powietrze rozgrzało się w tucholskiej kotlinie jak w prawdziwym kotle, a rychło zerwał się z gór straszny wiatr, który kłębił iskry, rwał gorejącą słomę i głównie i rzucał je jak ogniste strzały. Tucholski potok widział po raz pierwszy w swym życiu taki blask, po raz pierwszy rozgrzał się w swym chłodnym kamiennym łożysku. Ze dwie godziny może trwał pożar, któremu przypatrywali się tucholanie z wysokich brzegów w milczeniu, z wyrazem bezsilnej boleści. Wówczas mongołowie poczęli gasić niedopalone szczątki wrzucając je do potoku i zakrzętnęli się koło okopywania swego obozu szerokim rowem. Na środku obozu rozstawiono w jednej chwili namiot dla starszyny — reszta wojska nocować miała pod gołym niebem, na rozgrzanej pożarem ziemi.

I znów ściemniło się w kotlinie tucholskiej. Mongołowie chętnie porozpalaliby w obozie ogniska, ale nie mogli tego niestety uczynić: teraz dopiero przypomnieli sobie, że spustoszyli ogniem całą równinę i że wszystko, co tylko mogło spłonąć, spłonęło lub popłynęło dalej potokiem. Wypadło wojsku spać i stać na warcie po ciemku — nie wykopano nawet rowów tak głęboko jak było potrzeba, bo już ściemniło się zupełnie. Burunda chodził po obozie gniewny, niezadowolony, jak czarna chmura, oglądając okopy i warty rozstawione koło nich, nawołując się z dowódcami i wydając rozkazy, jak strzec się nocnego napadu. Północ była już bliska, gdy obóz powoli ucichł; jeno krzyki wartowników oraz ryk wodospadu przerywały ogólną ciszę.

Tylko w jednym miejscu mongolskiego obozu błyszczało światło: to płonął i palił się z trzaskiem smolny świecznik w namiocie Tuhara Wilka. Białawy ognek migotał, skwierczał i dymił pożerając roztopioną smołę i rzucając niepewne, ponure światło na wnętrze bojarskiego namiotu. Pusto i nieprzytulnie było w namiocie, tak samo jak w tej chwili w duszy Tuhara Wilka. Chodził po namiocie, zaprzętnięty przykrymi myślami. Wzgardliwe słowa Burundy piekły jego dumną duszę. Były one dlań

jakby policzkiem — nagle przejrzał — i oto zrozumiał bojar, na jak śliską drogę trafił.

— Peta przyrzekł mi łaskę Dżingis-chana, — mruzczał — a ten nędznik traktuje mię jak psa. Czyżbym był naprawdę ich sługą, najniższym ze sług owego niewolnika? Peta przyrzekł dać mi w dziedzictwo wszystkie góry, wielkie księstwo karpackie, Burunda zaś grozi mi nie wiedzieć czym. I mógłby on, przeklęty, dotrzymać słowa! Cóż, czy mam go słuchać? A tak, oczywiście! Jestem w jego rękach! Jam niewolnik, jak rzekł ów niegodziwiec Maksym! Ot i przypomniałem sobie Maksyma, gdzież on? Czy nie można zrobić z nim tego, czego pragnie Burunda? Czy nie można by na przykład wymienić jego samego za wolne wyjście z tej pułapki? To dobra myśl!

Wezwał dwóch mongołów, którzy leżeli niedaleko jego namiotu, i kazał im znaleźć i przyprowadzić do siebie niewolnika Maksyma. Mongołowie poszli niechętnie, mrużąc sobie coś pod nosem — zdawało się, że powietrze tucholskiej doliny nie sprzyjało jakoś ostrej dyscyplinie mongolskiej.

Gdzież jednak był Maksym? Jak żyło mu się w niewoli?

Maksym siedział pośrodku tucholskiej ulicy, zakuty w ciężkie łańcuchy, właśnie raprzeciwno swej ojcowskiej chaty, zwrócony twarzą do tego samego podwórza, po którym przechadzał się jako chłopiec i chodził wczoraj jeszcze wolny, zajęty codzienną pracą — dziś snuły się po nim kupy ohydnych mongołów. Przywieziono go tutaj na koniu, skoro zaś nadszedł rozkaz zatrzymania się w tym miejscu i spalenia wsi, zrzucano go z konia na ulicę. Nikt nie zwracał nań uwagi, nie pilnował go — nie było przecież mowy o ucieczce, gdyż kupy mongołów snuły się raz po raz dokoła, krzycząc, niszcząc, szukając zdobyczy. Maksym nie wiedział o tym, co dzieje się wokół niego, i siedział nieruchomo na drodze, jak kamienny milowy znak. W głowie jego była pustka, myśli nie trzymały się kupy, nawet wrażenia nie chciały łączyć się w jednolity obraz,

tylko migotały i fruwały przed jego oczyma jak spłoszone czarne ptaki. Czuł wyraźnie jedno tylko, że łańcuchy uci- skają go niby żelazne zimne żmije i że wysysają one wszystką siłę z jego ciała, wszystkie myśli z jego mózgu.

Zabłysnęło nagle dokoła, dym walić zaczął po drodze gęstymi kłębami i zasłonił Maksyma, gryząc go w oczy, zapierając dech w piersiach. To płonęła Tuchla. Maksym siedział wśród pożogi i nie ruszał się. Wiatr zakręcił dymem, sypał nań iskry, buchał gorącym powietrzem. Maksym jakby nie czuł tego wszystkiego. Rad byłby od razu zginać, wzlecieć w powietrze taką oto złotą iskrą i zgasnąć tam, w jasnym, chłodnym błękicie, w pobliżu złotych gwiazd. Ale pęta, pęta! Jakże one go teraz straszliwie uci- skały! — Oto zajęła się jego ojcowska chata, płomień buchnął pod sam dach, owinał się ognistym węzem przed oknem, zajrzał drzwiami do chaty i wypędził stamtąd olbrzymi kłęb dymu, aby następnie samemu zamieszkać w Berkutowej siedzibie.

Maksym patrzył na pożar martwymi oczyma; zdawa- ło mu się, że coś obrywa się w jego piersi, coś w niej pło- nie i rwie się z bólu, a gdy runęły zgliszcza, zwała się zasłona, rozluźniły się węgly jego rodzimej chaty i z roz- palonej ognistej masy trysnęło pod niebo całe morze iskier, Maksym krzyknął boleśnie i zerwał się na równe nogi, aby dokądś biec, coś ratować, ale zrobiwszy jeden tylko krok upadł na ziemię bezsilny, niby podcięty, i zemdlał.

Pożar już wygasł, po dolinie powiał gorący, gorzki dym, ucichł już bojowy krzyk mongołów, którzy pod prze- wodem Burundy i Tuhara Wilka bili się z tucholanami przy wąwozie, rozjaśniło się już i wygwieździło nocne niebo nad Tucholszczyzną i w obozie mongolskim nastał spokój, a Maksym wciąż jeszcze leżał jak martwy pośród drogi, naprzeciwko zgliszcz swej rodzimej chaty.

Gwiazdy patrzyły żałośnie na jego bladą twarz po- krytą krwawymi smugami, pierś jego ledwo-ledwo wzno- siła się — jedyny znak, że leżał tutaj żywy człowiek, a nie

trup. W takim położeniu znaleźli go mongołowie i zrazu przelękli się bardzo, sądząc, że już nie żyje, że zadusił się w ogniu. Ale skoro opryskano go wodą, obmyto jego twarz i dano mu się napić, mrugnął oczyma i obejrzał się dokoła siebie.

— Żyw! żyw! — zawyli radośnie mongołowie i nieprzytomnego, osłabionego pochwycili pod ręce i pognali do namiotu bojara.

Tuhar Wilk przeraził się ujrawszy znienawidzonego przez siebie młodzieńca w takim strasznym, opłakanym stanie. Świeżo przemyta twarz była aż zielona z bladości, wargi popękane od żaru i pragnienia, oczy czerwone od dymu i mętne, niby szkło, od wyczerpania i udręki duchowej, nogi chwiały się pod nim jak pod stuletnim starcem, postawszy zaś przez chwilę, nie mógł się dłużej utrzymać i usiadł na ziemi. Mongołowie oddalili się, bojar patrzył na Maksyma długo w zadumie i milczeniu. Za co nienawidził on tego człowieka? Za co ściągnął na jego młodą głowę takie straszne nieszczęście? Czemu nie kazał go zabić od razu, lecz wydał go na śmierć powolną, a przecież niechybną, bo jednak mongołowie nie wypuszczą go na pewno żywcem ze swych rąk, lecz skoro sprzykrzy im się ciągnąć go z sobą, zarzną chłopca jak bydło i porzucą na drodze.

I za cóż to tak znienawidził tego biednego chłopaka? Czy za to, że uratował życie jego córce? Czy może za to, że go pokochała? Czy za jego iście rycerską odwagę i szczerść? Czy może za to, że chciał on z nim się zrównać? Otóż i zrównali się teraz. Obaj są niewolnikami i — obaj nieszczęśliwi.

Tuhar Wilk czuł, że gniew jego na Maksyma przygasa jakoś niby pożar, któremu nie starczyło już drzewa. Już poprzednio, zaraz po wzięciu Maksyma do niewoli, usiłował pozyskać jego względy nie przez współczucie, lecz przez chytrość, Maksym jednak nie chciał doń przemówić ani słowa. Co prawda, bojar dawał mu takie rady, których Maksym nie mógł posłuchać. Radził mu przejść na służbę do mongołów, poprowadzić ich przez góry i obiecywał za

to wielką nagrodę, w przeciwnym zaś razie groził, że mon-  
gołowie go zabiją. — Niech zabiją! — tak brzmiała jedyna  
odpowiedź, którą bojar usłyszał z ust Maksyma; dziwne  
jednak, że wówczas już owo dumne słowo, które świadczyło  
o stanowczości charakteru Maksyma oraz o jego wiel-  
kim umiłowaniu wolności, nie tylko nie rozgniewało bojara,  
lecz podobało mu się bardzo.

Teraz znów odczuwał wyraźnie, że coś, niby lód, top-  
nieje w jego sercu; teraz na zgliszczach wolnej Tuchli  
zaczynał rozumieć, że Tucholanie postępowali całkiem  
rozumnie i słusznie, a serce jego, aczkolwiek zaślepione  
żądzą władzy, nie było jeszcze tak dalece głuche na głos  
sumienia, aby tego nie uznać.

Bojar przemyślił dziś to wszystko i patrzył na siedzą-  
cego w namiocie, na wpół umarłego, wynędzniałego Ma-  
ksyma zupełnie już innymi oczami i z innym sercem. Pod-  
szedł doń, wziął go za rękę i chciał go podprowadzić i po-  
sadzić na stołku.

— Maksymie! — rzekł łagodnie — co się z tobą stało?

— Puść mię! — jęknął Maksym osłabionym głosem —  
pozwól mi umrzeć w spokoju!

— Maksymie, chłopcze, skąd do ciebie myśli o śmierci?  
Ja rozważam, jakby go uczynić wolnym, a on gada o śmier-  
ci! Wstań, usiądź tu na ławie, posil się, mam z tobą o czymś  
do pomówienia.

Jakkolwiek Maksym na wpół nie rozumiał bojara, na  
wpół zaś nie wierzył jego słowom i jego dobroci, to prze-  
cież własne osłabienie, głód i wyczerpanie domagały się  
zbyt głośno pokrzepienia dla jego ciała, aby mógł odrzu-  
cić bojarową gościnność. Kubek ognistego wina odświeżył  
go od razu, obudziwszy w nim jak gdyby żywą siłę do no-  
wego życia, kawał pieczonego mięsa uciszył jego głód.

Podczas gdy Maksym posilał się, bojar siedział na-  
przeciwko niego dodając mu łaskawymi słowami odwagi  
i ochoty do życia.

— Nierozumny chłopcze, — mówił — tacy jak ty

powinni żyć, a nie myśleć o śmierci. Życie — to droga rzecz, której nie kupisz za żadne skarby.

— Życie w niewoli nic nie warte, — odrzekł Maksym — lepsza śmierć.

— No... tak... rozumie się, — powiedział bojar — ale mówię ci, że możesz być wolnym.

— Zdradzając swój lud, prowadząc mongołów przez góry. Nie, lepiej umrzeć niż w ten sposób zapracować sobie na wolność!

— Nie o to teraz chodzi, — rzekł z uśmiechem bojar — lecz o to, że możesz być dziś jeszcze wolny bez tej, jak powiadasz, zdrady.

— Jak ? — zapytał Maksym.

— Wiedziałem, że będziesz ciekaw — uśmiechnął się znów bojar. — A więc taka sprawa, nieboże. Twoi tucholanie otoczyli nas w tej dolinie, zawalili wyjście. Rozumie się, że opór ich wart tylko śmiechu, bo przecież nas nie zatrzymają. Ale szkoda nam czasu. Chodzi tylko o to.

Oczy Maksyma rozjaśniły się radośnie, skoro usłyszał tę wieść.

— Powiadasz, że tucholanie was otoczyli? — krzyknął radośnie. — I nie możecie wyjść stąd? No to dobrze! Spodziewam się, że już nie wyjdziecie. Tucholanie to lud o mocnym chwycie, gdy raz kogo pochwyci w swe ręce, nierad go już puszcza.

Te - te - te! — przerwał mu bojar. — Nie ciesz się, chłopcze, zawczasu. Nie takie mamy wojsko, aby garstka twoich tucholan mogła pochwycić je w ręce! Powiadam ci, że nie chodzi o to, żeby nas tutaj nie pojmano, lecz o czas, o każdą chwilę! Musimy się śpieszyć.

— I cóż ja mogę wam poradzić w tej sprawie ?

— Ot co. Zamierzam dziś jeszcze pójść do twoich tucholan dla prowadzenia układów: chcę przyrzec im ciebie w zamian za wolne przejście. Mam więc nadzieję, że powiesz mi, jakimi słowami trafić do serca twoich obywateli i twego ojca, aby zgodzili się na naszą propozycję.

— Daremny twój trud, bojarze! Tucholanie nie zgodzą się na taką zamianę.

— Nie zgodzą się? — zawołał bojar. — Czemuż się nie zgodzą?

— Tucholanie bić się będą do ostatniego, aby nie przepuścić was przez góry. Mielizby może za taką nędzną zamianę, za moją osobę, dopuścić się zdrady swoich górskich i zagórskich braci, których wsie musiałyby wówczas ulec zniszczeniu, tak samo jak nasza Tuchla?

— Będą oni również zniszczeni, głupi chłopcze! — rzekł bojar. — Zbyt mała jest przecież siła twoich tucholan, aby nas mogła zatrzymać.

— Nie chwał, bojarze, dnia przed wieczorem! Na cóż zda się wielka siła tutaj, gdzie sama przyroda zatrzymuje was swoimi ścianami i skałami.

— A ty powiedz mi jednak, jak przemówić do twego ojca i do tucholan, tak aby trafić do ich serc.

— Mów szczerze, rzetelnie, oto jedyne czarodziejskie słowo.

— Oj, nie tak to, chłopcze, nie tak! — rzekł bojar z niezadowoleniem. — Nie dzieje się to u was po prostu. Ojciec twój jest starym czarownikiem, zna on takie słowo, co trafia każdemu do serca, musiał i ciebie nauczyć tego słowa. Przecież bez takiego słowa nie mógłbyś przeciągnąć na swoją stronę moich łuczników, którzy bili się z mongolami za darmo z taką wściekłością, z jaką nie walczyliby z pewnością za najlepszą zapłatę.

Maksym uśmiechnął się.

— Dziwny z ciebie człowiek, bojarze! — rzekł. — Nie znam żadnego podobnego słowa, ale powiem ci wyraźnie, że gdybym i znał, nie zdradziłbym ci go, abyś nie mógł namówić tucholan na taką zamianę.

Dumny bojar wybuchnął gniewem.

— Chłopcze! Uważaj na to, ktoś jest i gdzie się znajdujesz! — krzyknął. — Pomnij, że jesteś niewolnikiem, że życie twoje zależy od woli pierwszego lepszego mongola.

— Co mi tam po moim życiu! — odrzekł spokojnie

Maksym. — Nie chodzi mi o życie! Kto choć przez chwilę doświadczył niewoli, ten zaznał doli gorszej od śmierci.

W tej chwili odchyliła się zasłona namiotu i szybkim krokiem weszła do namiotu Mirosława. Obejrzała się szybko dokoła i nie zwracając uwagi na ojca rzuciła się ku Maksymowi.

— Ach, otóż on, otóż on! — krzyknęła. — Coś mię jak gdyby ciągnęło tutaj! Sokole mój, Maksymie! Co się z tobą dzieje?

Maksym siedział jak osłupiały nie odwracając oczu od Mirosławy. Rękę jego trzymała w swojej. Słowa jej były dlań niby dzwon wielkanocny, niby ożywcza rosa dla zwiędłego kwiatu. A ona jak gołąbka tuliła się do niego, oblewała łzami jego ciężkie kajdany, zmywała z jego rąk zaschłą krew. Jak radośnie, jak ciepło zrobiło się Maksymowi na sercu przy jej zbliżeniu, za dotykem jej miękkiej ręki! Jak gorąco poczęła tętnić krew w jego piersi! Jak potężnie obudziła się miłość do życia! A tu łańcuchy cisną niemiłosiernie, przypominają mu, że jest niewolnikiem, że nad jego głową wisi krwawy nóż mongolski! I to wspomnienie w tej szczęśliwej chwili wpełzło jak żmija do jego serca, łzy trysnęły z jego oczu.

— Mirosławo, — rzekł odwracając się — czyś przyszła tutaj po to, aby zadać mi cięższą udrękę? Byłem już przygotowany na śmierć, a tyś obudziła we mnie znowu miłość do życia!

— Miły mój, — rzekła Mirosława — nie trać nadziei. Po to szłam tutaj do nieprzyjacielskiego obozu przez wszelkie niebezpieczeństwa, aby ci powiedzieć: nie trać nadziei!

— Na co mi nadzieja? Nadzieja nie rozbije tych łańcuchów.

— Ale je rozbije mój ojciec.

— O, twój ojciec! Tak, powiada on, że gotów jest to zrobić, ale żąda ode mnie takiej przysługi, jakiej nie mogę mu wyświadczyć.

— Jakiej przysługi?

— Pragnie on pójść do tucholan i zawrzeć z nimi taki układ, żeby w zamian za mnie wypuścili mongołów z tej doliny i żąda ode mnie tego czarodziejskiego słowa, które by skłoniło do tego tucholan.

Mirosława spojrzała po raz pierwszy z podziwem na swego ojca, a podziw ten im dalej, tym bardziej przechodził w radość.

— Ojczy, — zapytała — czy to prawda ?

— Prawda — rzekł Tuhar Wilk.

— I ty myślisz, że Maksym zna takie słowo ?

— Musi znać. Przecież za pierwszym razem przykuł jakby i ciebie do siebie. Nie mogło się to stać bez czarów.

Mirosława spojrzała na Maksyma z uśmiechem, pełnym bezgranicznej miłości, potem zaś rzekła odwracając się do swego ojca:

— Czy masz już pozwolenie naczelnika na układy ?

— Jeszcze nie, ale potrwa to chwilę. Namiot jego znajduje się przed moim.

— Więc idź. Ja nakłonę tymczasem Maksyma, aby powiedział ci to słowo.

— Ty nakłonisz ?

— Zobaczysz, idź tylko!

— Zaczarowana dziewczyna! — mruzczał bojar sam do siebie, wychodząc z namiotu. — Zaczarowana, jakże inaczej! Rzuca mu się sama na szyję!

— Serce moje, Maksymie! — rzekła po jego wyjściu Mirosława obejmując rękami szyję Maksyma i całując jego blade, spieczone usta — nie martw się! Mongołowie stąd nie wyjdą, sążone im wszystkim tu zginać!

— Och, Mirosławo, moja gwiazdo! — rzekł Maksym ze smutkiem — rad byłbym w to wierzyć, lecz nadto wielka jest ich siła, za słabi są nasi tucholanie.

— Przyszli nam z pomocą ludzie zza gór i górale.

— Nie mają dobrej zbroi.

— Nie bój się i o to. Słuchaj tylko: setki siekier stuka w lesie, jeszcze chwila, a setki ognisk zapłoną dookoła doliny, a przy każdym ognisku wyrabiać będą nasi

majstrowie maszyny, przy pomocy których można będzie rzucać kamienie aż do środka mongolskiego obozu.

— I któż to wymyślił? Kto nauczył naszych majstrów?

— Ja, moje serce. Przypatrywałam się nieraz takim maszynom, co stoją na murach Halicza. Zanim jeszcze wszędzie słońeczko spoza Zełemenia, pięćdziesiąt takich maszyn ciskać będzie kamienie na głowy mongołów.

Maksym objął radośnie Mirosławę i mocno przycisnął ją do serca.

— Życie moje! — rzekł — ty będziesz zbawicielką naszej Tucholszczyzny!

— Nie, Maksymie! — odrzekła Mirosława — ja nie będę zbawicielką Tucholszczyzny, lecz twój ojciec. Co znaczą moje nędzne maszyny wobec nieprzyjacielskiego wojska? Twój ojciec wyprowadzi przeciwko nim nie równą siłę, lecz taką, przeciwko której nie ostanie się żadne wojsko.

— Jaką siłę? — zapytał Maksym.

— Słuchaj! — powiedziała Mirosława. Cisza zapanaowała dokoła, jeno gdzieś hen, hen w górach potoczył się głuchy huk grzmotu.

— Grzmi, — rzekł Maksym — no i co z tego przyjdzie?

— Co z tego przyjdzie? — żywo odrzekła Mirosława — toż to śmierć mongołów! To większy niszczyciel od nich i taki właśnie, który będzie po naszej stronie. Słuchaj jeno!

I obejrzała się dokoła, choć namiot był całkiem pusty, następnie zaś, jakby nie ufając owej ciszy i pustce, nachyliła się do twarzy Maksyma i szepnęła mu na ucho słów kilka. Maksym zerwał się, jak gdyby szarpnięty potężną ręką, aż zabrzęczały na nim łańcuchy.

— Dziewczyno! Czarodziejska zjawo! — zawołał wpatrując się w nią na wpół z trwogą, na wpół z głębokim szuncunkiem. — Ktoś ty i kto ciebie przysłał z takimi wieściami? Albowiem widzę teraz, że ty nie możesz być Mirosławą, córką Tuhara Wilka. Nie, tyś pewno duchem owego Stróża, co go zważy opiekunem Tuchli.

— Nie, Maksymie, nie mój miły — rzekła dziwna

dziewczyna. — To ja sama, ta sama Mirosława, która tak bardzo cię miłuje, która rada by oddać swe życie, aby cię uszczęśliwić!

— Jak gdybym mógł być szczęśliwym bez ciebie!

— Nie, Maksymie, posłuchaj tylko jednego słowa, które ci powiem: uciekaj z tego obozu i to zaraz!

— Jak uciekać? Toż warta nie śpi.

— Warta cię przepuści. Widzisz, że mię przepuściła! Zrób jeno co następuje: przebierz się w moją odzież i weź ten złoty pierścień: dał mi go naczelnik mongołów jako znak zapewniający swobodę oraz bezpieczne przejście. Pokażesz go wartownikom i oni cię przepuszczą.

— A ty?

— O mnie się nie bój. Ja zostanę tu z ojcem.

— Ależ mongołowie dowiedzą się, żeś ty mię wypuściła, a wówczas nie oszczędzą cię. O nie, nie chcę tego.

— Ależ nie bój się o mnie. Ja potrafię sobie poradzić!

— Ja również! — odrzekł uparcie Maksym.

W tej chwili wszedł bojar ponury i czerwony. Chmura gniewu i niezadowolenia zawisła na jego czole. Burunda okazał się dlań jeszcze niełaskawszym, potraktował wyrzutami jego radę, żeby wymienić Maksyma, i ledwo-ledwo zgodził się na nią. Bojar zaczynał coraz wyraźniej odczuwać jakąś ciasnotę, jak gdyby tuż-tuż dokoła niego znajdowały się i zwierzały się coraz ciaśniej sztaby żelaznej klatki.

— A co? — rzekł ostro, nie patrząc ani na córkę, ani na Maksyma.

Szczęśliwa myśl błysnęła w głowie Mirosławy.

— Wszystko dobrze, ojczy — odrzekła — jeno...

— Jeno co?

— Maksymowe słowo odznacza się tym, że nie ma ono mocy w ustach innego człowieka: posiada ono siłę wówczas tylko, gdy on sam może je wypowiedzieć.

— No to pal go diabli! — odburknął gniewnie bojar.

— Nie, ojczy, poczekaj, co ci powiem. Każ rozkuć jego łańcuchy i idź z nim do tucholan. Oto pierścień od Pety;

warta przepuści go, gdy mieć będzie ten pierścień.

— O, dziękuję ci, córuchno, za dobrą radę! „Zaprowadź go do tucholan“ — znaczy to, wyrwij sobie sam z rąk ostatnią rękojmię powodzenia. Tucholanie wezmą jeńca, mnie zaś wypędzą! Nie, to się nie stanie. Idę sam i bez jego słowa.

Zasmuciła się Mirosława. Jasne jej oczy pokryły się łzami.

— Sokole mój, — rzekła przypadając znów do Maksyma — zrób tak jak ja ci radzę: weź ten pierścień!

— Nie, Mirosławo, nie bój się o mnie! — rzekł Maksym. — Wpadłem już na pomysł, wiem, co mam robić. Idź i pomagaj naszym i niechaj nasz Stróż wam pomaga.

Ciężkie było pożegnanie Mirosławy z Maksymem. Pozostawiała go przecież niemal na pewną zgubę, choć i usiłowała, jak mogła, nie pokazywać tego po sobie. Pocałowała go ukradkiem i ścisnąwszy gorąco jego rękę wybiegła z namiotu wraz ze swym ojcem. A Maksym pozostał sam w bojarskim namiocie, z sercem trzepocącym się od jakowejś niejasnej mieszaniny radości, trwogi i nadziei.

## VII.

— Cóż to za stuk w lesie? — zapytał bojar swą córkę idącą obok niej przez mongolski obóz.

— Drwa rąbią — odpowiedziała krótko Mirosława.

— Teraz? W nocy?

— Niedługo będzie dzień.

I rzeczywiście, ledwo Mirosława to wyrzekła, gdy wtem na wysokich kamiennych urwiskach, które ścianą okrażały tucholską kotlinę, tu i tam zamigotały iskry — to tucholanie krzesali ogień i rozkładali ogniska. Upłynęło niewiele czasu, a już dokoła całej doliny zapałały długim szeregiem ogniska, jak gdyby zabłyszczały wśród mgły oczy olbrzymich wilków, które gotowały się do skoku w dolinę i do pożarcia mongolskiego wojska.

Koło każdego ogniska snuły się gromadami jakieś ciemne postacie. Uderzenia siekier zabrzmiały ze zdwojoną siłą.

— Cóż oni robią? — pytał córkę bojar.

— Obciosują drzewa.

— Na co?

— Zobaczysz, jak przyjdiesz.

Szli dalej przez obóz. Gdzieniegdzie zatrzymywała ich warta — trzeba było pokazywać znaki od naczelnika, aby ich przepuszczono. Wartownicy patrzyli z trwogą na ogniska, budzili swoich naczelników, lecz ci widząc, że tucholanie zachowują się spokojnie, kazali im nie wszczynać alarmu, a mieć się tylko na ostrożności. Że rozpalili tak wiele ognisk, to lepiej jeszcze dla Mongołów: nie napadną znieścacka. Można spać spokojnie, póki płoną te ognie, bo i tak jutro czeka wojsko ciężkie zadanie. A Tuhar Wilk z córką minęli już obóz i przeszedłszy nie bardzo szeroki kawał pola doszli do stromej, kamiennej ściany. Długo chodzili szukając ścieżki pod górę, póki w końcu Mirosława nie odnalazła jej między krzakami i paprociami. Z trudem poczęli oboje wdzierać się pod górę.

— Kto idzie? — zabrzmiały w górze głosy od strony ogniska.

— Swoi — rzekła Mirosława.

— Co za swoi? — krzyknęli tucholanie zastąpiwszy im ścieżkę. Zaraz też poznali Mirosławę, która szła na przodzie.

— A kto za tobą?

— Mój ojciec. Mongolski bagadyr wysłał go w sprawie rokowań pokojowych ze starcami.

— Po kiego diabła nam rokowania? Niech no tylko szybko wzejdzie na niebo słońce, a będziemy z nimi inaczej rokowali!

— Ot, jacy wy odważni! — rzekł uśmiechając się Tuhar Wilk. — No, no, niedługo czekać będziecie na taką radość, tylko nie wiadomo, czy będzie to taka radość dla

waszych matek, gdy ujrzą głowy swoich synów na mongolskich spisach.

— Przekłete niech będą słowa twoje, kruku! — krzyknęli tucholanie otaczając bojara.

— No, no, — udobruchiwał ich Tuhar Wilk — ja wam tego nie życzę, ale mówię tylko, że nie byłoby to dobre. I właśnie, aby uchronić was od takiego losu, chciałbym nawiązać układy z waszymi starcami. Bo żal mi was, młode, nierozważne dzieci! Gotowiście iść ślepo na śmierć nie pytając się, czy będzie z tego dla kogo jakiś pożytek, czy też nie. Ale starzy powinni to rozważyć.

Tak gwarząc zbliżył się bojar do ogniska, przy którym jedni majstrowie obciosywali drzewo, inni w obciosanych już pniach wydłubywali dziury, jeszcze inni zaś wiercili otwory i przyciosywali czopy.

— Cóż to wy robicie? — zapytał majstrów bojar.

— Zgadnij, kiedyś mądry! — odpowiedzieli tamci drwiąco, zbijając razem poobciosywane drzewo na podobieństwo wrót z mocnymi poprzeczkami i związując parę takich wrót na górze i na dole silnymi poprzeczkami z grubych bali.

Bojar spojrział i uderzył się z podziwu rękami po polach.

— Katapult! — zawołał. — Chłopcy, a kto was nauczył sporządzać taki przyrząd?

— Byli tacy, co nas nauczyli — odrzekli majstrowie i zaczęli z mocnego bukowego pnia wyciosywać coś na podobieństwo olbrzymiej łyżki, która rękojeścią miała być wsunięta w grubą, mocno skręconą linę, napiętą między stycznymi przednich wrót i skręconą coraz to mocniej przy pomocy dwóch korb przytwierdzonych do słupów. W szerokie zaś wyżłobienie na drugim końcu wkładać się miało kamienie; skręcone powróło siłą swej prężności rzucać miało kamienie z łyżki daleko na mongołów. Tuhar Wilk obejrzał się dokoła. Koło każdego ogniska majstrowie (a w Tucholszczyźnie każdy chłop był majstrem) — szykowali takie same narzędzia, a młodzieńcy, kobiety i dzieci kręciły powróśla.

— No, gorąco będzie naszym mongołom zdobywać pod takimi przyrzadami wyjście z tej jamy! — pomyślał Tuhar Wilk idąc z córką ubitą dróżką dalej w las, do polany, wśród której gorzało wielkie ognisko, wokół niego zaś siedziała zgromadzona rada tucholskich starców.

— Mirosławo, — rzekł Tuhar Wilk po chwilowym milczeniu — czyś to ty nauczyła ich robić katapulty?

— Ja — odpowiedziała Mirosława i uważnie spojrzała na ojca spodziewając się wybuchu gniewu. Ale nie! Po twarzy bojara przemknął wyraz jakiegoś zadowolenia.

— Dobrze, córko — rzekł krótko.

Mirosława zdziwiła się nie wiedząc, co oznacza ta zmiana w usposobieniu jej ojca, nie wiedząc, że wiara jego w powodzenie mongolskiego pochodu, a tym bardziej w dotrzymanie mongolskich obietnic mocno się już zachwiała i że w tym wypadku z konieczności musiałby przysunąć się do gromady i że postępek córki był dla niego pożądanym oparciem.

Zbliżyli się już do polany, na której całą noc siedzieli bezsennie tucholscy starcy zajęci radą. Była to rozległa polana, pochylona trochę na południe, od północy zaś zamknięta stromą skałą miękkiego karpackiego łupka. Olbrzymie świerki otaczały polanę półkolem, od wschodu, południa i zachodu, tak że słońce mogło do niej zajrzeć tylko w swym południowym punkcie zenitalnym. Dawno już temu została polana wymoszczona kamiennymi płytami, które porosły teraz mchem i krzakami pierzastej paproci. Jedna tylko wydeptana ścieżka wiodła przez środek polany do głębokiej jaskini wykutej w skale, podobnej do lochu otwartego całkiem na południe. Ściany lochu były szare, bez żadnej ozdoby, pod spodem zaś widniały wykute w kamieniu ławy i zagłębienia; tutaj też kamień był czerwony, przepalony, a na paleniskach widoczne jeszcze były ślady ognia. Na pułapie tylko można było ujrzyć jedyną ozdobę, wykutą z kamienia wypukłą półkulę, wielkości dobrego bochna chleba, obwiedzioną niby koroną, błyszczącą złotą obręczą.

Była to dawna tucholska gontyna, w jakiej przodkowie obecnego pokolenia ślali swoje modły do najwyższego twórcy życia, do Darzboga-Słońca, którego obraz oznaczała wykuta na powale, złotem obwiedziona półkula. Choć chrześcijańscy zakonnicy ochrzczili już dawno tucholski lud, mimo to jednak, modląc się w korczyńskiej cerkwi do chrześcijańskiego boga, nie porzucił on przez długie jeszcze czasy również swoich pradziadówskich bogów i droga do „Jasnej polany“ nigdy nie zarastała, nie gasł nigdy wieczny ogień pośród polany (stąd nazwa jej „Jasna polana“), a i przed niewielkimi bukowymi ołtarzami Łady i Dida dymił się dość często pachnący jałowiec i trzepotały się zarzynane na ofiarę gołębie — dar tucholskich dziewcząt i chłopców. Lud zapominał jednak powoli o dawnych bogach. Księża coraz surowiej pilnowali, aby ludzie nie modlili się po dawnemu, młodzież przestała przynosić dary Ładzie i Didowi; dzieci wyrastały nie słysząc nic o dawnych bogach i dawnych zwyczajach; tylko między starcami zachowały się jeszcze gdzieś szczątki dawnej, wolnej, prawdziwie gromadzkiej religii, która pozwalała każdej gromadzie mieć swojego osobnego boga (tak jak Tuchla miała swojego Stróża), która nie straszyla ludzi mękami i karami po śmierci, lecz za największą karę uważała właśnie samą śmierć, śmierć ciała i duszy dla ludzi niesprawiedliwych. Nowa religia, zrodzona daleko na wschodzie, zapanowała na naszej ziemi, a raczej zmieszała się z naszą dawną religią i tylko to zmieszanie się dało jej możliwość zżyć się spokojnie z poglądami ludu. Zwolna wymierali starcy znający dawną wiarę, a choć i żyli jeszcze niektórzy, to nie śmieli już wyznawać jej otwarcie, nie śmieli zaszczepiać jej młodemu pokoleniu, lecz żyli sobie samotnie, chowając w sercu swoją wiarę, z tym smutnym przeświadczeniem, że zejdzie ona wraz z nimi do grobu.

Jednym z ostatnich jawnych zwolenników starej wiary był na naszej Rusi Zachar Berkut. I co najdziwniejsze, że wyniósł on to przywiązanie ze Skitskiego klasztoru, od starego mnicha, Akyntija. Czy stary, dziwny lekarz zwy-

czajnie tylko opowiadał swojemu uczniowi o dawnej wierze, tak bliskiej przyrodzie i jej siłom, czy może i jemu podobała się więcej ta wiara, w przeciwieństwie do surowego bizantyńskiego chrześcijaństwa — dość, że z pobytu u starego mnicha wyniósł Zachar wielką przychylność dla starej wiary i przysięgał, że do śmierci będzie jej wierny. Zachar wiedział, że w jego Tuchli istnieje „Jasna polana“, na której wygasł już dawno wieczny ogień i nie paliły się pachnące jałowce, i którą korczyńscy księża okrzykli jako miejsce zakłęte i nieczyste. Choćby nie wiedzieć jak opuszczona była Jasna polana, to jednak nikt nie ośmielił się dotąd dotknąć obrazu Słońca, to jest złotej blachy, którą był on okuty, i wciąż jeszcze jaśniał wśród powały gontyny ten złoty obraz oczekując promieni południowego słońca, aby się w nich rozżarzyć tysiącem iskier. Zachar Berkut przyjął na siebie dobrowolnie dozór nad starą świątynią: ścieżka, która prowadziła w poprzek polany do pieczary, wydeptana była jego nogami. Każdej wiosny, w przeciągu przeszło pięćdziesięciu lat, Zachar wychodząc w poszukiwaniu leków przebywał tydzień na Jasnej polanie, zatopiony w modłach i dumach, i po każdym takim pobycie wracał do wsi pokrzepiony na duchu, z jaśniejszymi i czystszyimi myślami.

Tucholanie widzieli nieraz w tym czasie ze swojej doliny, jak ponad wierzchołkami świerków, które okrężały Jasną polanę, wił się niebieskawymi kłębkami dym wonnego jałowca i mówili do siebie: „To stary starym modli się bogom“. I mówili to bez drwiny, bez nienawiści, bo Zachar, choć nie nauczał nikogo starej wiary, to za to tym pilniej nauczał wszystkich szacunku dla obcych przekonań i dla obcej wiary.

Tutaj to, na tej polanie, zeszli się tej strasznej nocy tucholscy starcy. Pośród polany gorzało wielkie ognisko, tajemniczo szumiały dawne świerki, jakby przypominając dawne czasy: w odblasku ogniska jaśniał w jaskini krwawym światłem złoty obraz słońca: starcy siedzieli w zadumie, słuchając stukania siekier po lesie i opowiadań

starego Zachara o dawnych, dawnych czasach. Dziwny jakiś duch wstąpił teraz w starego. On, który nigdy nie lubił mówić o dawnej wierze, teraz rozgadał się, i to z takim serdecznym żalem, z jakim mówił chyba o najbliższych sobie i najdroższych rzeczach. Opowiadał o dziejach Darzboga, o zwycięstwach Światowida, o tym, jak trzy święte gołębie, Darzbóg, Światowid i Perun stworzyli ziemię z piaskowego ziarna, jak Darzbóg trzy dni szukał na dnie przepaści, aż znalazł trzy ziarenka: jedno ziarno pszenicy, drugie żyta, a trzecie jęczmienia i darował je pierwszemu człowiekowi, Didowi i jego żonie, Ładzie. Jak Perun darował im iskrę ognia, a Światowid włos, z którego za jego błogosławieństwem powstała krowa i pastuch, jakiego nazwano Włosem. I dalej opowiadał Zachar, o życiu pierwszych ludzi, o wielkim potopie, od którego ludzie chowali się po górach i pieczarach, o starych olbrzymach i ich królu, tucholskim Strózu, który otworzył tucholskie jezioro. Starcy słuchali tych opowiadań niby wieści o jakimś nowym, nieznanym świecie. Wiele z tych rzeczy, o których nie rozumiejąc mówili oni i śpiewali w pieśniach, stawało teraz przed ich oczyma w jasnej postaci i w jednolitym związku i nawet sam Zachar Berkut wydał im się ostatnim z tych dobroczynnych olbrzymów-stróżów tucholskich, o których dobrych czynach opowiadać sobie będą tak samo przyszłe pokolenia.

Nagle zachrzęściły na ścieżce suche gałęzie i z leśnego mroku wynurzyli się razem Mirosława i Tuhar Wilk. Mirosława podeszła wprost do starego Zachara, a bojar zatrzymał się koło ogniska.

— Ojczy, — rzekła Mirosława do Zachara — widziałam twój syna!

— Mego syna? — odpowiedział Zachar spokojnie, jakby chodziło o umarłego.

— Tak, przy pomocy tego oto pierścienia przeszłam mongolski obóz i widziałam go. Miejmy nadzieję, że niedługo znajdzie się znów na wolności.

— Trudno, córko, trudno! Ale któż to przyszedł z tobą jeszcze?

— To ja, starcze, — rzekł Tuhar Wilk przystępując do niego — czy poznajesz mnie?

— Poznaję twarz twoją, tyś był bojarem Tuharem Wilkiem. Cóż cię do nas sprowadziło?

— Przybyłem do was, tucholscy starcy, w poselstwie od wielkiego Burundy-bagadyra, wodza mongolskiej armii.

— Czegóż chce od nas Burunda-bagadyr? — spytał Zachar

— Burunda-bagadyr rozkazał wam powiedzieć, że armia jego jest wielka i niezwyciężona, że na próżno robicie zasieki w waszych wawozach, na próżno budujecie maszyny do rzucania kamieni — nie poradzicie w żaden sposób przeciwko jego wojsku.

— Widzę, że twój Burunda zaczyna się nas obawiać, kiedy chce nas zastraszyć. To dobry znak. Mów dalej.

— Nie, starcze, nie powinieneś lekceważyć słów mongolskiego wodza. Jego groźba to połowa kary, a kara jego straszna jak kara boża. Słuchajże, co rozkazał wam rzec moimi ustami Burunda-bagadyr. Celem jego pochodu jest kraj węgierski, dziedzictwo Arpada, który był poddanym wielkiego Dżingis-chana, a teraz nie chce uznać jego zwierzchności. Aby ukarać nieposłusznego, wielki Dżingischan wysłał armię swoją na zachód słońca. Czyż waszą rzeczą jest wstrzymać tę armię w jej pochodzie? Burunda-bagadyr, wódz części tej armii, chciałby rozstać się z wami po dobremu. W rękach jego znajduje się wasz zakładnik — jest nim twój syn, starcze. Burunda-bagadyr każe wam obwieścić: rozwalcie wasze zasieki i wypuście mongolską armię z waszej doliny, a w zamian za to gotów jest wam oddać waszego zakładnika żywego i zdrowego. Rozważcie dobrze, jak korzystną jest dla was łaska Burundy! Opór wasz jest daremny — tak czy owak Mongołowie rozwalą wasze zasieki i pójdą swoją drogą. Nie chcą oni wszakże tracić czasu w waszej dolinie, nie chcą przelewać krwi waszej i gotowi są oddać wam zakładnika za wolne przejście.

W przeciwnym razie, czeka go — rozumie się — niechybna śmierć i to wśród strasznych męczarni, was zaś krwawa rzeź, w której zostaniecie pobici mimo wszystkich waszych sposobów. Wybierajcież, co dla was jest lepsze ?

Z uwagą słuchali tucholscy starcy słów Tuhara Wilka i wywarły one rzeczywiście na niektórych wrażenie. Zauważył to Zachar i rzekł:

— Czcigodni bracia, czy chcecie szczerze rozważyć to, co ofiarowuje wam Burunda, czy może jednomyślnie wydadacie o tym swój sąd ?

— Rozważymy, rozważymy! — rzekli starcy. Zachar poprosił tedy Tuhara Wilka, by pozostawił ich na chwilę samych. Bojar oddalił się dumnie w towarzystwie swojej córki.

— Zacharze, — rzekł jeden z obywateli — chodzi tutaj o życie albo śmierć twojego syna. Czy nie lepiej było by odstąpić nam od niepewnego boju i uratować chłopca ?

— Nie chodzi tu o mojego syna — odpowiedział twardo Zachar. — Gdyby szło rzeczywiście o niego, to rzekłbym wam: nie mam syna, mój syn poległ w boju. Chodzi tutaj jednak o naszych sąsiadów, górali i tych zza gór, którzy zdali się na naszą obronę i teraz musieliby wszyscy bez przygotowania zginąć od strzał mongolskich. Dlatego mówię wam, nie dbajcie o mojego syna, a rozstrzygajcie tak jakby spoczywał już w grobie.

— Ale mimo to, Zacharze, niepewna jest walka z taką liczbą mongołów.

— No, to poginiemy w boju wszyscy do ostatniego, a wtedy niech sobie mongołowie idą, gdzie zechcą, po naszych trupach. Wtedy dopiero spełnimy swój obowiązek. A teraz zawierać z nimi pokój, i to jaki: zamienić jednego chłopca na ruinę naszych sąsiadów — było by hańbą i zdradą. A kto to może wiedzieć, czy walka z mongołami jest tak niepewna? Stanowisko nasze jest silne, mongołowie zamknięci są w kamiennej klatce. Możemy odeprzeć ich najzawziętsze ataki z małymi stratami. Ale cóż — i tego nie będzie trzeba. Puścimy na nich tej nocy swego sojusz-

nika, wobec którego nie ostoi się żadna ludzka siła, choćby była i po dziesięćkroć silniejsza od mongolskiej.

— Radzisz nam więc odrzucić warunki Burundy ?

— Najbardziej stanowczo.

— I wydać twego syna na pewną zagładę ?

— Nie wspominajcie o moim synu! — krzyknął boleśnie Zachar. — Kto w takiej chwili przypomina mi o nim, ten staje po stronie ojcowskiego serca przeciwko memu rozumowi. Rozum mówi: odrzuć pokój! A co mówi moje serce, to już moja rzecz i nic nikomu do tego!

— To niech się stanie według twojej woli! — rzekli starcy. — Skoro przeznaczone mu jest zginąć, to my nic nie poradzimy na to; skoro nie, wtedy uratuje się i tak z paszczy okrutnego wroga.

Zawołano bojara i Zachar powstał, aby ogłosić mu odpowiedź gromady. Mirosława patrzyła na niego z śmiertelną trwogą w sercu; spodziewała się jeszcze, biedactwo, że tucholanie zechcą wykupić jej Maksyma.

— Zachwalałeś nam, bojarze, rozumnie, oczywiście rozumnie na swój sposób, pokój z twoim wodzem. Nie dziwimy się też tobie: twoim obowiązkiem było tak mówić, spełniać we wszystkim wolę tego, komu służysz. Posłuchajże teraz, co na to mówi nasz chłopski, gromadzki rozum: gdyby sprawa była tylko między mną i twoim bagadyrem, oddałbym chętnie za uwolnienie syna wszystko, co posiadam, nawet swoją własną, starą głowę. Ty proponujesz nam jednak nierówną zamianę, z której skorzystać mogę tylko ja sam i mój ród, ale stracić musi za to nie tylko jedna gromada, lecz wszystkie te gromady, przez które przechodzić będzie wasze wojsko. Czy można robić takie zamiany? Jaką korzyść będą miały z mego syna górskie i zagórskie gromady? A wypuściwszy was z tej doliny sprowadzimy zagładę na te sąsiednie gromady, złączone z nami. Myśmy zobowiązali się bronić ich od waszego napadu i mając takie nasze słowo, przysłali nam oni swoją pomoc: pięciuset doborowych młodzieńców. Obowiązkiem naszym jest wytrwać na naszym stanowisku do

ostatniej chwili i tak też uczynimy. Być może, że sądzone wam jest zwycięstwo nad nami, i w tym wypadku nie zatrzymamy was. Wiedźcie tylko, że jedynie po trupie ostatniego tucholanina będziecie mogli wyjść z tej doliny. A kto wie, może sądzone nam zwycięstwo, wtedy wiedźcie i wy, że wszedłszy w naszą dolinę weszliście wszyscy do mogiły, że nawet trupy wasze nie wydobędą się z niej nigdy. Albo poginiemy my wszyscy, albo wy — innego wyboru nie ma. Oto nasza odpowiedź.

Twarz Zachara pałała dziwnym ogniem w chwili, gdy wypowiadał te gniewne słowa, tak że bojar, zapatrzywszy się na tego wysokiego starca z wyciągniętą przed siebie ręką, nie mógł zdobyć się na żadną odpowiedź. Zrozumiał, że daremna jest tutaj jakaś dalsza rozmowa, toteż odwrócił się w milczeniu i odszedł. Martwa cisza zaległa na zebraniu, tylko ogień trzeszczał i dźwięczały nieustanne uderzenia siekier, za pomocą których przygotowywano zabójcze przyrządy przeciwko mongołom.

— Ojczy! — krzyknęła naraz Mirosława zbolełym głosem. — Ojczy! Wróć się! — Pobiegnęła za nim i chwyciła go za rękę: dziecięca miłość przemówiła raz jeszcze w jej sercu potężnym, nieprzygłuszonym głosem. — Wróć się, ojczulku! Pozostań tutaj między swoimi ludźmi! Stań z nami razem do boju z najeźdźcami jak brat obok brata, a oni wybaczą ci wszystko, co było! A tam — czego się tam możesz spodziewać? Oni zdradzą ciebie, upoją obietkami i zabiją! Ojczy, nie idź więcej do mongołów, tam cię czeka śmierć!

Bojar zawahał się widocznie, lecz tylko na chwilę. Potem przytulił Mirosławę do piersi i rzekł z cicha, na pół surowo, na pół łagodnie:

— Głupia dziewczyno, nie nadszedł jeszcze czas dla mnie. Jeszcze nie przepadła cała nadzieja mongołów. Trzeba korzystać z tego, co jest w rękach. Ale gdyby tam się nie powiodło....

— Nie, ojczulku — zaszepotała przez łzy Mirosława. —

Porzuć takie myśli! Kto wie, może wtedy będzie już za późno!

— Nie bój się, nie będzie za późno. Zostań tutaj i brataj się za mnie z tucholanami! Ja zaś muszę tam iść. Nie zapominaj, dziewczyno, że tam... ten... twój Maksym i kto wie, może my się jeden drugiemu na coś przydamy. Bywaj zdrowa!

Tuhar Wilk znikł w zagajniku śpiesząc ścieżką do ogniska nad obrywem, aby po jego zboczu zejść do mongolskiego obozu. Przy ognisku obejrzał raz jeszcze gotową już prawie katapultę, spróbował powróż i pokiwawszy głową rzekł: „słaba“, potem zaś, prowadzony przez tucholską wartę, puścił się w dolinę wąską, ukośną ścieżką.

Tymczasem na Jasnej polanie było cicho, ciężko, smutno, jak gdyby leżał tutaj wśród zgromadzonych drogi wszystkim zmarły. Tylko Mirosława płakała głośno, ocierając jasne łzy, które spływały jej po twarzy. Wreszcie zbliżyła się do Zachara i rzekła:

— Ojczy, coście zrobili?

— To, co musiałem uczynić! Inaczej, postąpiłbym nieuczciwie — odpowiedział Zachar.

— Ale wasz syn, wasz syn! Cóż się z nim stanie?

— Co los zrządzi, córko. Ale chodź, nie płacz. Pora nam pomyśleć o pracy. Ot, już i wielki wóz skłania się ku zachodowi i cietrzewie tokują w gęstwinie, ranek się zbliża. Ano, obywatele, chodźmy, aby się wziąć do obrony, nie, do napadu, do ostatniej walki z najeźdźcami! Pamiętajcie, jaką im dałem odpowiedź! Chodźmy, niech nikt nie zostanie. Każdy się przyda, starzy i młodzi. Pokażemy tym barbarzyńcom, co zdoła gromada.

Z wrzawą powstali starzy tucholanie i z Jasnej polany przeszli nad urwisko oglądając dzieło majstrów: maszyny-katapulty. Maszyny stały już prawie wszędzie gotowe, pozbijane grubo z szarego, grubego drzewa, powiązane i pozbijane kołkami, bo też i robione były nie na trwałe, lecz na chwilową potrzebę. Ale Zachar zwołał obywateli nie w celu oglądania. Zatrzymali się tylko na chwilę koło

maszyn, potem zaś poszli gromadkami coraz dalej ponad urwiskiem w dolinę, aż do tego miejsca, gdzie tucholski potok wąską strugą wypływał z doliny i gdzie nad jego brzegiem stał olbrzymi, czworograniasty, kamienny słupek, zwany tucholskim Stróżem. Tędy śpieszyła cała tucholska gromada pod przewodem Zachara i Mirosławy. Młodzi nieśli na plecach długie, grube jodły i drabiny, dziewczęta dźwigały olbrzymie wieńce z liści i świerkowych gałęzi, starcy zaś — długie zwoje sznurów i lin. Pogaszono w tej stronie ognie, aby wróg nie dojrzał przed czasem, co tutaj się robi. Zwolna, ostrożnie, bez hałasu, jak cicha woda, poczęła gromada schodzić krętymi ścieżkami po urwisku w dolinę. Na przodzie szedł silny oddział uzbrojonej młodzieży, który stał w dolinie ławą po trzy szeregi, zwrócony frontem do mongolskiego obozu, oddalonego stąd o jakieś tysiąc kroków. Dalej szli młodzieńcy z drabinami, sznurami i jodłami; drabiny przystawiono do urwiska i zsunięto po nich lekko jodły w dolinę. Dziewczęta oddały swoje wieńce młodzieńcom — one nie powinny były schodzić w dolinę, gdzie w każdej chwili mógł napaść wróg. Na ostatku zeszli w dół starcy z Zacharem Berkutem i obejrzawszy stanowiska zbrojnych i wszystkie przygotowania pośpieszyli do wąwozu, przez który tucholski potok toczył z szumem swe czyste fale w dolinę.

Zachar zatrzymał się przed Stróżem i począł wpatrywać się weń bacznie. Dokoła panowała cisza.

Zachar modlił się:

— Wielki nasz Strózu! Ty, którego dziadowie nasi uważali za swego opiekuna, którego i my czciliśmy dotąd corocznymi świętami. Trzy razy już zjawiałeś mi się noc w noc w snach, jakoby spadasz i przywalasz mnie sobą. Wierzę, żeś dobry i łaskawy, i kiedy wołasz mnie do siebie, wówczas cieszę się z twojego przywołania i chętnie śpieszę za tobą. Ale gdy chcesz sam dźwignąć się z twojego odwiecznego miejsca, to rozbij, władko, swoim ciężarem tego oto podłego wroga, dzieci

Morany, które zalały teraz znowu błogosławione twoje dziedzictwo, tucholską dolinę! Złam po raz drugi podług moc. tak jak ją raz już złamałeś, kiedy potężną ręką rozbiłeś tę kamienną ścianę i dałeś przejście wodom i darowałeś ludziom tę oto przepiękną dolinę. Zamknij ją teraz z powrotem, niech zginie dumna moc wraza, która znęca się teraz nad nami!

W tej chwili z południa ku północy rozdarła ciemne niebo ognista błyskawica i daleko w górach zaturkotał grzmot.

— Tak, to twój potężny głos! — rzekł Zachar radośnie. — Ano, dzieci, uwieńczcie ostatni raz ten święty kamień!

Czterej młodzieńcy weszli po drabinach na kamień i obwiązali zielonymi wieńcami jego wierzchołek.

— Wola jego, dzieci! — rzekł Zachar. — Obwijajcie go sznurami. A wy, pozostali, żywo do rydli! Podkopujcie go od dołu, podkładajcie podpory! żywo, dzieci, żywo!

Cicho, bez stuku pracowały dziesiątki rąk koło Stróża. Okręcano go z góry powróslami i sznurami, z dołu podkopywano jego nasadę i w szparę, która pokazała się niedaleko pod ziemią, wkładano ukosem jodły, które miały służyć jako dźwignie dla obalenia kamienia w poprzek szyi wąwozu. Szybko zrobili sprawni młodzieńcy wszystkie potrzebne przygotowania, pozdejmowali drabiny i popodkładali pod dźwignię grube kamienie.

— Bierzcie się za liny, wszyscy, kto może dosięgnąć! Za dźwignie, chłopcy! — rozkazywał Zachar i od razu setki rąk przystąpiło do pracy.

— Dalej, wspólnymi siłami! — krzyknął Zachar. — Ciągnąć, ciągnąć!

Ludzie stęknęli z nateżenia, zatrzeszczały grube dźwignie, ale kamień ani drgnął.

— Jeszcze raz! Naciskajcie mocniej! — zawołał Zachar i sam chwycił za linę. Zakołysał się olbrzymi kamień.

— Rusza się! Rusza się! Podaje się! — zawołał radośnie lud.

— Jeszcze raz napierajcie, z całej siły!

Raz jeszcze stęknęli ludzie — i jednocześnie zwolniło się napięcie sznurów, olbrzymi kamień ruszył się ze swojej podstawy i zakołysawszy się przez chwilę w powietrzu, ze straszliwym, głuchym łoskotem zwałił się na dół, na poprzek potoku i wąwozu. Od straszego uderzenia jęknęła i zatrzęsała się tucholska dolina, woda potoku trysnęła daleko perłowymi kroplami, a tucholanie napelnili powietrze radosnym, głośnym krzykiem.

Ruszyła się w obozie senna mongolska armia. Zakrzyczała warta, zabrzmiały rozkazy naczelników, zabrzęczała broń, ale za chwilę wszystko ucichło. Mongołowie spodziewali się uderzenia i stali gotowi do obrony, ale tucholanie ani myśleli napadać na nich. Przygotowywali zupełnie inny napad.

Zachar żywo, niby młodzieniec, obejrzał położenie obalonego kamienia. Kamień upadł tak dobrze, jakby był tutaj dopasowany od wieków. Werznął się ostrymi końcami w wystające kanty urwiska, a całym swoim masywem legł jak most w poprzek potoku. Prawda, nie zatamował sobą wody potoku, gdyż płynęła ona głębszym korytem — ale oto już tucholscy młodzieńcy dźwigają na rękach olbrzymie płyty, inni zaś oczyszczają dno potoku od namułu i okrągłych kamieni, aby całkiem szczelnie zasypać przejście dla wody. Inni znów sypali z drugiej strony, poza kamieniem, w wąwozie, budując w ten sposób z najgrubszych kamieni ścianę, wysoką na jakieś trzy sążnie, a grubą od jednej ściany wąwozu do drugiej. Ta ściana mająca jeszcze za podstawę olbrzymiego Stróża, oprzeć się mogła całkiem pewnie najsilniejszemu nawet naporowi wody.

— Żywo, dzieci, żywo! — zachęcał Zachar stojąc nad potokiem i dopomagając pracującym to swoją radą, to rękami. — Zatykajcie, zasypujcie potok, póki woda

jeszcze nie przybyła. W górach spadły, być może, olbrzymie deszcze. Niedługo zacznie się powódź, a wtedy trudna by była nasza praca. A ścianę wyprowadzić trzeba równo od wysokości tych oto obrywów, zobaczymy, co poradzi wojsko wielkiego Dżingis-chana wobec siły wody.

Robota szła wartko. Potok był niezadługo całkiem zasypany. Gniewnie zakręciła się na miejscu wirem spieniona woda, jakby nie rozumiejąc, po co wstrzymują ją w biegu. Groźnie pluskała o olbrzymi kamień fala za falą, zdawało się, że rzuciła się, aby podgryzać poukładane na dnie dolne płyty szukając między nimi przejścia, ale wszystko było na próżno, wszędzie jeno kamień ściśnięty szczelnie i zbity w jedną niezłomną ścianę. Zabulgotała woda.

Poruszyła się w całym swoim łóżysku, stała zadziwiona, na pozór spokojna, ale wrząca gniewem w kryształowej głębinie. Jak tur gotujący się do napadu stanie i pochyli głowę w dół, zniża rogi do ziemi i zastyga w bezruchu, aby potem wyrwać się nagle z przyczajonej postawy i całą siłą rzucić się na przeciwnika, tak nieprzywykła do pęt woda tucholskiego potoku uspokoiła się na chwilę, jakby rozleniwiała się, zadrzemała w swoich płaskich brzegach, tymczasem zaś nabierała siły i odwagi do nowego, decydującego napadu i z cicha tylko napierała na ściany, jakby próbując bark swoich, czy nie mogłaby nimi odsunąć rzuconej jej tak niespodziewanie zapory. Ale nie, zapora stała na miejscu, zimna, gładka, harda, w swym bezruchu niezwyciężona. Pracowite ręce tucholan umacniały ją raz po raz, nawalając kamienie na kamienie, płyty na płyty, spajając je lepiącą, nieprzemakalną gliną. Niby nowa skała dźwignięta wszechpoężną wolą podnosiła się kamienna grobla coraz wyżej i wyżej pod rękami tucholan.

Uzbrojeni młodzieńcy porzucili już dawno w dolinie swoje stanowisko zwrócone ku mongolskiemu taborowi i zamienili taczki i łopory na drągi i młotki do obijania kamieni.

Zachar patrzył radośnie na ich robotę i na ich dzieło, a w oczach jego błyszczała pewność zwycięstwa.

A wtem na wschodzie, nad mongolskim obozem, rozzarzyły się chmury krwawą łuną. Świtało. Różowe światło oblało wysoki szczyt Zełemenia i sypało się iskrami coraz niżej. W końcu rozstały się chmury i z wolna, jakby bojaźliwie, wytoczyło się na niebo słońce i spojrzęło na zajętych swoją pracą tucholan. Zachar, pełen szczerzej radości, spojrzął na wschód i wyciągnawszy ręce przemówił podniesionym głosem:

— Słońce, wielki, przejasny władco świata! Odwieczny opiekunie wszystkich dobrych i czystych dusz! Spójrz na nas! Patrz, myśmy napadnięci przez dzikiego wroga, który poniszczył nasze chaty, zrujnował nasz kraj, powyrzynał tysiące naszego ludu. Z twoim imieniem na ustach stanęliśmy do śmiertelnego boju i klniemy się na twoje światło, że walczyć będziemy do ostatniej chwili, do ostatniego tchu. Pomóż nam w tym strasznym boju! Daj nam twardość, umiejętność i zgodę! Uczyń, abyśmy nie lękali się ich liczby i wierzyli w swoją siłę! Daj nam dzielność i zgodę, i rozum do zwycięstwa nad niszczycielami! Słońce, kłaniam się tobie jak kłaniali ci się dziadowie nasi i modłę się do ciebie całym sercem: daj nam zwyciężyć!

Zachar zamilkł. Jego gorące, potężne słowa drżały jeszcze w rannym powietrzu. Słuchali ich nie tylko tucholanie. Słuchały tych słów góry i podawały sobie ich oddźwięk od upłazu do upłazu. Słuchała ich zatrzymana fala potoku i, jakby namyśliwszy się, zaprzestała bić o kamienną groblę i zawróciła do dawnego miejsca.

## VIII.

Zanim bojar wrócił ze swego nieudanego poselstwa, Maksym siedział w jego namiocie, przysłuchiwał się i myślał, co wypada mu teraz czynić. Krótkie spotkanie z Mirosławą było jasną chwilą wśród mroku jego nie-

woli. Jej słowa, jej spojrzenie, dotknięcie jej rąk i wieści, jakie z sobą przyniosła, wszystko to wyrwało go jakby z ciemnego grobu, przywróciło mu życie. Czuł, jak wracała dawna jego odwaga i nadzieja. Spokojnie, ale z jasnymi myślami oczekiwał bojara.

— Jesteś więc tutaj? — zawołał bojar wchodząc do namiotu. — Biedny chłopcze, na próżno starałem się o twoje uwolnienie. Twój stary jest zawzięty. Choć siwy, jest przecież jak dziecko.

— A czyż nie mówiłem ci, bojarze, że daremny twój wysiłek? — odpowiedział Maksym. — No, ale cóż to takiego rzekł mój ojciec?

— Powiedział, że będą się bić do ostatniego tchu, i tyle. Albo my, mówi, polegniemy wszyscy, albo wy.

— Mój ojciec nie mówi na wiatr, bojarze. Zwykł on wszystko dobrze przemyśleć, zanim coś powie.

— Przecież ja też miarkuję, że choć mówi zwolna, lecz prawdę mówi! — rzekł niechętnie bojar. — Ale cóż robić? Walka tucholan z mongołami jest przecież nierówna. Siła słomę przełamie, choćbyś nie wiem co gadał!

— Ej, bojarze! Są sposoby na siłę! — odrzekł Maksym.

— No, no, widziałem ja te ich sposoby! Moja córka, zapalona głowa, — zaczarowali ją z pewnością — nauczyła ich robić katapulty. Będziemy tutaj jutro mieli niezgorszy grad kamieni, ale nie taki znowu szkodliwy, bo nie umieli dobrze wypleść sznurowych sprężyn.

— A myślisz, że oprócz katapult nie mają oni innego sposobu?

— Nie wiem. Zdaje mi się, że nie mają. A na to niedługo zresztą trzeba będzie czekać, rano zobaczymy. Mam tylko kłopot z tym Burundą; ciągle nalega: szukaj i szukaj sposobu, aby wyprowadzić nas z tej doliny bez boju i bez straty czasu. A tutaj tucholanie uparli się jak kozły rogate. No, ale cóż mam robić? Jak nie można, to nie!

— Nie, bojarze, nie mów tak. Jesteś jednak tym-

czasem, tak samo jak i ja, w mongolskich rękach. Musisz pragnąć tego, czego chcą oni.

— Ale cóż ja dla nich uczynię?

— Mógłbym ci może, bojarze, pomóc w potrzebie. Wdzięczny ci jestem za twoje dzisiejsze miłosierdzie nade mną. Przysłużę ci się dzisiaj, jeśli zechcesz.

— Ty? mnie? — krzyknął zdziwiony bojar. — Cóż ty możesz dla mnie uczynić?

— Znam bezpieczną a ukrytą ścieżkę wychodzącą z tej kotliny, o której nie wie nikt w Tuchli, oprócz mnie i mojego ojca. Ścieżka ta nie jest strzeżona i będzie można wyprowadzić tędy na górę oddział mongołów i obsadzić nimi wąwóz, potem zaś łatwo już będzie rozwalić zasieki i wyjść z tej doliny.

Bojar, nie dając wiary swoim uszom, stał przed Maksymem jak osłupiały. — Czyż może to być? — przemknęło mu przez myśl i coś ścisnęło jego serce. Choć żywił on do niedawna nienawiść do Maksyma, niemniej przecież podobał mu się jego rycerski hart i niezłomność; toteż teraz, gdy usłyszał te słowa Maksyma, zdawało mu się, że w sercu jego rwie się coś głębokiego i świętego, rwie się ostatnie pasmo wiary w ludzką uczciwość i stałość.

— Chłopcze, — zawołał — co ty mówisz? Czy chciałbyś uczynić coś podobnego?

— A cóż, bojarze, — rzekł Maksym na pół ze smutkiem, na pół drwiąco — sameś powiedział, że siła złamie słomę.

— Ale ty, ty, któryś niedawno jeszcze przysięgał, że „wolę raczej umrzeć niż dopuścić się zdrady“?

— Cóż zrobić, — odrzekł znowu tak samo Maksym — jak nie można dotrzymać przysięgi, to nie można!

— I ty, z takim ustępliwym charakterem, śmiesz przypuszczać, że córka moja będzie cię kochała? — krzyknął gniewnie bojar.

— Bojarze, — odrzekł cierpko Maksym — nie wspominaj o niej!

— A widzisz, jak cię to ukłuło — powiedział bojar — widać, że mówię prawdę.

— Kto wie, bojarze, kto wie! U nas wojenny czas, wojna uczy różnych sztuczek! A co jakby...

— Jakby co? Czemu nie kończysz? — zawołał Tuhar Wilk.

— Nie, nie; ja tylko pytam się ciebie raz jeszcze: czy przyjmiesz moją propozycję?

— Ale czy ty naprawdę zamierzasz prowadzić mongołów przeciw swoim tucholanom?

— Naprawdę, skoro tylko będzie można...

— Jak to, skoro tylko będzie można? To znaczy, kiedy ścieżka nie będzie strzeżona?

— Nie, ręczę za to, że ścieżka nie będzie strzeżona i że w biały dzień przejdziemy niezauważeni, gdy tylko nie będzie jakiejś innej przeszkody.

— A jakąż by być mogła?

— Ja... nie wiem...

— Kiedy tak, to nie ma co się dłużej zatrzymywać. Chodźmy do Burundy!

— Idź sam, bojarze, i powiedz mu to, co ci teraz powiedziałem. Nie masz co wspominać o możliwej przeszkodzie, bo ręczę ci raz jeszcze, że nie przeszkodzą nam ani tucholanie, ani żadni inni zbrojni ludzie, inne zaś przeszkody nie przestraszą waszych śmiazków.

— Niechaj i tak będzie — rzekł Tuhar Wilk.

— I proś go, aby rozkazał mię rozkuć, gdyż mam już dość tych łańcuchów.

— Rozumie się to samo przez się — rzekł bojar i poszedł rozmyślając po drodze.

Jak trwożne, jak straszne, piekielne chwile przeżywał Maksym w tym czasie, gdy bojar poszedł oznajmić Burundzie o jego zamiarze! Wtuliwszy głowę w ręce siedział on w strasznej niepewności, łowił uchem każdy najlżejszy szelest, jakby oczekiwał na przyjście kogoś najdroższego jego sercu. Drżał cały jak w febrze i szcząkał zębami jak na mrozie. Ale chwile płynęły tak cicho, spo-

kojnie, leniwie i każda z nich jak gdyby ostrymi pazurami niedźwiedzi wpijała się w jego serce. A gdy nie stanie się tak jak mówiła Mirosława i bojar pocznie nalegać, aby spełnił on swoją obietnicę? Rzecz jasna, śmierć była dlań nieunikniona, gotował się on na śmierć od dawna, ale umierać nie dotrzymawszy słowa człowiekowi, który polegał na tym słowie, którego przyszłość, a może i życie zależy od tego słowa — umierać zdrajcą, choćby tylko w oczach zdrajcy, jest straszną rzeczą, jest męką, gorszą od samej śmierci. Ale i sama śmierć była dla niego teraz, po widzeniu się z Mirosławą, daleko straszniejsza niż przed godziną, niż wtedy, gdy siedział pośród ulicy i patrzył bez ruchu na pożogę rodzinnej chaty dusząc się w dymie... Ale cóż to takiego? W tej chwili zadrżała ziemia i powietrzem wstrząsnął straszliwy łoskot. W obozie podniosła się wrzawa, krzyk, szczęk oręża, — cóż to się stało? Maksym zerwał się na równe nogi i klasnął w dłonie, aż zabrzęczały jego łańcuchy. Radość, radość! To pracują tucholanie! To oni budują tę właśnie przeszkodę, która zatrzyma mongołów i nie pozwoli mu być zdrajcą! Teraz może już umrzeć spokojnie, bo nawet wrogowi nie złamie on swego słowa. Serce jego biło żywo, głośno — nie mógł usiedzieć na miejscu i począł chodzić po namiocie. Wrzawa w obozie poczęła milknąć, lecz w tej chwili do namiotu wbiegł bojar. Twarz jego jaśniała radością i zadowoleniem.

— Chłopcze, — rzekł żywo — propozycja twoja przyszła bardzo w porę. Wyratuje mnie ona z wielkiej opresji. Słyszałeś ten huk? Chytrzy ci twoi tucholanie: robią zasieki również na naszych tyłach. Chodź prędko do naczelnika, zbiera on już oddział, który ma iść z tobą. Trzeba nam szybko stąd się wydobyć: tutaj jest niebezpiecznie.

Słowa te wbiły się w serce Maksyma jak ostre noże. Bądź co bądź, powinien on był opóźnić pochód aż do tej chwili, gdy stanie się on niemożliwy.

— A od kiedy to, bojarze, poczęliśmy się obawiać

chłopskich zasieków? Nie przypuszczam, aby groziło mon-  
gołom tak nagłe niebezpieczeństwo. Niech tucholanie ba-  
wią się zasiekami, spędzimy ich szybko stamtąd. A śpie-  
szyć się nam nie trzeba, bo i tak, jak widzisz, jeszcze się  
nie rozwidniło. Póki zaś nie będzie całkiem widno, póty  
nie znajdziemy również wyjścia, o jakim mówię.

— A cóż to za takie wyjście, które w dzień tylko  
można znaleźć?

— Słuchaj, bojarze, co to za wyjście. W naszym  
ogrodzie, pod warstwą ziemi leży w jednym miejscu ol-  
brzymia płyta. Trzeba odnaleźć to miejsce, odkopać i od-  
walić płytę, a wtedy wejdziemy do ciasnego chodnika,  
wykutego między podziemnymi skałami, który wprowadzi  
nas aż na górę, prosto na polanę, tam, gdzieś widział nie-  
dawno mojego ojca.

— No, po cóż czekać tutaj? Chodźmy zaraz i szu-  
kajmy! — zawołał bojar.

— Dobrze ci mówić, bojarze, zapomniałeś tylko  
o jednym, że wieś spaliła się, że nasze płoty i budynki  
zgorzały, że zgorzał także znak, po którym można było  
poznać to miejsce, tak, iż po ciemku nie znajdę go w ża-  
den sposób. Raz jeszcze ci mówię: po cóż się śpieszyć,  
kiedy chodnik nasz bezpieczny jest nawet w biały dzień?

— Ha, niechaj tak będzie jak chcesz — rzekł w koń-  
cu bojar. — Idę obwieścić o tym Burundzie i przyślę  
zaraz takich, którzy ciebie rozkują. Mimo to, nieboże, zo-  
staniesz jednak pod strażą, bo, powiem ci prawdę, ani  
Burunda, ani ja nie dowierzamy ci i jeśliby pokazało się,  
że nas zwodzisz, to bądź pewien, że śmierć cię nie minie.

— Wiem to już od dawna, bojarze! — rzekł wesoło  
Maksym.

Bojar wyszedł znowu, a niedługo potem weszli dwaj  
mongolscy kowale, rozkuli Maksyma i zdjęli z niego cięż-  
kie łańcuchy. Pozbywszy się tych żelaznych ciężarów,  
które blisko dobę wpijały mu się nie tylko w ciało, ale,  
rzekłbyś, nawet i w duszę, poczuł się Maksym takim lek-  
kim, jakby się na nowo na świat narodził. Z lekkim ser-

cem i pełny nadziei szedł pod przewodem mongołów do namiotu Burundy. Burunda zmierzył go od stóp do głowy swoimi groźnymi, dzikimi oczyma i rzekł przez tłumacza — tę przysługę wyświadczył im obu tym razem Tuhar Wilk.

— Rabie, — powiedział Burunda — słyszałem, że znasz wyjście z tej doliny.

— Znam — odrzekł Maksym.

— I gotów jesteś nam je pokazać?

— Gotów jestem.

— Jakiej zapłaty spodziewasz się za to?

— Żadnej.

— Dlaczegoż chcesz to uczynić?

— Z dobrej woli.

— Gdzie jest to wyjście?

— W ogrodzie mego ojca.

— Możesz je teraz odnaleźć?

— Nie mogę. Wszystko tam zgorzało, a wyjście jest grubo przysypane ziemią. Gdy rozwidni się, odnajdę.

— Oto już się rozwidnia. Idź i szukaj! I słuchaj, co ci powiem: jeśli mówisz prawdę i znajdziesz wyjście — będziesz wolny, a ponadto otrzymasz jeszcze dary. Jeśli zaś zwodzisz nas pustymi słowami — zginiesz w strasznych mękach.

— Polegam na twoim słowie, wielki bagadyrze, — rzekł Maksym — polegaj i ty na moim.

— Idź i szukaj wyjścia. Oto masz pomoc! Ja sam idę z tobą.

Jak powoli, jak ostrożnie szedł Maksym! Jak uważnie oglądał każdy kącik, każdy kamyczek, jakby starając się odnowić sobie w pamięci położenie miejsca, zmienione przez wczorajszą pożogę! Choć nie było daleko do ogrodu jego ojca, on jednak kilka razy zatrzymywał się, kładł się na ziemi, stukał, dłubał i ciągle spozierał przed siebie, na potok, skąd miała dla niego nadejść pomoc. Odział postępował naprzód ślimaczym krokiem — już Burunda począł się niecierpliwić.

— Nie gniewaj się, wielki bagadyrze — rzekł Maksym. — Wczorajszy pożar starł w tej dolinie wszystkie ślady życia. Trudno mi jest od razu rozpoznać miejsce. Niedługo już będziemy w obejściu mojego ojca.

Ciekawym okiem spojrzął Maksym na potok. Nareszcie! Brzegi już pełniusieńkie, jeszcze chwila, a woda rozleje się po dolinie. Ba, poniżej wsi, przy cieśninie, widać już było szerokie rzeczki i strumyki, czerwone jak krew od czerwoności wschodzącego słońca. Teraz, znaczy, można!

Maksym poprowadził szybko mongołów do ogrodu ojca, prędko odnalazł miejsce, gdzie ziemia głucho dudniła, a Burunda drżąc z niecierpliwości krzyknął na mongołów, aby kopali. Teraz dopiero spojrzął naokoło i ujrzał rozlewającą się po równinie wodę.

— Ha, a to co? — zawołał zdjęty jakąś nieokreśloną trwogą. Tuhar Wilk też zadrżał. Maksym tylko stał spokojny.

— Nic, bagadyrze. Tej nocy spadły w górach deszcze, a po każdej takiej ulewie, potok nasz występuje z brzegów. Ale to nic, tutaj woda nigdy nie dochodzi.

— A, tak — rzekł Burunda przezwyciężając w sobie trwogę. — No, kiedy tak, to kopcie dalej.

Ale Maksym mówił nieprawdę. Woda rozlewała się po równinie coraz to szerzej i tylko nieświadomi i zatrwożeni mongołowie nie mogli zrozumieć, że to nie powódź, że woda w potoku jest całkiem czysta, że nie płynie dalej, nie szumi, tylko wznosi się do góry i występuje z brzegów. Tymczasem kopanie szło powoli, choć mongołowie wyteżali wszystkie siły. Ale oto szpadle rzeczywiście zadudniły napotkawszy coś twardego. Płyta! Ale płyta okazała się szeroką, szerszą niż jama wykopana przez mongołów. Trzeba było rozkopywać jamę szerzej, aby wyjąć albo rozbić płytę. Maksym patrzył trwożnymi oczyma na wzrost wody. Cała część doliny, leżąca niżej od wsi, była już zalana. Woda toczyła się wałem w górę doliny, właśnie w odwrotnym kierunku do tego, w jakim płynęła od wieku. Ale oto zabrzmiały w mongolskim obo-

zie straszne krzyki. Woda wystąpiła z brzegów i tysiącnymi strumykami rozlewała się po obozie.

— Niewolniku, co to ma oznaczać? — krzyknął Burunda na Maksyma.

— Cóż, bagadyrze — odrzekł Maksym. — W górach spadły, widać, olbrzymie deszcze i nasz potok wylewa potężniej niż zwykle. Nie będziecie chyba jednak bali się wody, która sięga do kostek? Rozbijcie płytę! — krzyknął do mongołów — niech ujrzy wielki bagadyr, zem go nie oszukał!

Zagrzmiały o płytę mongolskie topory, lecz płyta była gruba i mocna, ciężko było ją rozbić.

— Uderzajcie silniej! — krzyknął Burunda nie mogąc już teraz opanować swojej trwogi na widok tej wody, która zalewała olbrzymią połąć tucholskiej doliny i wałem toczyła się prosto na nich. Płyta miała wszakże tucholską naturę i opierała się, jak długo tylko mogła. Ale oto i ona trzasła. Jeszcze jedno wspólne uderzenie i płyta, rozbita na kawałki, wpadła do dołu, a razem z nią wpadli też i ci mongołowie, którzy na niej stali. Oczom zgromadzonych ukazała się ciemna gardziel podziemnego chodnika.

— Widzisz, bagadyrze! — rzekł Maksym. — Powiedz sam, czym ciebie oszukał.

Ale Burunda nie cieszył się jakoś odkrytym chodnikiem. Woda nadbiegła wałem i zapluskala u nóg mongołów. Jeszcze chwila, i polala się z wesołym pluskotem do nowoodkrytej jamy.

— Wstrzymajcie wodę, wstrzymajcie wodę! — krzyczał Burunda i mongołowie rzucili się, aby zatamować wodę dokoła jamy. Było już wszakże za późno. Woda pokryła ziemię, glina rozmokła i rozpływała się w rękach mongołów jak błoto — taka tama nie mogła zatrzymać wody, która coraz silniej, ze wszystkich stron napływała do jamy, długo się tam pluskała i znikala, póki w końcu całkiem jej nie napelniła. Mongołowie stali nad jamą,

niby osłupiali, i patrzali, jak woda zalewała ostatnie ich wyjście z tej doliny.

— Rabie! — rzekł Burunda do Maksyma — czy to jest twoje wyjście?

— Bagadyrze, czyż mogę rozkazywać wodom? — odpowiedział Maksym.

Burunda nic na to nie odrzekł, jeno patrzył dookoła na wodę, która pokrywała dolinę coraz to grubszą warstwą. Jak gładkie zwierciadło, iskrzyła się już woda po całej dolinie, gdzieniegdzie tylko, jak niewielkie wyspy, wyzierały kawałki suchej ziemi. W mongolskim obozie powstał krzyk i zamieszanie, choć woda dochodziła mongolom ledwo do kostek.

— Bagadyrze, — rzekł Maksym do Burundy widząc, że ten zamierza wracać do swego namiotu — przypominam ci twoje słowo. Powiedziałeś, że gdy pokażę ci wyjście, będę wolny. Ja pokazałem ci wyjście.

— I wyjście mnie oszukało. Wtedy dopiero będziesz wolny, gdy wszyscy wyjdziemy z tej doliny, nie prędzej!

I Burunda poszedł robić porządek w zmieszonym szyku swego wojska, za nim zaś poszła jego drużyna.

Mongolskie wojsko stało długimi szeregami po kostki w wodzie, smutne, bezradne. Choć woda była bardzo płytka, ale ta jej masa, która pokrywała już całą dolinę, gładka, przezroczysta jak błyszczące, roztopione szkło, i ten wodospad, który niby świetlany słup stał nad wodną płaszczyzną i raz po raz dolewał do niej wody — to właśnie trwożyło mongolów. Sama trwoga, sam widok groźnego niebezpieczeństwa pobudzał tych ludzi do jakiegoś działania, choćby i bezpłodnego, do ruchu. Trzeba było koniecznie coś zrobić, spróbować szczęścia, gdyż inaczej — Burunda czuł to dobrze — cała ta masa mongolów pójdzie w rozsypkę, rozleci się, gnana przez własny strach. Burunda rozkazał całemu wojsku zebrać się do kupy, zbić się w ciasną masę.

— Kimże jesteście, mężami czy kobietami, że tak się boicie tych kilku kropel wody? Czy nie przebywaliśmy

znaczniejszych rzek? Cóż znaczy ten potok wobec Jaika, Wołgi, Donu i Dniepru? Nie bójcie się, woda po kostki nie zdoła was zatopić! Dalej, do wąwozu! Napadniemy wszyscy zbitą masą! Nie dbajmy o straty! Zwycięstwo musi być nasze!

Tak krzyczał Burunda i poszedł naprzód. Mongolska armia ruszyła za nim brodząc w wodzie z głośnym pluskiem, od którego echo rozległo się po lasach i górach.

Ale na sto kroków od wąwozu spotkał ich zabójczy grad kamieni rzuconych z katapult. W zbitą gromadę mongołów waliły się wielkie kamienie, okrągłaki, poszczerbione kamienie i rzeczne piaskowce, gruchoły im kości, rozbijały głowy. Woda pod ich nogami zaczerwieniła się od krwi. Nie zważając na krzyk Burundy wojsko rozsypało się, a największa jego część cofnęła się w tył, tam, gdzie kamienie nie mogły go dosięgnąć. W końcu musiał odstąpić i sam Burunda z resztą swoich najśmielszych turkmenów, bo grad kamieni stawał się coraz to potężniejszy, a mongolskie strzały nie czyniły tucholanom żadnej szkody. Tuhar Wilk spojrział uważnie na stanowiska wroga i ujrzał, że przy największej katapultie, która nieustannie rzucała na mongołów to ciężkie bryły, to znów całe kupy drobnych kamieni, stała, w otoczeniu kilku wiekowych już tucholan, córka jego, Mirosława, i kierowała wszystkimi ruchami strasznej maszyny. Maksym ujrzał ją już dawno i nie spuszczał z niej oczu. Jak chętnie stałby teraz koło niej i słuchał jej mądrych, śmiałych rozkazów i prażyłby wroga według jej wskazówek. Ale, niestety, nie było mu to przeznaczone. Oto stoi sam jeden wśród wrogów, prawda, bez kajdan, jednak bezbronny, niewolnik, i pragnie, aby kamień, rzucony jej ręką, zakończył jego życie i mękę.

Tuhar Wilk szarpnął go za rękę.

— Nie warto się tam wpatrywać, chłopcze — powiedział. — Zglupiała moja córka i ot, co wyrabia! Położenie nasze nie jest jednak przyjemne. Czy u was często bywają takie powodzie?

— Takie? Nigdy.

— Jak to? Nigdy?

— A tak, bo to nie powódź! Toż widzisz, że woda jest całkiem czysta.

— To nie powódź? A więc co?

— Czy nie domyśliłeś się jeszcze, bojarze? Tucholanie zatamowali potok, aby zalać wodą dolinę.

— Zatamowali! — krzyknął bojar. — Znaczy się...

— To znaczy, że woda będzie coraz większa, póki...

— Póki co?

— Póki nie zatopi nas wszystkich.

Bojar walnął się pięścią w głowę.

— I ty o tym wiedziałeś zawczasu?

— Wiedziałem od twojej córki. Wymyślił to, bojarze, mój ojciec.

— O, przekleństwo! I czemużeś mi tego przedtem nie powiedział?

— Po co?

— Bylibyśmy się choć oboje uratowali.

— Na to mamy jeszcze czas — odrzekł spokojnie Maksym. — Trzymajmy się tylko razem i kiedy przyjdzie co do czego, to nie daj, bojarze, skrzywdzić mnie, bezbronego.

— To się rozumie, — odpowiedział bojar — tylko co mamy teraz robić?

— Nie ma jeszcze na razie strachu — rzekł Maksym. — Potok mały, a dolina szeroka, woda przybywa bardzo powoli. Ale niedługo to potrwa. Za pół godziny może napłynie z gór prawdziwa powódź i szybko zaleje całą dolinę. Do wieczora będzie już w całej dolinie woda powyżej wzrostu najrośniejszego męża. Ale my musimy koniecznie wytrwać aż do tego czasu. Albowiem dopóki mongołowie zostaną jeszcze przy życiu, pewno nie wypuszczą nas żywych ze swoich rąk.

— Ale mogą nas do tego czasu rozsiekać.

— Nie bój się, bojarze. Człowiek w niebezpieczeństwie jest bardzo potulny: dba o siebie, a nie o śmierć

innego. Starajmy się jeno wynaleźć dla siebie bezpieczne miejsce, gdzie by nas woda nie zatopiła, z chwilą gdy nadejdzie powódź.

Podczas tej rozmowy między bojarem i Maksymem mongołowie odstąpili już całkiem od brzegu i stali pośrodku wody, nie wiedząc, co czynić. Woda sięgała już do kolan. Burunda spoglądał z wściekłością na tego niespodziewanego wroga, który nie lękał się jego gniewnego głosu ani jego bohaterskiej ręki. Kopał go nogami, pluł nań, lżył go najwzgardliwszymi słowami, lecz woda cicho, spokojnie pluskotała po dolinie, falowała leciutko i rosła coraz to wyżej. Sięgała już mongołom po kolana, utrudniała im krok, odbierała ochotę do boju, osłabiała karność wojskową. Cóż to wszystko miało znaczyć? Czyż woda długo jeszcze będzie z nimi walczyć? Skoro dojdzie do pasa, wówczas wszelki ruch będzie utrudniony i tu cholanie wystrzelają ich swoimi kamieniami jak kaczki! Ale woda była jeszcze czysta, jasna, tylko tam, gdzie brnęli mongołowie, stały szerokie błotniste kałuże.

Tuhar Wilk zbliżył się do Burundy.

— Wielki bagadyrze, — rzekł — znajdujemy się w poważnym niebezpieczeństwie.

— Czemu? — zapytał groźnie Burunda.

— Ta woda nie będzie opadać, bo nasi wrogowie zatamowali potok, aby zatopić w tej dolinie całe mongolskie wojsko.

— Ha! — krzyknął Burunda — i ty, podły niewolniku, śmiesz mi to mówić, kiedy sam wciągnąłeś nas w tę pułapkę?

— Zważ, wielki bagadyrze, że nie mogłem wciągnąć was tutaj zdradą, gdyż to, co wam grozi, grozi i mnie również.

— O, znam ciebie. Tyś i tej nocy chodził do nich, aby układać się z nimi o zgubę mongołów.

— Gdybym chodził w tym celu, to czy sądzisz, bagadyrze, że, wiedząc o zagładzie grożącej mongołom, byłbym wrócił, aby zginąć razem z nimi?

Burunda uspokoił się nieco.

— Cóż mamy robić? — zapytał. — Czyż musimy jednak ginać?

— Nie, powinniśmy się bronić. Jeszcze chwila, bagadyrze, a przybędzie z gór prawdziwa powódź i szybko zaleje tę dolinę. Musimy przede wszystkim walczyć z tym zalewem.

— Ale jak?

— Póki woda jest przezroczysta, każ swemu wojsku zbierać z dna kamienie i kłaść na kupę, wysoko ponad poziom wody. Stojąc na nich zdołamy się obronić i od słabszego wroga, od tucholan.

Nie myśląc długo, wydał Burunda wojsku rozkaz zbierania kamieni i ustawiania w kupy, każdemu oddziałowi z osobna. Ten rozkaz, nie grożący żadnym niebezpieczeństwem, podobał się mongolom, nadzieja zaś, że stać będą na suchym gruncie, nie brnąc po kolana w wodzie, dodała im otuchy. Z radosnym okrzykiem rzucili się w bród po dolinie, zbierając kamienie i składając je na kupy. Tucholanie stali na swoich miejscach dookoła jeziora i śmiali się spoglądając na ich robotę.

— Tutaj, tutaj! — wołali oni do mongołów.

— Mamy dosyć kamieni, obdzielimy was wszystkich!

Ale gdy niektórzy mongołowie zanadto się zbliżali do ich stanowisk, skrzypiała zaraz maszyna i grad kamieni leciał na nieszczęsnych, którzy, brodząc w głębokiej wodzie, chowali się, mordowali się nawzajem, a nie mogli uciec. Chcąc-niechcąc musieli się teraz mongołowie trzymać środka doliny, z daleka od tucholskich katapult. Burunda o mało co nie wściekł się w swojej niemocy, widząc dumną postawę tucholan i słysząc ich drwiny.

— Nie, to nie może być! — zawołał.

— Hej, do mnie, moi wierni turkmeni!

Dokoła niego zebrał się najodważniejszy oddział mongolskiego wojska, chłopcy jak dęby, jak stepowe tygrysy, których skóry mieli zarzucone na sobie. Burunda popro-

wadził ich przeciwko jednemu tucholskiemu stanowisku wysuniętemu naprzód, samotnie, na ostrym, poszczerbionym urwisku. Stała tam, koło nowej katapulty, niewielka garstka tucholan.

— Zatrutymi strzałami w nich! — zawołał Burunda i strzały jak szerszenie zaświstały w powietrzu. Jęknęli, zmieszali swój szyk ranni tucholanie, a mongołowie z radosnym okrzykiem postąpili naprzód.

— Nie pozwalajcie im się gromadzić! — krzyczał Burunda. — Nie pozwalajcie im rzucać kamienie na nas! Tutaj możemy się umocnić.

Podzielił swój oddział na dwie połowy: jedna miała nieustannie ostrzeliwać wrogie stanowisko, druga zaś — gromadzić kamienie na kupy dla ochrony przed wodą. Tuhar Wilk i Maksym, którym Burunda nie pozwalał się odłączyć, przykładali też ręce do tej roboty, znosili kamienie i rzucali je na stos. Robota stawała się jednak coraz trudniejsza. Woda dochodziła już do pasa. Zaczęło brakować kamieni, stos zaś nie sięgał jeszcze powierzchni wody. Burunda dowodził strzelcami.

Rannych już było dziesięciu tucholan; konali od straszliwego wężowego jadu, który przedostał się do ich krwi. Przeciwko tym ranom bezskuteczne były wszelkie leki Zachara Berkuta.

— Opuśćcie, dzieci, to stanowisko! — rzekł Zachar. — Niech stoją tu sobie przed stromą ścianą! Nie zdoła się nikt stąd wydostać mając na domiar wodę pod nogami!

Tucholanie porzucili pozycję. Mongołowie brodzili z uciechą po wodzie gromadząc kamienie w jednym miejscu. Wreszcie nie starczyło już kamieni.

— Zaprzestańcie już, chłopcy, zbierać kamienie — rzekł Burunda do swych wojowników. — Strzelcy z łukami, stańcie tam na wzniesieniu, strzelajcie do tych chłopów! Reszta za mną! Musimy zdobyć to stanowisko, wydrapać się w górę tą oto ścianą, choćby się nawet waliło niebo! Wy, niewolnicy, również za mną! Pokazujcie drogę!

— Bagadyrze — rzekł Maksym przez usta Tuhara

Wilka — na próżno będziemy wspinać się, tędy nie ma ścieżki w górę!

— Musi być! — krzyknął Burunda i rzucił się w wodę, a za nim jego turkmeni. Grunt w tym miejscu był nierówny. Mongołowie ślizgali się, padali, woda poruszona przez lekki wiatr uderzała potężnymi falami o strome skały i utrudniała im drogę. Jakkolwiek od mongolskiego stanowiska do brzegu było nie dalej jak dwieście kroków, potrzebowali jednak niemal pół godziny, aby tam dojść. Jeno że pod samą skałą woda była jeszcze głębsza sięgając prawie po pachy, w skale zaś nie była wykuta żadna ścieżka, która by prowadziła w górę. Za to z sąsiednich tucholskich pozycji leciały na śmiałków kamienie, a chociaż przeważna ich część na próżno uderzała w skałę lub wpadała do wody, to jednak stanowisko Burundy w tym miejscu było bardzo niewygodne i niekorzystne.

— Może twoje zuchy potrafią dobrze łązić, — pokpiwał sobie Maksym — idąc tędy w górę można po tej ścianie wdrapać się na szczyt.

Ale żaden z turkmenów-stepowców nie umiał drapać się w górę po stromych kamiennych ścianach.

— Skoro tak, — rzekł Maksym — to pozwól, bagadyrze, mnie pierwszemu wyleźć i pokazać wam drogę!

Ale Burunda nie słuchał już tych słów zamierzając co innego. Rozdzielił swą drużynę na dwie części: jedną zostawił na zdobytym stanowisku pod osłoną wystającego wyrębu skalnego, z drugą zaś częścią poszedł szukać dalej dogodniejszego miejsca pod przewodem Maksyma i Tuhara Wilka.

Skoro jednak gromada mongołów, brodząc po pas w wodzie, wychyliła się spoza zasłoniętego cypla, posypały się na nich naraz z góry kamienie wyrzucane przez tucholskie maszyny. Prawie połowa całej gromadki legła pokotem — reszta zmuszona była wracać.

— Chodźmy, bagadyrze, na nasze bezpieczne stanowisko — powiedział Tuhar Wilk. — Czy słyszysz co za

szum i krzyk rozlega się po dolinie — pewno zbliża się powódź!

Bojar rzekł prawdę. Straszliwy szum wodospadu, od którego aż ziemia zadrżała, zwiastował wielki przyptyw wody. Mętym wałem toczyła się od strony wodospadu olbrzymia fala; cała powierzchnia szerokiego jeziora zmieszała się, okryła się pianą; zamiast czystego, spokojnego zwierciadła szalały teraz wściekłe wody, kręciły się z sykiem wiry, kołysało się i biło o kamienne brzegi skotłowane morze. Strach było spojrzeć teraz na dolinę! Tu i tam, jak czarne wyspy, wynurzały się z wody gromady mongołów.

Nie było już wśród nich śladu jakiegokolwiek wojkowego szyku. Jak kupa plew rozproszona przez gwałtowny wiatr, rozsiało się po dolinie mongolskie wojsko walcząc z falami, kierując się gdzieś z trudem w niewiadomą drogę, krzycząc i przeklinając. Nikt nikogo nie słuchał, nikt nie dbał o nikogo. Jedni stali na nagromadzonych kupach kamieni, szczęśliwi, że byli choć na chwilę zabezpieczeni przed naporem wody. Inni tonęli w wodzie po pachy, po szyję, opierając się na swych spisach lub wymachując w górze swymi łukami. Większa część jednak porzucała łuki, które kręciły się wirując jak źdźbła słomy. Niektórzy, chcąc ulżyć sobie w jakikolwiek sposób, zrzucali z siebie kożuchy i puszczali je z biegiem wody, chociaż sami szczękali z zimna zębami. Niżsi wzrostem, czepiali się wysokich i walili ich z nóg, szamocąc i borykając się z nimi jeszcze w wodzie.

Inni puszczali się wpław, choć nie wiedzieli sami, dokąd i po co płynąć, nigdzie bowiem nie było żadnego oparcia. Zwały kamieni, narzucone wśród pola w ostatniej chwili, zmieścić mogły jedynie niewielką tylko ilość szczęśliwych i ci byli celem śmiertelnej zazdrości, nieprzytomnych przekleństw ze strony tonących.

Tysiące tych szaleńców cisnęło się dokoła każdego stosu kamieni i wyjąc domagało się, aby pozwolono im również stanąć w bezpiecznym miejscu. Na próżno ci, co

stali na kamieniach, tłumaczyli im, że nie mogą wszyscy zmieścić się na jednym stanowisku, że ktoś przecie musi zginąć — nikt nie chciał ginąć, wszyscy wdzierali się na kamienie. Ci, co stali na wzniesieniu, musieli się bronić przed naporem, nie chcąc sami zginąć. Mongolskie młoty i topory zaczęły łomotać po rękach i po czaszkach Mongołów. Brat nie znał brata w tej strasznej chwili bliskiej śmierci; towarzysz mordował towarzysza z większą zaciętością niż wroga. Ci z tonących, co stali z tyłu, bliżej niechybnej śmierci, cisnęli się naprzód; ci, którzy stali przy samych stosach, wystawieni na ciosy swoich towarzyszy, z krzykiem cisnęli się w tył. Ci, co znajdowali się pośrodku, ryczeli z bólu i ze strachu, ściśnięci z wszech stron, wpychani w wodę przez stojących z przodu i z tyłu.

Niektórzy, tonąc już, czepiali się jeszcze pod wodą zwalonych na stos kamieni i wyrywali je z miejsca kurczowymi ruchami. Zwaliło się pięć stosów i wszyscy, którzy na nich stali, powpadali w wodę i zrównali się z tymi, przed którymi się bronili. A ci znów nieszczęśni, oszaleli z śmiertelnej trwogi, podnosili radosny krzyk za każdym razem, skoro zwałił się nowy stos i skoro inne ofiary waliły się w paszczę straszliwego, bezlitosnego wroga.

Niektórzy wpadali w prawdziwą manię zabijania i niszczenia.

Oto jeden, olbrzymiego wzrostu, z posiniąłą twarzą, z zaciśniętymi zębami i zagryzionymi do krwi ustami, wali na oślep swym toporem po głowach swoich towarzyszy, kto tylko nawinie mu się pod rękę, a gdy nie nawinie się nikt, wali po krwawych, bulgocących i spienionych falach.

Drugi wybucha histerycznym śmiechem, spycha w wodę tych, którym udało się stanąć na jakimś wzniesieniu, na kamieniu, na trupie towarzysza.

Trzeci ryczy jak wół i z tyłu uderza w plecy tonących, jakby bódł ich rogami. Inny, założywszy ręce nad głową, łka, zawodzi, piszczy jak dziecko. Niektórzy, nie widząc nic poza niechybną śmiercią, wdzierają się na gło-

wy swych towarzyszy, czepiają się ich włosów, przyginają ich ku dołowi i toną wraz z nimi. Jak ryby na tarle ścisnąwszy się w ciasnym kotłowisku tłoczą się, pluskocą, wystawiają głowy z wody, to znów toną, mącą wodę i łapią rozwartymi ustami powietrze — tak i tutaj, wśród wielkiego, mętnego, kotłującego się jeziora roiły się, mordowały się nawzajem, tonęły, to znów wynurzały się z wody, machały rękami, poruszały głowami i znowu tonęły i ginęły setki, tysiące mongołów. W milczeniu, bez ruchu, jak drewniane słupy, stali na brzegach tucholanie; najbardziej nawet zawzięci nie mogli bez dreszczu, bez jęku, bez łez spoglądać na tę masową zagładę ludzi.

Burunda-bagadyr patrzył w osłupieniu na ten straszliwy obraz. Jakkolwiek niemniejsze niebezpieczeństwo groziło jemu samemu, jakkolwiek woda sięgała już jego ludziom do pach, bystre zaś prądy, które utworzyły się w wodzie, zwały ich z nóg i przypominały im nagłą konieczność powrotu na swoje bezpieczne stanowisko, to jednak Burunda przez długą chwilę stał w miejscu rwąc sobie włosy i wydając straszliwe, niepowiązane okrzyki na widok zagłady swego wojska. Nikt nie śmiał odezwać się doń choćby jednym słowem w tej strasznej chwili; wszyscy stali wokół niego drżąc, borykając się z przemożnym wrogiem — wodą.

— Chodźmy! — rzekł wreszcie Burunda. I zaczęli się posuwać w kierunku owej kupy kamieni wystawionej przez turkmenów naprzeciwko zdobytego stanowiska tucholan. Był już czas najwyższy! Woda nacierała coraz mocniej. Między nimi a ich stanowiskiem utworzył się szeroki wir, który mogli przebyć tylko gromadnie, wzięwszy się za ręce. Jeno olbrzym Burunda kroczył sam na przedzie rozbijając potężną pierśią szalejące fale. Jak wysepka wśród morza, stała na swym stanowisku garstka wojowników po pas w wodzie, z wciąż jeszcze napiętymi łukami wymierzonymi w kierunku opuszczonego tucholskiego stanowiska. W nich niebezpieczeństwo nie złamało karności wojskowej. Na szczęście ta kupa kamieni była większa od in-

nych i złożona z wielkich brył i płyt, jakie można było tak łatwo poruszyć jedynie w wodzie. Przeszło stu ludzi mogło stać na niej wygodnie w bojowej postawie, a tyle właśnie znajdowało się dokoła Burundy, nie licząc tych, których zostawił pod skałą. Towarzysze Burundy odetchnęli lżej jakoś, stanawszy na tym wzniesieniu. Przede wszystkim rzucili okiem na tych swoich towarzyszy, których zostawili pod skałą w liczbie czterdziestu. Szalała teraz w tym miejscu wściekła fala rozbijając się o występy skał i rozpryskując się daleko srebrną pianą.

Po turkmenach nie pozostało już ani śladu, tylko czasem, gdy fala uspokoiła się na chwilę, czerniało coś na szarych kamieniach; był to jedyny żyjący jeszcze człowiek z tej drużyny: trzymał się zdrętwiałymi palcami skały, mimo że fala szarpała go i rwała z największą zaciekłością. Nie krzyczał, nie wołał o ratunek, jeno kołysał się za każdym przypływem wody, aż znikł i on wreszcie, jak liść splukany wodą.

Burunda milczący, siny z natężenia i ze złości rzucił okiem po dolinie. Ucichły już okropne krzyki i jęki. W wirach kręciły się gromady trupów wystawiając z wody tu i ówdzie zaciśnięte pięści, nogi lub głowy. Tylko dziesięć gromad stało jeszcze żywych na swych kamiennych basztach niby dziesięć czarnych wysp, nie było to już wszakże wojsko, jeno przerażone, bezsilne, bezbronne niedobitki, drżące i złamane rozpaczą. Choć mogli nawoływać się nawzajem, nie byli w stanie dopomagać sobie i czy to w gromadzie, czy pojedynczo, byli równie bezradni, oczekując jedynie niechybnej zagłady.

## IX.

— Jak sądzisz, bojarze? — zapytał nagle Burunda Tuhara Wilka — co z nami będzie?

— Zginiemy wszyscy — odpowiedział spokojnie Tuhar Wilk.

— I ja tak myślę — potwierdził Burunda. — A zgi-

niemy, co mię najbardziej oburza, bez walki, bez sławy, jak koty rzucone do stawu!

Bojar nic nie odpowiedział. Nowe wydarzenia zwróciły na siebie powszechną uwagę. Tucholanie nie chcieli widocznie czekać aż dalszy przybór wody zatopi spokojnie nędzne resztki mongołów. Śpieszno im było dobić wroga. Tucholska młodzież rąbała grube jodły w lesie nad potokiem, zaostrzała je z obydwu końców jak pale, przywiązywała do pni obrabanych z gałęzi ciężkie kamienie, aby te, niby tarany, płynęły podwodnym nurtem i wy czekawszy odpowiednią chwilę, gdy pośrodku jeziora utworzył się od wodospadu wartki prąd, płynący wprost do stanowisk mongołów, zaczęli puszczać te pnie w dół potokiem.

Pierwszy z nich uderzył zaraz ze straszliwą siłą swym ostrym końcem w jedną kupę kamieni, na której stali mongołowie. Zaturkotały pod wodą kamienie i rozsunęły się naciśnięte z góry nogami mongołów, poruszone ze swego stanowiska.

Mongołowie z przeraźliwym krzykiem powpadali w wodę. Dwaj czy trzej z nich natrafili w wodzie na zdradliwą jodłę i uczepili się jej. Prąd porwał ich wraz z jodłą i poniósł daleko na szerokie wody, dopóki nie napotkał na wir, który zakręcił jodłą i postawił ją sztorcem. Mongołowie powpadali w wodę i nie pokazali się już więcej.

Inni znów, zepchnięci tak niespodziewanie ze swego stanowiska, miotali się w miejscu, spychali się wzajem w wodę lub błagali innych o ratunek. Dwaj czy trzej, najwidoczniej dobrze umiejący pływać, puścili się w pław do brzegu, ale i tutaj nie minęła ich śmierć: kilka wielkich kamieni rzuconych z brzegu położyło kres ich wyprawie. Niewielu tylko przyjęli towarzysze na sąsiednie stanowiska. Ale i tutaj nie pozostali bezpieczni przez czas dłuższy. Tucholanie, widząc powodzenie swej pierwszej próby, zaczęli puszczać jeden taran po drugim. Ta-

rany te nie czyniły już jednak Mongołom żadnej szkody: prąd przenosił je poprzez mongolskie stanowiska.

Mirosława udzieliła tedy Tucholanom nowej rady: zbijać po kilka takich pni razem, spuszczać taką tratwę na linach zrobionych z cienkich gałęzi w dół wodospadu, następnie zaś, przyciągnąwszy do brzegu, postawić na każdej po dziesięciu najmocniejszych i najlepiej uzbrojonych młodzieńców i za pomocą dwu długich żerdzi kierować tratwą naprzeciwko stanowisk Mongołów.

Wkrótce przygotowano dwie takie tratwy, spuszczone w dół przez wodospad, który stał się teraz o połowę niższy niż poprzednio przy niskim stanie wody. Dwudziestu odważnych młodzieńców stanęło na tratwach i wypłynęło do boju z Mongołami. Była to walka łatwa, aczkolwiek decydująca. Pierwsza gromadą Mongołów, na którą uderzyli, była niemal bezbronna, przerażona, bezsilna. Żywo zepchnięto nieszczęśliwców drągami w wodę, stawiających zaś opór stracono strzałami i spisami. Mongołowie z innych stanowisk zawyli żałośnie, widząc nieuniknioną zagładę.

Gdy Burunda ujrzał nieprzyjaciół i taki sposób walki, zaczął zgrzytać zębami i chwycił za oręż, ale daremny był jego gniew; nawet zatrute strzały jego Turkmenów nie mogły dosięgnąć odważnych Tucholan. Zawziętemu bagadyrowi wypadło stać bezczynnie po pierś w wodzie i patrzeć, jak Tucholanie rozbijają resztki mongolskiego wojska, burząc jedno stanowisko po drugim.

A Tucholanie tymczasem płynęli tu i tam po wodzie. Z zaciśniętymi zębami siedząc na swych tratwach zbliżali się do Mongołów. Tu i ówdzie napotykali na zaciekły opór; krew płynęła, z obydwu stron rozlegały się jęki, trupy padały na tratwach i na kamiennych basztach, ale siła Mongołów była złamana, opór ich trwał krótko.

Jak ogień zaprószony po skoszonym sianożęciu pełźnie po każdym pokosie i zżera kopiec suchego siana po kopicy, podobnie Tucholanie spychali Mongołów z jednego stanowiska po drugim w wodę, w zimne objęcia

śmierci. Wszyscy zginęli, do ostatniego; z gromady czarnych wysepek na środku jeziora nie pozostało ani śladu. Tylko z dala, na uboczu, niedaleko od brzegu stała jeszcze jedna gromada, niby ostatnia czarna skała wystająca spośród powodzi.

Był to oddział Burundy. Setka turkmenów, Tuhar Wilk i Maksym — oto była jedyna resztką wielkiego mongolskiego wojska, co miało iść tucholskim szlakiem na ziemię węgierską i znalazło tutaj wśród gór zimny grób w falach wód, jakkolwiek przepłynęło Jaik i Wołgę, Don i Dniepr. Ta oto śmiała garstka — ostatnia ofiara śmierci — stała pośród wody bez nadziei na ratunek, z jednym wyłącznie pragnieniem, aby w walce drogo sprzedać swe życie.

Cała tucholska gromada zebrała się teraz przed tym ostatnim nieprzyjacielskim stanowiskiem. Spuszczono jeszcze dwie tratwy, aby otaczając wrogów niepokoić ich z tyłu strzałami; z przodu jednak, z brzegów leciały gradem na nieprzyjaciół tucholskie strzały i kamienie. Ale większa część tych strzał nie dolatywała nawet do stanowiska Burundy, inne, choć i docierały, nie mogły wyrządzić turkmenom żadnej szkody. Tucholanie znowuż obawiali się przystąpić na bliższą odległość, z powodu zatrutych strzał, widząc zaś niebawem bezskuteczność swego strzelania, porzucili tę robotę i stali spokojnie. Stary Zachar stał wysoko na skale, nie spuszczać oczu ze swego syna, który stał pomiędzy wrogami i zręcznymi ruchami omijał gęsto lecące strzały i kamienie. A opodal, wśród tych, co strzelali, stała Mirosława, spojrzenia zaś jej mknęły szybciej od jej strzał w kierunku wrażej gromady, wśród której znajdowało się wszystko, co było najdroższe w jej życiu: ojciec i Maksym. Serce jej zamierało wraz z każdą strzałą wypuszczoną z tucholskich łuków.

Młodzieży stojącej na tratwach sprzykrzyła się daremna strzelanina z oddali. Zdobyli się na odwagę i zbliżyli się. Turkmeni wypuścili swe strzały na ich spotkanie

i kilku ranili; tucholanie spostrzegli jednak rychło, że wrogom zabrakło już owej strasznej broni i rzucili się na nich z groźnym krzykiem. Turkmeni oczekiwali w milczeniu ich uderzenia, zbici ciasno jeden obok drugiego, opierając się zarówno tucholanom jak i wodnym wałom.

Ale tucholanie, zbliżywszy się do nich na dwa sążnie, rzucili w nich swe rohatyny przymocowane u każdego do ręki długą rzemienną pętlą. Dziesięciu wrogów jęknęło w jednej chwili; dziesięć ciał zważyło się w wodę. Młodzieńcy rzucili ponownie swe rohatyny i znowu padło kilku wrogów.

— Bądźcie przekłeci! — krzyczał Burunda — wszystkich nas wydziobią w ten sposób, podle chamy!

Ale gniew jego był teraz niby wiatr, co szumi i nikomu nie szkodzi. Tucholska młodzież krążyła z krzykiem jak kruki dokoła stanowiska wrogów, rażąc to tu, to tam jednego lub drugiego dobrze wymierzonym rzutem rohatyny. Obrona stała się dla mongołów niemożliwa. Nie pozostawało im nic innego, jak stać spokojnie, jak gdyby byli związani, i oczekiwać śmierci.

— Bagadyrze, — rzekł Tuhar Wilk do Burundy — czy nie zdołamy ocalić swego życia w jakikolwiek sposób?

— Po co? — odrzekł ponuro Burunda.

— Przecież lepiej jest żyć niż umrzeć!

— Prawdę mówisz — powiedział Burunda i oczy jego zabłysły nie żądzą życia, lecz raczej żądzą zemsty. — Ale cóż mamy czynić? Jak się ocalić?

— Może zechcą teraz darować nam za swego jeńca życie i wolne wyjście?

— Spróbujmy! — rzekł Burunda i chwyciwszy ręką za pierś Maksyma wyciągnął go przed siebie. Koło niego stał Tuhar Wilk i zaczął machać białą chustką.

— Tucholanie! — zawołał zwracając się ku brzegowi.

Dokoła nastąpiła cisza.

— Powiedz im, że jeśli pragną mieć tego niewolnika żywcem pomiędzy sobą, niechaj darują nam życie

i puszcza nas wolno! W przeciwnym razie potrafimy zginąć, ale i on umrze tutaj na ich oczach.

— Tucholanie! — wołał Tuhar Wilk. — Wódz mongołów przyrzeka wam oddać z powrotem waszego jeńca żywego i zdrowego i chce, abyście za to wypuścili nas z tej doliny tyłu, ilu nas jeszcze pozostało żywych i zdrowych! W przeciwnym razie czeka waszego syna niechybna śmierć.

Burunda podniósł swój straszliwy topór nad głowę bezbronniego Maksyma, jak gdyby zamierzał naocznie pokazać całą prawdziwość swej groźby.

Cała gromada stała jakby zamarła. Stary Zachar zadrżał i odwrócił oczy, aby nie patrzeć na widok, od którego krajało się jego serce.

— Zacharze, — rzekli starzy tucholanie otaczając go — sądzimy, że można przyjąć ten warunek. Mongolskie wojsko jest zniszczone, ta zaś garstka ludzi nie może być dla nas straszna.

— Nie znacie wy, bracia, mongołów. Wśród tej garstki ludzi znajduje się ich najstraszniejszy naczelnik i ten nie przebaczy nam nigdy zagłady swego wojska. Sprowadzi na nasze góry nowe wojsko i kto wie, czy rozbijemy je wówczas po raz drugi.

— Ale twój syn, Zacharze, twój syn! Bacz na to, że czeka go zagłada! Spójrz na topór nad jego głową!

— Niech raczej zginie mój syn, niżby miał z jego powodu ujść choćby jeden wróg naszego kraju!

Mirosława zbliżyła się z płaczem do starego Zachara.

— Ojciec! — płakała — co zamýślasz uczynić? Za co chcesz zgubić swego syna i... mnie, ojciec? Kocham twego syna i przysięgam, że będę z nim żyć i jemu służyć! Jego śmierć będzie również i moją śmiercią!

— Biedna dziewczyno, — rzekł Zachar — cóż mogę ci poradzić? Znasz tylko czarne oczy i dorodną postać, ja zaś mam na oku dobro ogółu. Nie ma tu, córko, wyboru.

— Zacharze, Zacharze, — mówili obywatele —

wszyscy uważamy, że dość tego zniszczenia, że złamana jest siła wroga; gromada nie pragnie śmierci tych ostatnich. Składamy w twe ręce ich los oraz los twego syna. Zlituj się nad własną swą krwią!

— Zlituj się nad naszą młodością, nad naszą miłością! — załkała Mirosława.

— Możesz przyrzec im na słowo wszystko, byleby jeno zwrócili ci syna — rzekł jeden z zagórskich młodzieńców. — Skoro Maksym będzie wolny, daj nam tylko znak, a pošlemy wszystkich pozostałych na dno, aby raki miały się czym tuczyć.

— Nie! — odrzekł Zachar z oburzeniem. — Byłoby to nieuczciwe. Berkutowie dotrzymują słowa nawet wrogowi i zdrajcy. Berkutowie nigdy nie splamią swych rąk ani swego serca przelaną podstępem krwią! Dość, dzieci, tej rozmowy! Poczekajcie, przyślę im odpowiedź własną ręką!

I odwróciwszy swą twarz podszedł do maszyny, na której lejnicy leżał olbrzymi kamień, i mocną, pewną ręką ujął powrósło utrzymujące lejnicę w płaskim położeniu.

— Ojcze, ojcze! — krzyczała Mirosława rwąc się do niego — co chcesz uczynić?

Ale Zachar jak gdyby nie słysząc jej krzyku celował spokojnie lejnicę na wrogów.

Tymczasem Burunda i Tuhar Wilk czekali daremnie na odpowiedź tucholan. Maksym stał pod wzniesioną siekierą Burundy z pochyloną głową, w spokoju, zdecydowany na wszelkie możliwości. Jeno Tuhar Wilk drżał na całym ciele, nie wiedzieć czemu.

— Et, na cóż mamy tak długo czekać! — krzyknął wreszcie Burunda. — Raz matka urodziła, raz przyjdzie zginać. Ale przede mną giń ty, podły rabie!

I zamierzył się ze straszliwą siłą, aby rozłupać siekierą głowę Maksyma.

Ale w tej chwili zabłysnął nad głową Maksyma miecz Tuhara Wilka i groźna, zabójcza ręka Burundy, odcięta

od ramienia jednym uderzeniem, wraz z toporem wpadła w wodę jak suche polano obryzgane krwią.

Burunda ryknął z wściekłości i z bólu i ścisnął Maksyma lewą ręką za pierś, a oczy jego zwróciły się ku zdradzieckiemu bojarowi z wyrazem piekielnej nienawiści.

Ale w tejże chwili Maksym nachylił się i wyteżywszy całą swą siłę uderzył straszego turkmena głową i ramionami w lewy bok, tak iż Burunda stracił od tego ciosu równowagę i stoczył się w wodę pociągawszy za sobą również Maksyma.

A w następnej chwili zaszumiało powietrze i olbrzymi kamień, rzucony z tucholskiej katapulty rękami Zachara Berkuta, zwałił się z łoskotem na gromadę wrogów. Trysnęła woda aż do obłoków, rozległ się huk spadających kamieni, rozbrzmiał na brzegu rozdzierający serce krzyk — i za chwil kilka powierzchnia jeziora była już gładka i cicha, a z drużyny Burundy nie pozostało ani śladu.

Tucholska gromada stała nad brzegiem jakby zamarła, bezduszna. Stary Zachar, dotychczas taki mocny i niezłomny, dygotał teraz jak małe dziecko i łkał ciężko, zasłoniwszy twarz rękami. U nóg jego leżała omdlała, nieruchoma Mirosława.

Nagle rozległ się z dołu radosny okrzyk. Skoro młodzieńcy pływający na tratwach zbliżyli się do tego miejsca, gdzie utonął Maksym z Burundą, zobaczyli od razu Maksyma wynurzającego się z wody, zdrowego i silnego, i powitali go wesołym okrzykiem. Radość ich udzieliła się żywo całej gromadzie. Ci nawet, co utracili swych synów, braci i mężów, cieszyli się również Maksymem, jak gdyby wraz z jego powrotem wrócili wszyscy drodzy ich sercu, których stracili w boju.

— Maksym żyje! Maksym żyje! Hurra, Maksym! — rozległy się burzliwe okrzyki i poniosły się szeroko po lasach i górach. — Ojczy Zacharze! Twój syn żyje! Twój syn wraca do ciebie!

Zachar podniósł się dygocąc z głębokiego wzruszenia, ze łzami w starczych oczach.

— Gdzie on? Gdzie mój syn? — zapytał słabym głosem.

Maksym wyskoczył z tratwy na brzeg, przemoczony do nitki, ale z twarzą rozpromienioną radością, i rzucił się ojcu do nóg.

— Mój ojcze!

— Synku, Maksymie!

Ani jeden, ani drugi nie mógł wyrzec więcej. Zachar zachwiał się i padł w potężne objęcia Maksyma.

— Mój ojcze, co ci się stało? — krzyknął Maksym widząc śmiertelną bladość na jego twarzy i czując ustawiczne dreszcze wstrząsające jego ciałem.

— Nic, synku, nic, — rzekł po cichu z uśmiechem Zachar — Stróż woła mnie do siebie. Słyszę głos jego, synku. Woła on do mnie: Zacharze, dokonałeś swego dzieła, czas spocząć!

— Ojcze, ojcze, nie mów tego! — mówił z płaczem Maksym przypadając do niego; Stary Zachar leżał na murawie spokojny, uśmiechnięty, z rozpromienioną twarzą zwróconą ku południowemu słońcu. Odsunął lekko rękę syna od swej piersi i rzekł:

— Nie, synku, nie płacz po mnie, jam szczęśliwy! Spójrz raczej tuż obok. Jest tu ktoś, kto potrzebuje twej pomocy.

Maksym obejrzał się i osłupiał. Mirosława leżała na ziemi blada, z wyrazem rozpaczony na prześlicznej twarzy. Młodzieńcy przynieśli już wodę i Maksym rzucił się, aby cucić swoją ukochaną. Oto odetchnęła, otworzyła oczy i znów je przymknęła.

— Mirosławo! Mirosławo! Serce moje! — wołał Maksym całując jej ręce — ocknij się!

Mirosława jak gdyby obudziła się i wpatrywała się zdumionymi oczyma w twarz Maksyma.

— Gdzie jestem? Co ze mną? — zapytała słabym głosem.

— Tutaj, między nami! Przy twym Maksymie!

— Maksymie? — krzyknęła zrywając się z miejsca.

— Tak, tak! Patrz, jestem żywy, wolny!

Mirosława milczała bardzo długo, nie mogąc ze zdumienia przyjść do siebie. Nagle rzuciła się Maksymowi na szyję i gorące łzy trysnęły z jej oczu.

— Maksymie, serce moje!...

Nie mogła wyrzec nic więcej.

— A gdzie mój ojciec? — zapytała po chwili Mirosława. Maksym odwrócił twarz.

— Nie wspominaj, serce, o nim. Ten, co waży prawdę i nieprawdę, waży teraz jego dobre i złe uczynki. Módlmy się, aby przeważyły dobre.

Mirosława otarła łzy z swych oczu i spojrzała na Maksyma pełnym miłości wzrokiem.

— Chodźże, Mirosławo, — rzekł Maksym — oto nasz ojciec, a i ten nas opuszcza.

Zachar spoglądał na młodą parę jasnymi, radosnymi oczyma.

— Klęknijcie koło mnie, dzieci! — rzekł po cichu słabnącym głosem. — Córko Mirosławo, ojciec twój poległ, nie będziemy sądzili, czy winien, czy niewinien, poległ taką śmiercią jak poległy tysiące innych. Nie smuć się, córko. Zamiast ojca los daje ci brata.

— I męża! — dodał Maksym ściskając jej rękę w swojej.

— Niechaj was, dzieci, błogosławią bogowie naszych dziadów! — rzekł Zachar. — W ciężkich dniach zjednoczył was los i połączył wasze serca; okazaliście się godni przetrwania najstraszniejszej nawet burzy. Niechże wasz związek w dzisiejszym dniu zwycięstwa będzie rękojmią tego, że i nasz naród przebędzie tak samo ciężką niedolę i nie rozerwie serdecznej łączności z honorem i ludzką obyczajnością!

I chłodnymi już ustami ucałował czoło Mirosławy i Maksyma.

— A teraz, dzieci, wstańcie i podprowadźcie mię

odrobinę! Chciałbym jeszcze przed odejściem powiedzieć cośkolwiek gromadzie, której starałem się szczerze służyć przez całe swe życie.

— Ojcowie i bracia! Dzisiejsze nasze zwycięstwo jest dla nas wielkim czynem. Czym zwyciężyliśmy? Czy tylko naszym orężem? Nie. Czy tylko naszą przebiegłością? Nie. Zwyciężyliśmy naszym gromadzkim ładem, naszą zgodą i przyjaźnią. Przestrzegajcie tego pilnie! Dopóki będziecie żyli w gromadzkim ładzie, póki trzymać się będziecie przyjaźnie razem, stać wszyscy za jednego i jeden za wszystkich, dopóty nie pokona was żadna wroga siła. Ale wiem, bracia, i czuje to moja dusza, że nie był to ostatni cios wymierzony w naszą gromadzką warownię, że w ślad za nim pójdą inne i rozbiją wreszcie naszą gromadę. Dla naszego ludu nastaną złe czasy. Brat stanie się obcy bratu, syn się odgrodzi od ojca i rozpoczną się wielkie swary i zwady na ruskiej ziemi i pochłoną one siłę ludu, a wówczas dostanie się cały lud w niewolę obcych i swoich najeźdźców i uczynią oni zeń uległego sługę swych zachcianek i wołu roboczego. Ale wśród tej nędzy przypomni sobie lud swój dawny ład gromadzki i szczęśliwy będzie, gdy przypomni go sobie szybko i bez zwłoki: oszczędzi mu to całego morza łez i krwi, całych wieków niewoli. Prędzej jednak czy później przypomni on sobie życie swych przodków i zapragnie pójść ich śladem. Szczęśliw ten, komu sądzone będzie żyć w owych dniach. Będą to piękne dni, dni wiosny, dni odrodzenia ludu! Przekazujcie swym dzieciom i wnukom wieści o dawnym życiu i dawnych przodkach. Niechaj pamięć ta żyje między nimi wśród przyszłej niedoli, tak jak nie gaśnie w popiele żywa iskra. Przyjdzie czas, kiedy iskra rozplamieni się nowym ogniem. Żegnajcie!

Westchnął ciężko. Stary Zachar spojrział na słońce, uśmiechnął się i skonał po chwili.

Nie płakali po nim ani synowie, ani sąsiedzi, ani obywatele, dobrze bowiem wiedzieli, że grzech opłakiwać szczęśliwych. Ale z radosnym śpiewem umyli jego ciało

i zanieśli go na Jasną polanę, do starodawnej siedziby pradiadowych bogów, złożywszy zaś go w kamiennej gontynie, twarzą do złotego obrazu słońca umieszczonego u powały, zawalili następnie wejście olbrzymią płytą i zamurowali je.

Tak oto spoczął stary Zachar Berkut na łonie owych bogów, co żyli w jego sercu i szeptali mu przez całe życie zacne myśli mające na celu dobro gromady.

Wiele zmieniło się od tej chwili. Proroctwo starego Zachara spełniło się aż nadto dokładnie. Wielkie nieszczęścia przeszły gradową chmurą ponad ruską ziemią.

Dawny gromadzki ład dawno już został zapomniany i, zdawało by się, pogrzebany. Ale nie! Czyż nie sądzono naszym dniom odnowić go? Czyż nie żyjemy w owej szczęśliwej dobie odrodzenia, o której mówił umierając stary Zachar, czyż nie przeżywamy bodaj jej przedświtu?

Nagujewicze, dnia 1/X—15/XI 1882.

Редактор: Ярусевич В.  
Техредактор: Бромберг А. С.  
Коректор: Віксель Е. М.

---

„Укрдержнацменвидав“. Рукопис  
№ 96. Бф 2015. Зам. № 89. Друк. арк. 6.  
Папер. арк. 3. Обл.-авт. арк. 8,5.  
Формат паперу 70×108<sup>1/32</sup>. Здано  
на виробництво 3/Х 1940. Підпи-  
сано до друку 18/Х 1940.

---

2-га Книжк.-Журнальна Фабрика,  
Львів, Пекарська 11. Зам. № 1084.  
Тираж 5.000.

---

Держ. В-во Нац. Меншостей УРСР —  
філія у Львові, вул. Радянська 12.





Ціна 4 крб.

Польською мовою  
ІВАН ФРАНКО  
ЗАХАР БЕРКУТ  

---

УКРДЕРЖНАЦМЕНВИДАВ